



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Pamiętnik kapelana wojskowego / Dominik Ściskala.

Liczba stron oryginału

360

Liczba plików skanów

360

Liczba plików publikacji

361

Sygnatura/numer zespołu

C I 034100

Data wydania oryginału

1934

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



WYDANIE DRUGIE

Ks. DOMINIK ŚCISKAŁA
SZAMBELAN PAPIESKI



PAMIĘTNIK
KAPELANA WOJSKOWEGO
1914—1918

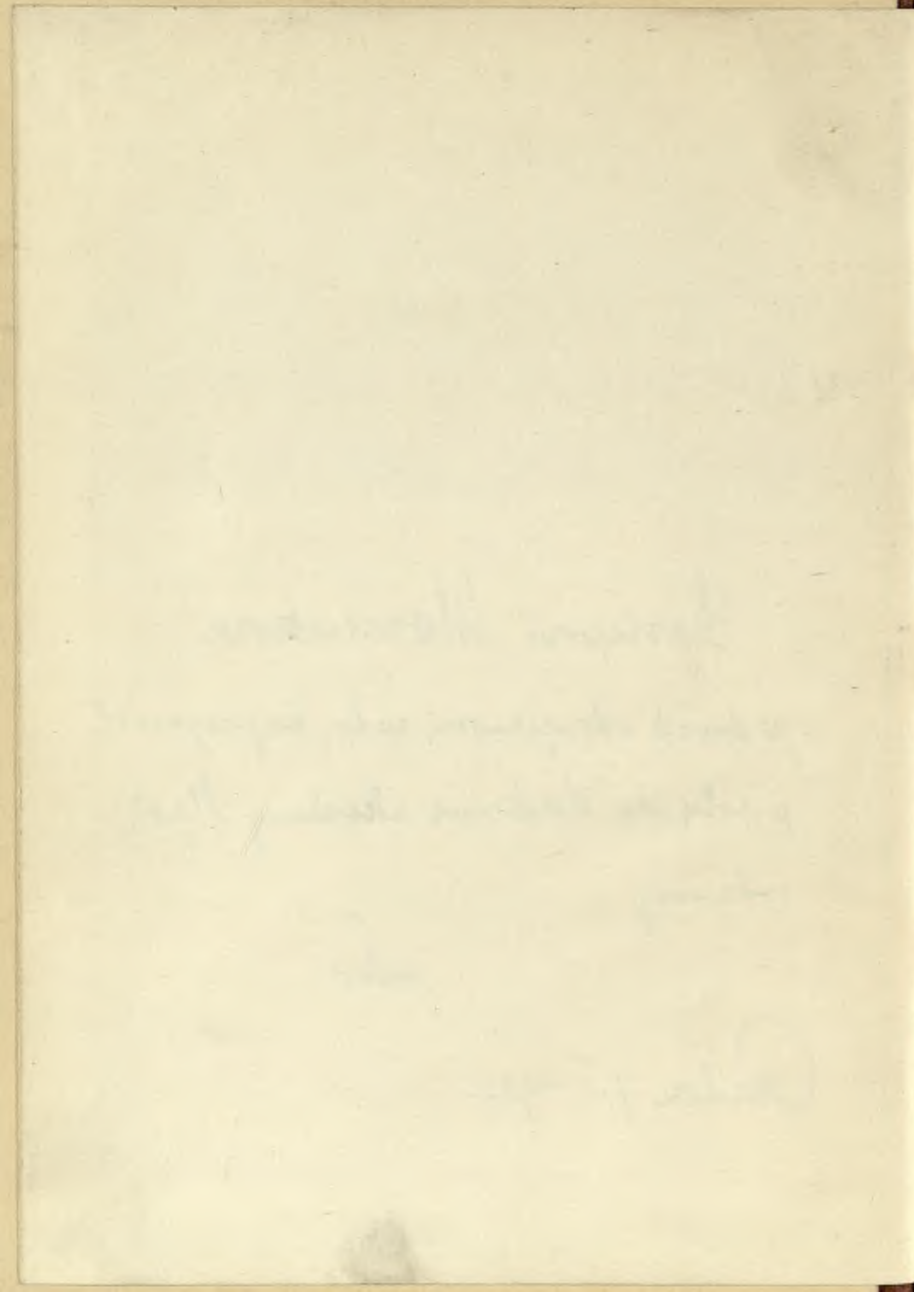


Gustawowi Morcinkowi

za dowód wdzięczności za to, że przyniósł
z sobą do Radomia ukochany Szlak
rodzinny

autor

Radom 7. II. 1937



Ks. DOMINIK ŚCISKAŁA

PAMIĘTNIK KAPELANA WOJSKOWEGO



WYDANIE DRUGIE

CIESZYN 1934
NAKŁADEM AUTORA

25: 929 Ścioka. Ta

C 0341001

V J 209-34 Nihil obstat

(—) Ks. Dr. Masny,
censor ex offio.

IMPRIMATUR

(—) Ks. Kasperlik,
Wikarjusz Generalny.

Katowice, dnia 11. VI. 1934 r.



Drukarnia „Dziedzictwa“ w Cieszynie.
Skład: Radom, ul. Sienkiewicza 18.

Przedmowa do drugiego wydania.

Pierwsze wydanie nosiło tytuł: „Z dziennika kapelana wojskowego 1914—1918”.

Przychylna ocena, życzliwość, z jaką się pamiętnik spotkał, przyczyniły się do wyczerpania nakładu. Dopytywanie się ciągle o pamiętnik, napływające zamówienia skłaniają do powtórnego wydania po poczynieniu drobnych uzupełnień.

Cieszę się, że myśli, w pamiętniku zawarte, znalazły oddźwięk w tylu sercach, że stały się drobnym przyczynkiem do podniesienia ducha w obecnej chwili.

Dwadzieścia lat mija od wybuchu wojny — piętnaście od powstania Polski.

Dobrze przypomnieć lata krwawych ofiar dla Polski oraz warunki, w jakich powstawała. Dobrze porównać to, co było — z tem, co jest obecnie.

Z porównania wypływa otucha i wiara w przyszłość Polski i życia katolickiego w Polsce, bo okazuje się, że życie państwa i narodu ma głębsze łożysko, mocniejszy podkład, niż chwilowe programy i zwyczaje.

R a d o m, 3 maja 1934.

Przedmowa do drugiego wydania

Pierwsze wydanie nosiło tytuł „Z dziejami
i kalendarzem wrocławskiego 1914-1918”.

Przebieg czasu, tydzień po tygodniu, a jak się pa-
miętnik spisał, przekazywało się do wyprzedania
nakładu. Dopieroż w końcu ostatecznie
zakończono zamawianie druku do powstania
to wydanie po porównaniu drobnych uwag.
Cóż nie, że w tym w pamiętniku zawarto
zestawienie oddzielną w tym kierunku, że stały się
drobne przemieszczenia do podziału ducha
w okresie 1914.

Dziś jest już od wydania wojny —
piętnastu lat powstania Polski.

Dobrze przypomniał się krótki czas
dla Polski oraz wzmógł w jej powstaniu.
Dobrze pomyślał to, co było — z tem, co jest
obecnie.

Z podziwem wypada otucha i wina
w przyszłość Polski i jej kalendarz w Polsce
do ostatku nie, że tymi ludźmi i narodem
niechaj Polacy, niechaj Polacy, niechaj
ludzie Polacy i wreszcie.

Rzeczona 1 maja 1914

Przedmowa do pierwszego wydania.

W czasie wojny drukowałem szereg artykułów na temat pracy duszpasterskiej w wojsku, a głównie w szpitalach. Zachęcony przez znajomych, uzupełniłem rzeczy już drukowane notatkami z dziennika, prowadzonego w czasie służby wojskowej i wydaję je obecnie w całości.

Nie mam zamiaru przedstawienia przebiegu wojny. Są to raczej refleksje i myśli, jakie nasuwały się wobec różnych zjawisk i zajęć w latach wielkiej wojny.

Nie brałem udziału w nadzwyczajnych rzeczach, więc też to, co piszę, jest bardzo zwykłe i bardzo proste. Chciałbym tylko wykazać, że ksiądz katolicki miał wszędzie w czasie wojny tyle przepięknej pracy nad duszami, że nie było wcale czasu a przedewszystkiem ochoty „na błogosławienie armat ani karabinów“ i nigdy też tego nie robił.

Wojna niszczyła, wywracała wszystko. Nie zmieniła jednak duszy ludzkiej, owszem dała nawet więcej niż kiedykolwiek dowodów, że dusza ludzka zawsze i wszędzie tęskni za Bogiem i że nigdzie nie znajduje prawdziwego szczęścia, ani ukojenia, pociechy, jak tylko w Bogu.

Wierzbnik-Starachowice, 20 października 1925.

Przedmowa do pierwszego wydania.

W czasie wojny drukowaniem zajęły się na temat pracy drukarskiej w wojnie z głównie w ogólnym. Każdą pracę zajął mych, uzupełniając pracę już drukowane, oraz kam i drukarka, prowadzonego w czasie wojny wojnowej i wydaję w obecności w czasie.

W tym czasie zamierzam przedstawić pierwszy wojny. To to rzeczywiście i myśli, jakie na- nowu nie wobec różnych zmian i zmian w latach wielkiej wojny.

W tym czasie odzyska w nadzwyczajnych sta- cjach, więc nie to co było już bardzo wysoko i bardzo prędko. Chciałbym tylko wyznać, że kilka książek miał w czasie wojny, tyle nieopublikowanej pracy nad tematem, że nie było wiele czasu z przedwojennymi opóźnieniami, na do- godzenie zmian i korekt. I nigdy nie po- go nie robił.

Wojna niezmieniła, wywarła wpływ. Nie zmieniła jednak formy książki, co było dla na- wa więcej niż korektami dowodów, że tem- ludzka natura i warunek życia na wojnie i że nigdy nie zostaje prawdziwego zwycięstwa, ani zwycięstwa, ponieważ, jak tylko w wojnie.

Wielkie zwycięstwo to zwycięstwo 1918.

1914

1891

J a b ł o n k ó w*), 3 sierpnia 1914.

Wojna światowa wybuchła.

Przepowiadano ją, oczekiwano z obawą i bojaźnią. Dziś sroży się, sieje zniszczenie, targa szczęście rodzin, jednostek, narodów, dzieli ludzkość na dwa olbrzymie wrogie obozy.

W Jabłonkowie pierwszym widowym znakiem poważnej sytuacji była wiadomość o ogłoszeniu ogólnej mobilizacji, wywieszona w oknie na pocztę o godz. 3.30 po południu dnia 31 lipca. Zaroiło się odrazu na rynku. Potworzyły się grupy, żywo omawiające doniosłość chwili. Przeważali mężczyźni. Każdy zdawał sobie sprawę, że sytuacja poważna. Wszystkich ogarnął dziwny lęk przed czymś niezwykle, wielkim a groźnym. Zapału, o jakim donoszą gazety z kilku miast, u nas nie było i niema.

Wieczorem nabożeństwo w kościele z racji oktawy św. Anny. Ks. proboszcz polecił rozdać obecnym świece i urządził procesję na rynek do statuy Matki Boskiej. Wśród bicia dzwonów, blasku świec i bicia serc szła procesja coraz licz-

*) Jabłonków na Śląsku Cieszyńskim, dziś po czeskiej stronie, miasto powiatowe.

niejsza, by prosić o odwrócenie wojny, by polecić Bogu i Matce Najświętszej tych, co muszą iść na wojnę.

Następnego dnia oświetlono w czasie procesji wszystkie okna.

Od 1 sierpnia niebywały natłok w kościele u konfesjonałów. Spowiadają się gromady mężczyzn, odchodzących do wojska. Wieczorem do późnej nocy dolatują do miasta modlitwy i śpiewy od przydrożnych krzyżów i kaplic.

Wojna uczy ludzi modlitwy.

W niedzielę, 2 sierpnia odeszli na wojnę zmobilizowani. Rano o godzinie 6-tej odprawił dla nich ks. proboszcz Waschitz Mszę św. Po Mszy przemówił bardzo serdecznie wśród ogólnego płaczu i zawodzenia. To wielkie i niezwykle chwile, kiedy całe tłumy płaczą.

Potem odprowadził ks. proboszcz wszystkich w procesji na kolej. Z pieśnią na ustach, w otoczeniu najbliższych szli na wojnę.

Byłem wtedy zajęty w kościele Sióstr Elżbietanek z racji odpustu Matki Boskiej Anielskiej. O godz. 7 rano odprawiłem Mszę św. z nauką, a potem kazanie na sumie. Widziałem tylko przełotnie szykujących się na rynku do pochodu na dworzec, a z kościoła słyszałem, jak maszerowali z muzyką koło klasztoru.

Ofiarowałem ich całym sercem Panu Bogu.

W czasie kazania przechodził koło kościoła nowy oddział powołanych do wojska. Nie mogłem nie poruszyć tego tematu, krwawiącego tyle serc dzisiaj. I była chwila, kiedy słowa więzły mi

w gardle. Słyszeć było tylko jęk i szloch ludu, zebranego w kościele w dzień Królowej Anielskiej.

Po południu koło godziny 3-ciej jechali wezwani do wojska z Istebnej, Jaworzynki i Konia-kowa. Jeden wóz za drugim. W każdym po kilka osób: kobiety i dzieci, odprowadzające mężów i ojców. Przed kościołem Elżbietanek wozy przystawały, mężczyźni wychodzili i całowali krzyż, stojący u wejścia do kościoła. Żegnali się ze wszystkim. Szli przecież na wojnę!

Pod wieczór poszedłem w stronę dworca. Przed dworcem pełno chłopstwa. Jedni już po wojskowemu, drudzy jeszcze w ubraniu cywilnem. Siedzieli lub kręcili się beczynn timer bezradnie, czekając na pociągi, które ich mają zabrać. I to już tak od rana i nikt nie ma pojęcia, co będzie dalej. Na pierwszy rzut oka widać niezdarność i brak planu. Wrażenie ogólne przykre i niekorzystne. Ogłoszono mobilizację, każdy rzuca wszystko, zrywa najdroższe węzły, pozostawia bliskich na łasce losu, musi iść na wojnę w przeciągu jednej doby pod grozą surowej kary, a teraz skazany na beczynność. Nieszczególna prognoza.

J a b ł o n k ó w, 5 sierpnia 1914.

Wobec ogłoszeń, że od 4 sierpnia zostanie ograniczony ruch kolejowy, wyjechałem przedwczoraj do Opawy, by odwiedzić matkę, zanim ruch na kolejach ustanie. W Cieszynie, gdzie okiem sięgnąć, pełno rezerwistów. Kręcą się od kilku dni beczynn timer. Ci co mają bliżej, chodzą do domów i wracają rano na punkty zborne.

W mieście wszystko zapchane, koszary, szkoły; rezerwiści nocują pod gołym niebem. — Mówią, że protestanci oddali z szerokim gestem swój kościół do dyspozycji wojskowości. Jednak żałują tego, bo dzieją się tam nadużycia i rzeczy niewłaściwe. Na kolei, po dworcach silne stráže wojskowe. W Cieszynie na dworcu cały kordon, by powstrzymywać krewnych, żegnających rezerwistów.

W Boguminie, Ostrawie panie i dziewczęta noszą kotły z wodą i herbatą dla żołnierzy, jadących w stronę Krakowa. Między Boguminem a Ostrawą spotyka się jeden pociąg wojskowy za drugim. Głównie konnica. Pociągi osobowe przepełnione. Kto może, wraca do domu przed ograniczeniem ruchu kolejowego. — Transporty wojskowe pełne krzyków, entuzjazmu. Najbardziej ożywieni Wiedeńczycy. Jadą z harmonikami, śpiewem i okrzykami. Na wagonach różne napisy, głoszące pewność rychłego zwycięstwa.

J a b ł o n k ó w, 11 sierpnia 1914.

Na kolejach ruch. Sznury pociągów, treny, armaty, samochody, konnica, kuchnie polowe. Za to ruch osobowy bardzo ograniczony. Na linii Koszyce-Bogumin kursuje pocztowy pociąg wojskowy, jedzie powoli jak zwyczajny pociąg ciężarowy, z Jabłonkowa do Bogumina blisko 5 godzin. Jedna para pociągów na dobę. Jechać może tym pociągiem tylko ten, kto jest zaopatrzony w specjalną legitymację i jedzie w interesie wojska lub w sprawach publicznej natury. Wy-

dawane są te legitymacje bardzo niechętnie. W Cieszynie w starostwie widnieje ogłoszenie: „Legitymacyj kolejowych nie wydaje się“, wobec tego ruch kolejowy prawie ustaje. Trzeba siedzieć w domu. Jest jeszcze jeden pociąg ciężarowy, wyjeżdża z Jabłonkowa o godz. 5 rano, a wraca z Cieszyna o godz. 7.30 wieczorem. Niema w nim obowiązku legitymowania się, ale jedzie się w wagonach bydlęcych lub też w węglarkach odkrytych, co wcale do przyjemności nie należy, zwłaszcza gdy pada deszcz.

W każdej miejscowości po kilka posterunków wojskowych na drogach i mostach, trzeba się ciągle legitymować. Wszędzie węszy się szpiegów. Pełno pogłosek o różnych „Rusach“ przebranych, wiozących pieniądze złote i t. d.

Nad wszystkim zaciążyła ręka militaryzmu. Wszyscy czekają jakichś wiadomości. Poczte przywożą codzień koło godziny 2 po południu. Wtedy budynek pocztowy oblężony, każdy ciekaw, jak ta wojna wygląda, co się o niej pisze. Szczególną wziętością cieszy się „Morgenzeitung“, drukowana w Mor. Ostrawie, ma najświeższe wiadomości. Dotychczas poza doniesieniami o entuzjastycznych manifestacjach na rzecz wojny brak wszelkich wiadomości. Daje się odczuć brak drobnych pieniędzy niklowych i pojedynczych koron, które gdzieś poznikały. Przychodzą ludzie z papierowemi dwudziestokoronówkami i nie mogą nic kupić, bo brak drobnych.

Wskutek ogólnego podniecenia żadna praca nie idzie, trudno się skupić, czemś zająć. Nastąpiło jakieś powszechne sparaliżowanie woli. — Wszyscy myślą o wojnie i zajmują się tylko tem,

co ma związek z wojną, wszystko inne straciło swoje znaczenie i urok. Zupełnie co innego słyszeć, czytać o wojnie, a co innego ją przeżywać.

J a b ł o n k ó w, 29 sierpnia 1914.

Wypowiadanie sobie wzajemnie wojny stało się modą. Pierwsza wypowiedziała dnia 28 lipca Austrija wojnę Serbji. Potem Niemcy Rosji, Francji, Belgji, dalej Anglja Niemcom, Austrija Rosji, Czarnogórze i t. d. Już kilkanaście stron wojujących. Kotłuje się w Europie jak nigdy. — Do tego umarł Ojciec św. Pius X, apostoł eucharystycznego Chrystusa. Za kilka dni odbędzie się konklawe, wybór nowego papieża. Ciężkie będzie sterowanie nawą Kościoła świętego w tak burzliwych czasach.

Wróciłem z Krakowa. Jeździłem tam w sprawie Królewaków w Wiśle, którzy zaskoczeni wojną, nie mogli już przez front wrócić do siebie, do Warszawy. Doszły mnie wiadomości, że im ciężko, pobyt przedłuża się, a nie wiadomo, kiedy się skończy, bo władze austriackie nie pozwalają im nigdzie wyjechać, uważając ich za podejrzanych „Rusów“. Mam między nimi dużo dobrych znajomych z czasów, kiedy będąc wikarjuszem w Ustroniu, miewałem nabożeństwa w filjałnym kościele w Wiśle. Postanowiłem zrobić dla nich, co w danych warunkach będzie możliwe.

Koleją na Cieszyn, Goleiszów, Ustroń było trudno dojechać wobec szykan i różnych obstrzeżeń. Wybrałem się rowerem przez góry przez Piosek, Bukowiec, Istebną, Kubalonkę. Zatrzyma-

łem się u pp. Leśniewskich i oświadczyłem gotowość przyjsia z pomocą w formie, która w tych warunkach będzie najwięcej pożądaną. Na zebraniu w tej sprawie w sali „Piasta“ pod przewodnictwem superintendenta p. Burschego wysunęła się na pierwszy plan kwestja przemiany rubli na korony. Wszyscy byli dość dobrze zaopatrzeni w pieniądze, ale wytworzyła się bardzo przykra sytuacja, bo nikt rosyjskich pieniędzy przyjmować nie chciał. Dalej chodziło o zasignięcie języka, bo wiadomości wiślańskie były mocno cenzurowane, i o dowiedzenie się o faktycznym stanie rzeczy, gdyż głoszone w gazetach pierwsze zwycięstwa na terenie Królestwa wydawały się tym, co znali poszczególne miejscowości, cokolwiek mętne i niejasne.

Pp. Leśniewskie uszyły woreczek na ruble, zebrałem bowiem kilka tysięcy i tak z niepokojącym skarbem, instrukcjami i notatkami pojechałem na Ustroń, Goleiszów do Cieszyna rowem, a z Cieszyna do Jabłonkowa koleją.

Dzięki znajomości z komisarzem starostwa cieszyńskiego Szalszą udało mi się wydostać pozwolenie „Reisebewilligung“ na jazdę pociągiem wojskowym do Krakowa. — Jazda strasznie powolna trwała w jedną stronę 23 godziny. W pociągu wszyscy zajęci wojną. Wszyscy dobrej myśli, są przekonani o rychłym zwycięstwie Austriaków i w Serbji i w Rosji, niedługo padnie Paryż, bo Belgja z twierdzami Antwerpją, Leodjum, powalona, nastąpi rozejm, pokój i powrót zwycięskich wojsk do domu, jak powiedział cesarz Wilhelm, zanim liść z drzew zacznie opadać, t. zn. w przybliżeniu w listopadzie.

Po drodze spotyka się transporty kolejowe wojskowe, wszystkie w jednym kierunku. Na wagonie z orkiestrą wojskową napis: „Następny koncert w Petersburgu!“ Taka pewnoś siebie! Wszak lada dzień jak opowiadają ma paść Lublin, choć rzadko kto wie, gdzie leży Lublin. Rzuca się powszechnie nazwami miast, miejscowości, pełno tego w komunikatach naczelnego dowództwa, ale mało kto orientuje się, jak to daleko.

Kraków to jedno obozowisko. Nie widziałem dotychczas takich mas wojska. Wszystko w mundurze. Wstyd chodzić w cywilnem ubraniu. Nastrój wojenny. Ulicą Lubicz idą bardzo porządnie umundurowane kompanje w stronę Rakowic. Wszyscy pełni humoru, życia. Na czapkach, w lufach karabinów kwiaty. Przechodnie stają i żegnają odchodzących różnemi okrzykami, jakby ci ludzie szli tylko na ćwiczenia.

Dnia 26-go koło g. 9 rano na ulicach pełno chłopców z nadzwyczajnemi dodatkami różnych gazet. W każdej gazecie ogromny napis: Zwycięstwo pod Kraśnikiem!

Pierwsze wrażenie niesłychane. Każdy przekonany, że już chyba Moskałe pobici na głowę. Pierwsze zwycięstwo austriackie. Na domach wywieszono z tej racji chorągwie. Entuzjazm ogromny, podniecenie niebywałe.

Następny dzień przyniósł jednak inne wieści, więcej autentyczne, bo całe pociągi rannych. Samochody rozwożą rannych z kolei do szpitali. Nastrój wczorajszy zmienia się cokolwiek — jak na ogromne zwycięstwo to tych rannych, skierowanych do jednego Krakowa, trochę za dużo.

Wojna zaczyna odslaniać powoli swe prawdziwe oblicze.

Okazuje się, że ze zmianą rubli nawet w Krakowie nie łatwo. Giełda nieczynna, nikt nie orjentuje się, co ruble warte. Po kilku wędrówkach bezskutecznych zwróciłem się o interwencję do red. Wojczyńskiego z „Głosu Narodu“. Redaktor Wojczyński poszedł ze mną do Banku krajowego do dyr. Stefczyka i dopiero tam udało się w drodze wyjątku zmienić ruble po kursie 230 K za sto. Strata 20 koron na setce, ale wobec tych trudności i to dobre.

W ten sposób załatwiłem najważniejszą część swej misji. Dla zasięgnięcia języka poszedłem do dra Wicherkiewicza, prezesa Samarytanina polskiego i do dra Kiernika, który prowadzi biuro porady prawnej dla obywateli obcych państw. Tam pewność zwycięstw znacznie mniejsza, a zdobycie Warszawy przez Niemców i Austriaków, by moi wiślańscy przyjaciele mogli rychło wrócić do domu, mało prawdopodobne. Niema innego wyjścia, tylko wracać drogą okrężną przez neutralną Rumunję.

Miałem również polecenie odszukania krewnych względnie synów kilku gości wiślańskich w Strzelcu polskim, do którego przekradają się młodzi entuzjaści ze wszystkich stron Polski, a nawet i z Anglii. Pierwszy oddział takiego wojska polskiego spotkałem na ul. Dunajewskiego. Rogatywki na głowie, mundury niejednolite, dość liche, ale polskie, nasze. Nareszcie choć takie, ale nasze! Śpiewali i szli jakoś inaczej niż wojsko austriackie. Tyle szczęścia, że dożyłem tej chwili!

Wszak to żywe wojsko polskie, choć takie i w takiej chwili.

Poszedłem do głównej kwatery tego polskiego wojska w Oleandrach w parku Jordana. Jedni nazywali się tu Strzelcami, drudzy Drużynami, inni jeszcze Legjonistami. Marnie wygląda ta siedziba, marne robi wrażenie. Moje poszukiwania nie mogły przydać się na wiele. O ewidencji nie mają pojęcia. Nazwiska ochotników, nawet tych, co już wyszli z Piłsudskim pod Kielce przed dwoma tygodniami, pozapisywane bardzo niedokładnie, na kartkach, świstkach zupełnie nieuporządkowanych. To robi przykre wrażenie. Chciałoby się bardzo, żeby to jakoś solidniej wyglądało.

Zdobywszy korony i wiadomości różne, wróciłem w sobotę do Jabłonkowa. W niedzielę wyjechałem z kazaniem na odpust do Koniakowa, a potem po południu furmanką przez Istebną koło zamku arcyksiążęcego i leśniczówki do Wisły. Przenocowałem u gościnnych zawsze pp. Leśniewskich w willi „Sokół“ a na drugi dzień w sali „Piasta“ odbyło się zebranie Królewaków, na którym dzieliłem się swemi wrażeniami. Z dyskusji, zresztą bardzo powściągliwej, mogłem wywnioskować, że nie wierzą w rychłe zakończenie się wojny, że przewidują rozwinięcie sił wojskowych Rosji i że tworzenie Legjonów jest dla wielu z nich objawem niepożądanym i krokiem nierozważnym. W każdym razie nie wierzą w siły austriackie.

Wróciłem wczoraj z tej wycieczki i nie żałuję trudów. To w zamian za ich pamięć stałą o gimnazjum w Cieszynie, którego jestem wychowankiem.

J a b ł o n k ó w, 10 września 1914.

Wojna rozpoczęła się na dobre. Gazety pełne wiadomości o „zwycięstwach“ na różnych frontach. Zdumiewające są wiadomości z frontów niemieckich w Prusach wschodnich i z Francji. Tam idzie wszystko piorunem i w niebywałych rozmiarach. Cokolwiek inaczej brzmią wiadomości, podawane przez sztab austriacki, np. 2 września: „W Galicji wschodniej: Lwów znajduje się jeszcze w naszym posiadaniu. Położenie naszej armji jest tam wobec silnie przeważającego liczebnie nieprzyjaciela bardzo trudne.“ Po „zwycięstwach“ pod Kraśnikiem i Komarowem — Lwów jeszcze w naszym posiadaniu! Zwycięzamy wstecz.

We wtorek przewieziono do Węgier przez Jabłonków w trzech pociągach jeńców rosyjskich z pod Kraśnika w liczbie 1500.

Między jeńcami byli i Polacy. Oddawali chętnie za papierosy na pamiątkę swe błyszczące guziki od płaszcza. W rozmowie byli powściągliwi.

Nasi jabłonkowscy Niemcy w dobrym humorze. Deutschland über alles. Sławią każde zwycięstwo wywieszaniem chorągwi, wielbią Wilhelma jako geniusza, sprzymierzeńca i przyjaciela, który w krytycznej chwili stanął obok Austrii i broni jej honoru. — Rozpowszechniła się od kilku dni moda noszenia na klapach surduta blaszanych podobizn cesarza austriackiego i niemieckiego. Wszędzie po sklepach w Cieszynie, Ostrawie i u nas obrazy „wiernego sprzymierzeńca“ Wilhelma. Tak szerzy się prusofilstwo. I o ile nie

oziebnie z czasem, to chyba długo da nam się we znaki.

Małomiasteczkowe „spiessbürgery“, czyli łyki, nie zdają sobie sprawy, że gdyby nie Niemcy, nie byłoby wojny. Niemcy narazili się w całym świecie swą zarozumiałością i butą. Dokuczyli każdemu. Nic dziwnego, że polityka sąsiadów, głównie Anglii od kilkunastu lat kręci się koło idei upokorzenia Niemiec. A uosobieniem tej polityki to Edward VII angielski. Chciał odciągnąć Austrię od Niemiec, ale Austria wołała pozostać nadal podnóżkiem Niemiec, bo żywioł niemiecki w Austrii musiałby zrezygnować ze swej sztucznej władzy. I dziś pokazują się skutki. Wszystkie zdobycze, zwycięstwa Niemiec w Belgii i Francji są okupione naszą krwią, niedolą, nędzą, naszym bólem, naszymi trupami. Dziś tratuja i niszczą miljonowe armje ziemie polskie w Królestwie i w Galicji, a co będzie dalej, nie wiadomo — wszak „Lwów jeszcze w naszym posiadaniu“!

J a b ł o n k ó w, 14 września 1914.

W gazetach wiadomości, drukowane ogromnemi czcionkami „Nowa olbrzymia bitwa koło Lwowa“, potem walki o Zamość, zwycięstwo Aufenberga, sukcesy w Serbji, kapitulacja twierdzy Maubeuge, zdobycie 400 armat francuskich, 40.000 jeńców, Niemcy mają już wolną drogę na Paryż. Zato najważniejsza wiadomość, podana zwykłym drukiem, o opróżnieniu Lwowa przez Austriaków z objaśnieniem, „że ewentualne opróżnienie Lwowa zgóry przewidziane było w planie opera-

cyjnym austriackiego sztabu generalnego. Ustąpienie wojsk austriackich ze Lwowa jako ewentualność zgóry przewidziana i objęta planem wojennym nie ma więc ujemnego znaczenia w położeniu armji na polu walki. Dyspozycje wojskowe, od których zależy zwycięskie przeprowadzenie kampanji, a tem samem los całej wojny, nie mogą zależeć od chwilowych nastrojów opinji kraju, na którego terenie odgrywają się decydujące wypadki. I rząd francuski nie krępuje się dziś takimi względami uczuciowemi, zamierzając, jak słysząc, zgodzić się na dobrowolne oddanie nieprzyjacielowi Paryża.“

Niemcy zwyciężają, idą na podbój Francji, a u nas w Polsce, we wschodniej Galicji, w Kongresówce wszystko stratomane, zniszczone na dziesiątki lat. Przemyśl, handel zdewastowany. Kulturalnie cofamy się o całe dziesięciolecia. Ludność musi opuszczać chaty i domy, a tułać się po obcych progach.

Wczoraj spotkałem na rynku kilku „spiessbürgerów“ jabłonkowskich, — Niemców polskiego pochodzenia, nie umiejących poprawnie po niemiecku. Jeden z nich, Firek, powiedział mi wprost, że najlepiej byłoby oddać Galicję Rosjanom — naturalnie, by się pozbyć Polaków.

Papieżem został wybrany 3 września Benedykt XV. Będzie miał ciężkie i niewdzięczne zadanie uspokojenia stron walczących i zachowania przy neutralności całego autorytetu papieżstwa. Trzeba będzie wspierać go dzielnie codzienną modlitwą.

J a b ł o n k ó w, 16 września 1914.

Otrzymałem w tych dniach list od ks. posła Londzina*) z wezwaniem do utworzenia Komitetu powiatowego śląskiej sekcji Naczelnego Komitetu Narodowego. „Uczyńmy wszystko, co do nas należy, rzućmy na szalę całą siłę, jaką rozporządzamy, całą moc duszy naszej, a resztę zostawmy Bogu, ufni w sprawiedliwość Jego i zwycięstwo ostateczne słusznej i świętej sprawy naszej.“

To słowa końcowe manifestu sekcji śląskiej N. K. N.

Trudno nie działać, kiedy poważni ludzie nawołują nas młodych do działania i twierdzą, że to teraz jest ta chwila dziejowa, „godzina wielka“, o którą modlił się naród cały. Cały naród staje zgodnie do pracy.

Manifest podpisali w imieniu naszego Śląska: Chlebus, Domagalski, Filasiewicz, Kantor, ks. Londzin, dr. Michejda, Reger, Szura, dr. Wolf i dr. Zaleski.

Ile to razy marzyło się w gimnazjum o takiej godzinie! Mówią, że teraz przyszła! Mówią to nie tacy zapaleńcy, jak ja, ale ludzie starsi, doświadczeni. Więc chyba trzeba wierzyć. Szczęśliwy jestem, że mogę dziś w łącznej dla Ojczyzny pracy na cośkolwiek się przydać.

*) Ks. Józef Londzin, prałat, kanonik hon. Sandomierski, senator, prof. gimn. w Cieszyńcu, autor wielu dzieł, niestrudzony bojownik o polskość Śląska cieszyńskiego, ur. w Zabrzegu 2 lutego 1862, zmarł 21 kwietnia 1929 w Cieszyńcu jako burmistrz m. Cieszyńca.

Wiem jedno: że nie wolno teraz stać bezczynnie na uboczu, ani iść luzem, — trzeba łącznego działania. Co ono przyniesie w ostateczności i czy jest tą jedyną, nieomylną drogą, trudno dziś osądzić. Przed nami las, koło nas las. Tylko gdzieś wysoko na sklepieniu wiary przyświeca idea Wolnej Ojczyzny.

Po porozumieniu się z pastorem w Nawsiu, Franc. Michejdą*), zestawiliśmy następujący skład Komitetu powiatowego N. K. N. w Jabłonkowie, zatwierdzony przez N. K. N. w Cieszynie:

1. Ks. Herrmann Franc., prob. w Wędryni;
2. Michejda Oskar, pastor w Bystrzycy;
3. Adamczyk J., kier. szkoły w Śr. Łomnej;
4. Gabryś J., kierownik szkoły w Łyżbicach;
5. Szkandera P., gospodarz w Boconowicach;
6. Michejda Franciszek, pastor w Nawsiu;
7. ks. Ściskała Dom., wikary w Jabłonkowie;
8. Bocek Paweł, wójt w Piosku;
9. Heczko Paweł, kier. szkoły w Gródku;
10. Malinowski J., notariusz w Jabłonkowie.

To pierwsza, widoczna, organizacyjna praca dla odrębnego Państwa Polskiego. W regulaminie, obowiązującym Komitet powiatowy, jest mowa o osobnych polskich oddziałach wojskowych, o polskim skarbie wojennym, o zasileniu Legionów polskich ze Śląska Cieszyńskiego.

*) Franciszek Michejda, senjor rodziny Michejdów i senjor zborów ewangelickich na Śląsku, wydawca długoletni „Przyjaciela ludu“, „Przeglądu politycznego“, „Rolnika śląskiego“, założyciel Tow. ewangelickiego, krzewiciel ruchu narodowego, ur. w Olbrachcicach 1848, zm. 12 lutego 1921 w Nawsiu.

Nadto zadaniem Komitetu ma być „pouczanie ludności o obowiązkach narodowych w chwili obecnej, dostarczanie jej wiadomości o dokonywujących się zdarzeniach, skupianie jej koło zadań, prac i dążeń sekcji śląskiej N. K. N. Ciekawa rzecz — do składek na Legjony polskie nawołują i Czesi w swej „Odezwie do narodu czeskiego w Czechach, na Morawach, na Śląsku i na Wołyniu“ i stawiają hasła: „Kto czem może, niech pomoże“ i „pomóżmy sąsiadom, a oni pomogą tobie“. Tak pisze praski „Hlas Naroda“ Nr. 231, wydanie wieczorne.

J a b ł o n k ó w, 19 września 1914.

Lwów oddany Moskalom. Ogłoszono to w tydzień po fakcie. W komunikatach dalsze zwycięstwa, obwieszczane we wszystkich gazetach, coraz większymi literami — ściganie nieprzyjaciela, setki armat zdobytych, jeńców tysiące. Telegram „kwatery wojenno-prasowej“: „Ogólne położenie jest korzystne, nawet korzystniejsze jak w poprzednich dniach“. Następuje duża biała plama, bo artykuł na temat tej „korzystniejszej“ sytuacji został skonfiskowany w krakowskim „Głosie Narodu“.

Od dwóch tygodni Śląsk roi się od ludności, uciekającej z Galicji. Pierwszych uchodźców widziałem w Dąbrowie koło Bogumina. Na boczny torze kolejowym stały wagony towarowe kryte. W wagonach widać stoły, krzesła, kolebkę, dzieci, graty różne. Twarze wybledzone, zmizrowane. Mówiono, że to rodziny kolejarzy

z okolic Lwowa. Drugi pociąg — w pierwszej połowie wagony wypełnione rannymi żołnierzami, w drugiej umieszczeni byli uchodźcy, zwani tu powszechnie „uciekinierzy“. Z nimi kilku księży. Jeden z nich objaśnił mnie, że to ludzie z okolic Przemyśla. Wyjechali na rozkaz starostwa. Jadą do Styrii. W Ostrawie takie same pociągi. Wojna pokazuje z różnych stron swe straszne nieubłagane oblicze niszczyciela-Mołocha.

Linja walk przesuwająca się tymczasem pod Przemyśl, Jarosław. Ludność ucieka przez Węgry, Abos, Rutkę, Żylinę na Śląsk lub w stronę Wiednia. Kolej północna zajęta wyłącznie transportami wojskowymi. Każdy pociąg ewakuacyjny przewozi setki nieszczęśliwych ofiar wojny, przyjmowanych wszędzie z coraz większą niechęcią wobec utrudnionych warunków aprowizacyjnych. Bardzo przykre wrażenie wywołuje widok dzieci, które idą na tułaczkę i poniewierkę, nie wiadomo dokąd i na jak długo.

Do Jabłonkowa przyjechali pierwsi „uciekinierzy“ przed tygodniem. Pochodzą z Ropczyc. Trzy rodziny. Przyszli do mnie, wyszukałem im mieszkanie. W ciągu tygodnia napłynęło jeszcze blisko sto osób. Między innymi dwóch księży Bazylikskich, z diecezji przemyskiej. Byli na pogrzebie ojca i nie mogli już wrócić do siebie. Kazano im jechać w świat, bo droga do Przemyśla odcięta. Pojechali więc przez Węgry do Jabłonkowa.

Oficjalne sfery dokonywują masowego świadomego oszustwa. Rzucono hasło: „Gold gab ich für Eisen“ — „dałem złoto za żelazo“ i naiwni wyzbywają się złota a nawet poświęconych przy

ślubie obrączek, byleby tylko figurować w spisie ofiarodawców. Nic nie charakteryzuje tak dobitnie praktyk austriackich, jak ta zbiórka „patriotyczna“.

J a b ł o n k ó w, 29 września 1914.

Dnia 21 września o godz. 12 w południe wyruszył z Cieszyna z parku Sikory oddział legjonistów śląskich w pełnym rynsztunku. Odchodzących żegnały tłumy, zgromadzone przed parkiem. Poszli głównie uczniowie gimnazjum i akademicy, to, co ziemia śląska ma najlepszego i najgorętszego.

Jeżeli to prawda, że im większa ofiara, tem większy skutek, to i Śląsk z tej ofiary dobrowolnej z życia i krwi naszych najlepszych musi mieć kiedyś pożytek. Marzyło się i czytało tyle o różnych wojnach polskich, o powstaniach i powstańcach, — dziś w ogólnej zawierusze wstaje młodzież śląska, by stać się częścią polskiego wojska. I to wszystko dzieje się w naszych czasach. Tego jesteśmy sami świadkami! W oczach żegnających widać było łzy, ale nie wiadomo, czy z żalu za tymi, co odeszli na wojnę, czy też z radości, że oto iszczą się tajone sny i że godzina wolności chyba już bliska.

J a b ł o n k ó w, 7 października 1914.

Wojna trwa. Zdawało się, że przy nowoczesnych urządzeniach wojna kilkumiesięczna będzie niemożliwa, że wszystko się wzajemnie wyniszczy, wymorduje i musi nastąpić koniec. Tymczasem

wszystko inaczej się układa i niema mowy o zakończeniu. Setki tysięcy ludzi żyje w ziemi, w rowach i szuka tam schronienia przed wszystkim, co wymyślił umysł ludzki, by się wzajemnie niszczyć. Dzisiejsza wojna przybiera niesłychane rozmiary, front wydłuża się na setki kilometrów, sięga od morza do morza. Walczące z sobą państwa tworzą wciąż nowe pułki, nowe korpusy. Przemysł, fabryki dostosowane do wojny. Fabrykuje się niezliczone pociągi pocisków, naboi i broni. Świat cały zdaje się dzielić na dwa wrogie obozy, które o niczem dziś nie myślą, jak o wzajemnem niszczeniu siebie. Cesarz Wilhelm zarekwirował na rzecz Niemców nawet Pana Boga — deutscher Gott. Etykę, moralność, przykazania Boże wyrzucono za nawias. Czy znajdzie się moc, która to wszystko doprowadzi do równowagi?

Na Śląsku pełno uchodźców, a przede wszystkim żołnierzy rannych, bo szpitale przenoszą się z galicyjskiego frontu coraz dalej na zachód. Na ulicach spotyka się tłumy maruderów żołnierzy z różnych formacji, którzy cofnęli się z frontu albo uciekli z frontu lub z niewoli. Transporty wojskowe zdążają ciągle w jednym kierunku — na wschód. Obecnie już nie takie hałaśliwe. Wszystko odbywa się znacznie ciszej, niż w pierwszych tygodniach. Wszyscy zdają sobie nareszcie sprawę, że wojna, to nie zabawa, nie jakaś krzykliwa demonstracja, ale coś bardzo poważnego i strasznego.

Przed kilku dniami przyjechał do Jabłonkowa trzeci ksiądz, proboszcz z Biecza koło Jaro-



sławia. Parafję „ewakuowano“, jak brzmi urzędowe określenie, gdyż znalazła się na linii strategicznej nad Sanem, gdzie przewidywane są ciężkie walki. Wpakowano wszystkich w pośpiechu do pociągu ewakuacyjnego i wywieziono na zachód. Rzadko kto miał z sobą jakieś zapasy żywności, a że nigdzie nie można było nic kupić, wydrapywano w czasie długich postojów ziemniaki, marchew, brukiew z pól nad linią kolejową i tem się posilano.

Dziś mieliśmy spowiedź dziatwy szkolnej z całej parafji. Z Cieszyna przyjechało do pomocy w spowiedzi czterech Jezuitów, między nimi trzech uchodźców ze Stanisławowa. W czasie obiadu dzielono się wrażeniami. Przebija przekonanie, że dowództwo austriackie zawodzi i wojna może skończyć się katastrofą. Opowiadano o wandalizmie i zniszczeniu, jakiego dopuszczają się wojska niemieckie w Kaliszu i w różnych miejscowościach Królestwa. To samo robią Węgrzy w Galicji, której ludność traktuje się jako zdrajców i wiesza setkami na podstawie najbardziej błahego oskarżenia, którego powodem jest często nieporozumienie sąsiedzkie. Same smutne wieści.

Gazety donoszą o wypadkach cholery azjatyckiej w Wiedniu, Bernie i na północnych Węgrzech. Na froncie na terenie Królestwa grasuje w zastraszający sposób czerwotka.

W Krakowie komenda miasta zarządziła przymusową ewakuację wszystkich obywateli, nie zaopatrzonych w żywność na trzy miesiące.

J a b ł o n k ó w, 19 października 1914.

Z wiadomości, podawanych w gazetach, nie można sobie wyrobić obrazu o faktycznym stanie akcji wojennej. Prasa podaje jedynie to, co dyktuje naczelne dowództwo armji. W dziennikach znać robotę cenzorów. Nieraz całe szpalty bielusińkie, bo wszystko uległo konfiskacie. Tak wygląda w czasie wojny wolność prasy i swoboda wypowiedzania się. Ranni, napływający w ostatnich dniach liczniej niż kiedykolwiek, opowiadają o walkach pod Iwangrodem, a wśród ludności krążą uporczywie opowiadania o zwycięstwach rosyjskich, osiągniętych w ten sposób, że Rosjanie zalali wodą duże obszary koło twierdzy, że podminowali cały teren. Są to wiadomości prawdopodobnie przesadzone i niesprawdzone, ale naogół daje się zauważyć popłoch, bezład i niepewność. Popłoch ten powiększają ranni i maruderzy, wracający z pola walki. W opowiadaniach przejawiają swe przeżycia, przesadzają i pod wpływem strachu opowiadają niestworzone rzeczy. Ludność zaś zawiedziona w nadziei, że wojna skończy się prędko, zaczyna powoli tracić zaufanie w wiadomości urzędowe i przyjmuje te opowiadania bezkrytycznie.

W obrotach handlowych pojawiają się poważne trudności. Trudno np. kupić większą ilość mąki na chleb. Zbiory tegoroczne były nienajgorsze, odeszło wprawdzie trochę rąk do pracy i trochę koni na podwody, ale to jeszcze nie tłumaczy obecnych trudności. Trudności te zaczyna odczuwać i nasz Konsum chrześcijański w Jabłonkowie. Wobec tego pojechałem w przeszłym ty-

godniu do Żyliny na Węgrzech, by tam ułożyć się z młynem o dostawę mąki. Okazuje się jednak, że i tam te same mają trudności, czyli, że to jeden z objawów wojennych.

Wróciłem z Węgier, nic nie wskazawszy. Zresztą w drodze powrotnej przekonałem się, że sprowadzenie węgierskiej mąki stało się już niemożliwe. Na granicy Węgier i Śląska przeprowadzają Węgrzy ścisłą rewizję. O ile potrwa to dłużej, to Śląsk tak gęsto zaludniony a tak nieobfitujący w ziemiopłody, ucierpi na tem poważnie.

W czasie rewizji i postoju pociągu nadjechał od strony Węgier pociąg wojskowy z żołnierzami, zdążającymi na front. Kiedy żołnierze Madziarzy dowiedzieli się, że o parę kroków granica, że opuszczają ziemię węgierską, wyszli wszyscy z wagonów, stanęli wzdłuż linii kolejowej i zaśpiewali jakąś dziwnie tęskną pieśń madziarską. A potem widziałem, jak ci ludzie biedni, jadący na wojnę, klękali i całowali ziemię. A wielu z nich zabierało grudki ziemi i chowało w tornistrze na pamiątkę...

J a b ł o n k ó w, 21 października 1914.

Piękny artykuł o „Czerwonym Krzyżu“ wydrukował w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ ks. prob. Fr. Hawlas z Trzyńca:

W krzyżowe dni i w uroczystość św. Marka wyruszają procesje na pola, nucąc prośby błagalne: Od moru, głodu i wojny, wybaw nas, Panie!
— W Boże Ciało niesie kapłan Przenajśw. Sa-

krament do 4 ołtarzy i śpiewa: A peste, fame et bello, libera nos Domine! Od moru, głodu i wojny, wybaw nas, Panie. Zawsze uważano wojnę za największą plagę, jaką sprawiedliwość Boska na grzeszną ludzkość dopuścić może. Żyliśmy pół stulecia, bo od r. 1866, w pokoju. Widzieliśmy płynące strugi krwi w innych krajach. Byliśmy świadkami r. 1870 wojny niemiecko-francuskiej, r. 1878 rosyjsko-tureckiej, 1884 serbsko-bułgarskiej, 1897 hiszpańsko-amerykańskiej, 1899 angielsko-burskiej, potem rosyjsko-japońskiej, w Trypolisie, na Bałkanach i w Meksyku. Przez cały ten czas uchronił nas litościwy Bóg od wojny, która nam w r. 1909, a zwłaszcza 1912 groziła.

Niespodzianie nadeszła owa krwawa niedziela 28 czerwca, kiedy na ulicach Sarajewa krew następcy tronu i jego małżonki przelaną została. — Rozmyślnie zabójstwo, ten jadowity owoc, który wyrósł w zaroślu starej zazdrości, nienawiści i złej woli, stał się iskrą, z której wybuchł pożar wojny wszechświatowej.

Chmury zgromadziły się nad nami, błyskawica przecięła długą niepewność, piorun zahuczał. — „Bude wojna, bude, kto tam na niu pujde?“ — pyta się pieśń ludowa. Odpowiedź widzieliśmy własnymi oczyma. Szli na wojnę ojcowie i bracia, synowie i krewni, szli robotnicy z fabryk, hut i kopalń, od pióra i pług, uczeni i prostacy. Ojcowie i matki, bracia i siostry, żony i dzieci odprowadzali ich do najbliższego dworca. Serce się krajało, kiedy pociąg zwolna ruszył i rozrywał dłonie. „Już do wojny idziemy, dobrze się tu miejcie, że za was bojujemy, na nas wspominajcie“.

A cóż będzie z nami, cośmy pozostali przy nieukończonych żniwach, niedokończonych budowlach, rozpoczętych przedsięwzięciach?

Kiedy przesuwają się przed naszymi oczyma przejeżdżające pociągi z wojskiem, powiewają z okien wagonów chorągiewki o wszystkich barwach; nam pozostałym, tworzącym jakby wielką armję pokojową, pozostała jedna chorągiew, pod którą się skupić musimy — jest to chorągiew biała z czerwonym krzyżem.

Święty znak krzyża ma być w teraźniejszym morzu gorzkości naszą pociechą i obroną. Jeśli kto chce za mną iść, niech sam siebie zaprze, a weźmie krzyż swój a naśladuje mię (Mat. 16, 24), mówi Zbawiciel, i nie tylko słowem, lecz i swoim krzyżem toruje nam drogę. Wszyscy odczuwamy pewno w niedalekiej przyszłości ten ciężar krzyża; nieśmy go więc mężnie, cierpliwie, bez szemrania, tak jak go dźwigał Zbawiciel nasz. Bóg swoich nie opuści! Jak złoto w ogniu, tak męstwo chrześcijańskie w cierpieniu się doświadcza. „Nie z łez i narzekania, z cierpliwej prawicy żniwo wykwitnie.“ Nasi przodkowie gorsze przeżyli czasy, przecierpieli rok 1866, nasi dziadkowie zaś wojny napoleońskie, nie mówiąc już o praojcach, którzy 7- a nawet 30-letnią prze-trwali wojnę. Krew ich płynęła strumieniami, ich urodzaje ziemskie stratowano, bydło zrabowano, zapasy rozkradziono, dwory i chatki spalono. Lecz nie rozpaczali, bo krzyż święty jaśniał im błogo a w jego cieniu posilali się łamaniem chleba, modlitwą i słowem Bożem. Bądźmy godnymi potomkami tak zacnych przodków!

Biała chorągiew z czerwonym krzyżem wymaga od nas miłości bliźniego, nie tylko słowem, ale przede wszystkim czynem, bo „po owocach poznać uczniów Zbawiciela“. Jeżeli nie mają nas nawiedzić towarzysze wojny: głód i mór, muszą wśród nas zakwitnąć uczynki miłosierdzia, te kwiaty w ogrodzie krzyża: łaknących nakarmić, spragnionych napoić, chorych pielęgnować, a jeżeli trzeba, i umarłych grzebać, — strapionych pocieszać, nieumiejętnych pouczać. Po te owoce w ogrodzie krzyża wyciągają swoje ręce do nas biedni ranni z pośród pożarów i zgliszczy, tych owoców dopraszają się opuszczone ich rodziny. Któż może wobec tak głośnego Effeta: „otwórz się“ mieć serce nieczułe? Oddaleni od pola walki zbliżajmy się do naszych żołnierzy przez nasze modły! Kto dotąd kościół omijał, niech śpieszy do jego podwoi, kto był za hardy, by ukleknąć przed Bogiem i złożyć ręce do kornej modlitwy, niech uzna, że „ręka Pańska dotknęła nas“.

Wojna dzisiejsza nie ma sobie równej w dziejach świata. Półtora miliona żołnierza stało przeciwko sobie w wojnach napoleońskich, lecz cóż to jest wobec dzisiejszych liczb, kiedy 22 miliony walczą ze sobą! Koniec dzisiejszej wojny jest nieprzewidywalny. Niemasz też ręki, coby ją wstrzymać mogła. Uznajmy pokornie: „W rękach Bożych jesteśmy“.

Gdy w Wielki Piątek wierni ze łzą w oku i skruczą w sercu Krzyż św. całują, śpiewa chór: Hagios o Theos — Święty Boże... Wielki Piątek nastał obecnie dla całej Europy. Z białą chorągwią z czerwonym krzyżem postępujemy naprzód z ufnością w Boga i samych siebie, otoczeni

kwiatami uczynków miłosierdzia, przez Golgotę do zwycięskiej Wielkanocy, wśród błagalnego wołania: Hagios o Theos, hagios ischyros, hagios athanatos, eleison hymas — Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami! Od moru, głodu i wojny, wybaw nas, Panie!

J a b ł o n k ó w, 3 listopada 1914.

Już się ściemnia, siedzę przy biurku, piszę, nie pamiętam już co. Ktoś wchodzi powoli, ciężko po schodach, szuka klamki. — Pewnie dziad znowu, żebrak. — W istocie staje we drzwiach kobieta obszarpana, schylona, brudna. Na jednym oku bielmo.

Sięgam do kieszeni po kilka groszy, by ją odprawić. Widzę jednak, że to nie tutejsza żebraczka, mówi poprawnie po polsku, akcent odrębny.

— Coście za jedna? Skąd jesteście?

Starowina siada, oddychając ciężko, mówi z trudem:

— My uciekli. My uciekamy już trzy miesiące, — my z Brzeżan ze wschodniej Galicji. Uciekamy przez Węgry na jednym wózku, jednym konikiem.

— A ile was jest?

— Siedmioro, łaskawy panie. Syn miał dobre zajęcie, był stelmachem u Potockiego. Przyszła wojna nieszczęsna, wszystko się skończyło. Uciekliśmy w nocy. Kozacy nad ranem za nami wpadli. Poco ja uciekam, sama nie wiem. Dziś jedno drugiemu wyrzuca, żeśmy nie zostali. Nie byłoby tej tułaczki, głodu i poniewierki. Myśle-

liśmy, że tylko parę mil ujedziemy, a potem się wrócimy i wszystko odzyskamy. A tymczasem Moskale ciągle za nami...

Takich biednych ofiar wojny widzi się coraz więcej. A ile ich jeszcze będzie?

Kolonja polska w Jabłonkowie wzrosła do kilkuset osób, przybyłych głównie z Galicji. Są między nimi ludzie zamożni, ale są i biedni. Głową kolonii polskiej jest p. Bełdowski, przemysłowiec z Krakowa, dalej pp. Faliszewscy z Baligrodu, p. Stasieniewiczowa z pod Lwowa i inni.

Naczelne dowództwo armji austriackiej rozlokowało się w Cieszynie, jest widocznie zdania, że bliżej frontu mogłoby być niebezpiecznie. Biura umieszczono częścią na zamku, częścią w gimnazjum niemieckiem i w szkole wydziałowej przy placu Rudolfa. Ruch w Cieszynie dzięki temu ogromny. Spotyka się tam różne wielkości, jak arcyksięcia Fryderyka, generalissimusa wojsk austriackich, następcę tronu arcyks. Karola, dalej szefa sztabu Hoetzendorfa, generała Hoefera, podpisującego komunikaty sztabu. Można powiedzieć, że w Cieszynie jest obecnie siedziba rządu austriackiego, w Wiedniu istnieje tylko jego ekspozytura. Niedawno widziałem tam Bethmanna-Hollwega*) i Buriana**).

Cesarz Wilhelm powiedział na początku wojny, że wojna skończy się, gdy liście z drzewa opadną. Już liścia niema, a wojna trwa i daleko do

*) Bethmann-Hollweg, kanclerz Rzeszy niem. 1909 do 1917, głośny z powodu nazwania traktatu, gwarantującego neutralność Belgji, „świstkiem papieru“.

**) Burian hr., austr. minister spraw zagr.

końca. Wypowiedzieć wojnę, rozpętać żywioł łatwo, ale wstrzymać, tego nawet sam Kaiser Wilhelm nie może. To już teraz nie od niego zależy. Wojna to straszny żywioł, mający jakąś szatańską moc, wciągający w swój krwawy krąg coraz większe masy. Miljony idą na rzeź, na zgubę, na śmierć, a nie mogą stanąć ani opamiętać się i uprzytomnić sobie, że przecież jesteście ludźmi, a nie szakalami. I nie wolno nawet protestować, bo za to wieszają.

Już dawno nie było tak smutnych Zaduszek, jak w tym roku. Udział w nabożeństwach żałobnych bez porównania większy niż w latach minionych.

Z frontu wiadomości o zwycięstwach armji austriackiej, przyczem podana jest ilość zdobytych armat i żołnierzy, wziętych do niewoli austriackiej. Ile zdobył nieprzyjaciół, ilu zabrał do niewoli, tego komunikaty wojskowe nie podają. Z bardzo skąpo podawanych nazw miejscowości można przy pomocy mapy wyrobić sobie wyobrażenie o „sukcesach“ armji. Poczta nieoficjalna, t. zw. pantoflowa, opowiada po cichu o zbliżaniu się Rosjan pod Kraków.

J a b ł o n k ó w, 19 listopada 1914.

Tętno życia w Jabłonkowie ożywiło się nadzwyczajnie od kilku dni, od chwili, kiedy zjechał tu z Krakowa ewakuowany Departament wojskowy N. K. N. ze szkołą podchorążych i różnymi oddziałami legionowemi. Pierwszych legionistów spotkałem w Jabłonkowie, kiedym wracał ze szkoły miejskiej.

Polskie wojsko w Jabłonkowie! Zdawało się nieraz, że już jesteśmy w Prusach, że Jabłonków lada chwila zostanie zgermanizowany — ile to trzeba było zaciętej, uporczywej walki z systemem, idącym zgóry, nieraz zdawało się, że sił nie starczy, że to praca beznadziejna, bo nas zdławia, zduszą i zdemoralizują, i ręce często opadały, kiedy się było smagany nienawistnem określeniem: Volksaufwiegler, Hetzkaplan, kiedy starostwo cieszyńskie prowadziło w ewidencji jako: politisch unverläßlich, polnischer Hetzer.

Nagle w Jabłonkowie — polscy żołnierze, polscy legjoniści! Nie umiem tego określić, co się ze mną działo. Zdawało mi się, że śnię, że to przywidzenie tylko. Na Śląsku polskie wojsko!

Poszedłem w stronę dworca kolejowego w Nawsiu. Stamtąd napływały coraz liczniejsze grupki. Rogate czapki, mundur szary, karabiny stare. Pozdrawiają wszyscy słowem: cześć! Na dworcu wyładowują bagaż, różne skrzynie, siodła, konie, rowery, samochody.

Departament wojskowy z pułkownikiem Sikorskim na czele ulokował się w Nawsiu w kinie, w domu gminnym i w szkole. W Nawsiu umieszczono tak samo komendę placu. Komendantem jest dr. St. Kukiel. Szkoła podchorążych mieści się w starym młynie Sikory w Jabłonkowie, biuro ewidencyjne w starym ratuszu, wojsko rozlokowało się w szkole, w „Czytelni katolickiej“, w Łomnej, w Piosku, w Boconowicach, Milikowie, gdzie się dało.

Z wojskowymi przyjechało sporo rodzin, np. Daszyńska-Golińska, dr. Radlińska, Iza Mośczeńska, Konopaccy, przyjeżdżał kilkakrotnie

Piłsudski, Sieroszewski, hr. Morstin, Gwiżdż, Moraczewski, Sosnkowski, Galica, Daszyński, Sokolnicki, Strug i inni.

Ciężko ze szpitalem dla chorych legionistów. Brak łóżek, pościeli, chorzy leżeli w pierwszym tygodniu na podłodze. Są siły lekarskie, jest dr. Switalska, dr. Kapelner, Sambor, jest kilka sanitariuszek, ale niema najprymitywniejszych urządzeń. Na razie umieszcza się chorych w Szygłe, w domu Bullawy i z każdym dniem już lepiej, bo Jabłonków nie pozostał biernym wobec chorego i rannego żołnierza polskiego. Zorganizowany naprędce Komitet przy Polskim Związku Niewiast katolickich dostarczył już łóżek, słomy, ziemniaków, prześcieradeł, sporo naczyń i szpital od kilku dni wygląda możliwie. Zbiera się lekturę dla żołnierzy, a głównie dla chorych i jest nadzieja, że nie tylko Jabłonków sam, ale i cały Śląsk otoczy Legjony, a w pierwszym rzędzie szpitale należytą opieką. Odpowiednie odezwy do gazet cieszyńskich już wysłano. Mam nadzieję, że wojsku polskiemu na Śląsku będzie dobrze, bo tu ludzie prości, ale szczerzy i serca złote mają.

J a b ł o n k ó w, 1 grudnia 1914.

W Jabłonkowie ruch jak w wielkiem mieście, a mieszkanie moje to istny zajazd. Przychodzą „uciekiniery“ jedni po wsparcie, drudzy po radę, wskazówki, inni po książki, przychodzą legionisci po buty, bieliznę, papierosy, a ludność tutejsza ze skargami na legionistów za ich wybryki różne i szkody, jakie wyrządzają. Za wszystko jak zwykle odpowiada ksiądz.

Przedwczoraj obchodziliśmy tu rocznicę powstania listopadowego. Przed południem nabożeństwo w kościele parafjalnym. Miałem przemowę na temat: „Bracia, już czas, abyśmy ze snu powstali!“ — Pierwszy raz mówiłem do wojska polskiego, o Polskę w tej wielkiej wojnie walczącego! Nie trzeba było długo szukać tematu i myśli — było ich aż za dużo. Tyle chciałoby się powiedzieć — wszak świta nam nowy dzień i trzeba teraz ze wszystkiego się otrząsnąć, skupić i siły zjednoczyć do działania. Bo dnieje, bo oto odzywa się „złoty róg“, byśmy szli na jego zew, a przestali krążyć w kółko za zwodniczą muzyką chochoła. Byśmy zaś wytrwali, na to trzeba siły nasze połączyć z wszechmocą Boga, odnowić się duchowo, naprawić stosunek do Niego, trzeba koniecznie „porzucić uczynki ciemności, a otoczyć się zbroją światłości“.

Wyjątki z przemówienia umieścił wczoraj kap. Galica w rozkazie dziennym do wojska.

Wieczorem odbył się w sali kina uroczysty wieczór listopadowy.

Sala ładnie i gustownie udekorowana. Na ścianie na czerwonym tle Orzeł biały w wieńcu z koroną i napis: „Czas wam wstać!“ Sala zapelniona po brzegi, dla wielu zabrakło miejsca.

Nastrój niezwykle uroczysty. Tak nie obchodzono u nas jeszcze żadnej rocznicy ani uroczystości narodowej. Wszak tam na podjum prawdziwe wojsko polskie stało i śpiewało i budziło ducha. To już nie wspomnienie dalekie, obce z przeszłości, ale żywi rycerze z krwi naszej. To tacy, co byli w bitwach jeszcze przed kilku dniami pod Laskami, Iwangrodem, Krzywopłotami,

co walczyli z Moskałem. A na sali wśród nas — spadkobierczyni idei listopadowej, wskrzeszona na nowo szkoła podchorążych.

Zagał obchód listopadowy pastor Fr. Michejda z Nawsia. Mówił bardzo serdecznie o tym naszym Śląsku, co to najstarszy ze ziem Polski tak długo żyje sam życiem własnem. Uciskany, gnębiony przechodził tyle kolei i tyle eksperymentów, był świadkiem tylu przewrotów dziejowych, a mimo wszystko pozostał polskim i tyle razy był schronieniem dla Polaków i wojsk polskich. Dziś w wojnie światowej to samo się powtarza. Śląsk nigdy nie zawodzi. A lud tutejszy, choć bałamucony, wynaradawiany, pozostał i pozostanie polskim. Została mu dusza zawsze polska i modlitwa polska — to go chroni, to go broni i obroni.

P. Orsza-Radlińska mówiła o powstaniu 1831 r. Śpiew legjonisty Zopotha, artysty opery wrocławskiej, arja Filipa z Verdiego „Don Carlo“ i deklamacja legjonisty Strojka były wspaniałe. Takiego wykonania i oddania, takiego rwącego za serce śpiewania nikt tu u nas jeszcze nie słyszał. Było w tem coś, co wgryzało się w serce, pobudzało do łkania, ale i do nadziei, do czynu.

Kilka razy wystąpił chór szkoły podchorążych pod batutą leg. Wojciechowskiego. Zakończył wieczór przemówieniem dr. Kot. Wskazał na doniosłe przemiany psychiki polskiej w czasie wojny i na spontaniczne objawy patriotyczne we wszystkich zakątkach Polski, wskazał na Śląsk, jego ofiarność i udział w budowaniu Ojczyzny.

J a b ł o n k ó w, 8 grudnia 1914.

Ojciec św. Benedykt XV wydał w tych dniach do biskupów świata katolickiego encyklikę w sprawie wojny.

Papież kreśli straszny obraz wojny, obraz krwi i nieszczęścia.

Ojciec św. zaklina władców i narody, aby położyły kres walce bratobójczej.

Ale inna jeszcze wojna zasmuca serce Ojca św.: wojna w dziedzinie ducha, niemniej zgubna. Ta wojna stała się zaczątkiem walki obecnej, orężnej. Główne jej przyczyny, to brak miłości bliźniego, wżgarda i niesprawiedliwość, a zwłaszcza to, że dobra materialne stały się jedynym celem ludzkości. Gdyby tych nieprzyjaciół skutecznie zwalczono, pokój i dobrobyt powróciłby na ziemię. Niema ducha miłości braterskiej. Narody, stany, ludzie, rozdzieleni są między sobą samolubstwem.

Węzły między władającymi a władanymi rozluźniały się coraz bardziej, od chwili, gdy ludzki i społeczny autorytet poczęto czynić niezależnym od Boga. Książęta i władcy winni zastanowić się, czy rozsądnem jest oddzielać Chrystusa od religji, czy dobrze jest usuwać naukę ewangelji młodych pokoleń? Skoro podkopano w ten sposób dwie podstawy spójni społecznej: miłość bliźniego i poszanowanie władzy, trudno dziwić się, że ci, którym szczęście sprzyja i ci, którzy się zwą wydziedziczonymi, walczą ze sobą. Przeciw temu wysunąć trzeba zasadę ewangelji: miłość wzajemną. W tym celu należy jednak

zniszczyć i wyrwać istotny korzeń wszystkiego złego. Jest nim materializm, który stał się wyłącznym celem życia. Należy wzmocnić wiarę w rzeczy nadprzyrodzone, a przez to nadzieję dóbr wiekuistych.

Przechodząc do spraw kościelnych, Papież omawia obronę wiary, rozszerzanie misyj, oświadcza, że pragnie łagodzić wszelkie powstające niezgodności i przeszkadzać powstawaniu nowych.

J a b ł o n k ó w, 9 grudnia 1914.

Pierwszym żołnierzem, którego przygotowałem w tej wojnie na śmierć, był legionista Wagner, rodem z Królestwa Polskiego, artysta sceny warszawskiej.

Wracałem kilka dni temu pod wieczór ze szkoły. Już ciemno się robiło — patrzę — przed wikarjatem sanki chłopskie. Mam jechać do szpitala dla zakaźnych, bo tam legionista jakiś kona.

W przeciągu paru minut wziąłem z kościoła Wiatyk i usadowiłem się na sankach. Konie mkną co sił starczy w kierunku Nawsia.

Naprzeciw kościoła nawiejskiego na prawo ścieżką w górę chałupa drewniana, to cel jazdy. Tam dogorywa biedny chory w szpitalu zakaźnym dla legionistów.

Odrazu na wstępie uderza silny zapach lyzolu, nieodstępny w szpitalach dla chorób zakaźnych. Z sieni wejście do pokoju, gdzie jest wszystko razem: kuchnia dla chorych, apteka, pokój pielęgniarce, pralnia. A dalej trzy izby, zapchane chorymi na tyfus, czerwone, ospę.

Nie chce się wierzyć, że to szpital. Parę łózek z desek prostych, tarcic na słupkach, na tem siennik i to wszystko. Są tacy, co leżą tylko na podłodze, na słomie. To ludzie, co dobrowolnie szli na wojnę, co tyle ofiar ponosili. Smutne, przykre wrażenie robi ten szpital. Napewno i Pan Jezus, którego przyniosłem, spoglądał dziwnie smutno na tak niebywałe opuszczenie, nędzę i cierpienie. Tam tak ubogo, źle i ciasno! Nie było gdzie nawet położyć bursy z Wiatykiem. Nigdzie ni stołu ni krzesła.

A ten, do którego przyszedł, to już tylko ruina. Błady, słaby, wycieńczony, przeźroczysty, z oczu śmierć wyziera. Biedny! Poszedł dobrowolnie z wiarą, że przyczyni się do wywalczenia Ojczyźnie wolności, swobody — poszedł jako ochotnik z przekonaniem, że z tej wojny wyjdzie to, za czem wszyscy od tak dawna tęsknimy, że się skończy niewola, że naród cały odżyje, że Polska znajdzie znowu swe miejsce wśród narodów Europy.

Bo przecież każdy naród, to osobna myśl Boża. A jak myśl Boża zginąć nie może, tak nie zginie ale odżyje znowu naród polski, zmartwychwstanie.

Poszedł, by złożyć tej idei w ofierze swe chęci i siły. Ale przeliczył się.

Wątłego zdrowia, delikatny, słaby, nie wytrzymał trudów. I oto tyfus rozkłada i niszczy nikły organizm. Tylko oczy jeszcze błyszczą ogniem, co świadczy o wielkim polocie, o wielkiej duszy, co się wydiera „do ogromnych wielkich rzeczy“, co chciałaby „ramię rozpostrzeć szero-

ko, wielkie skrzydła porozwijać, lecieć a nie dać się mijać“^{*)}).

I cóż teraz z tych chęci, pragnień i ofiar? Za chwilę skończy się wszystko, życie zgaśnie. I teraz biedny kaja się przed Bogiem — odbywa ostatnią spowiedź, obmywa duszę swą jasną w Sakramencie Pokuty, otwiera ją na przyjęcie Boga... oddaje się Bogu ze swą ofiarą wielką na wyłączną własność.

Nie myślał, że to tak prędko przyjdzie. Taki młody! Tyle chciał zdziałać, tyle osiągnąć!

Ileż w tem tragizmu, ile bólu!

A ile to takich w ciągu całego bolesnego pasma walk beznadziejnych! Od wojen napoleońskich, od Samosiery, Berezyny, Lipska aż do Krzywopłotów, do Nidy!

I dziwna rzecz! — Tyle najlepszych ginie — ciągle nowe ofiary, a naród jeszcze żyje i istnieje! Wymazano go z karty Europy, powiedziano, że go niema. Trzy potęgi starają się zgangrenować go i zatruć. Dziś po stu latach po bezprzykładnem spustoszeniu wzdłuż i wszerz, po wywiezieniu i zagłodzeniu setek tysięcy — dziś tyle jeszcze siły, odporności w tym narodzie dziwnym, tyle wiary silnej we wschodzące słońce, w lepsze jutro!

Przecieżby wygodniej było wyprzeć się polskości i wiary, przyjąć inny język, przecież dziś nie dobrze być Polakiem. Wszędzie traktują nas jako coś gorszego: w wojsku, urzędach, w pracy — wszędzie. A jednak mimo wszystko całe miliony wyrzuconych ze swoich siedzib, tysiące

^{*)} Wyspiański, Wesele, scena 24.

mieszkających w barakach i norach, ziemiankach, z ruin i zgłiszczy a nawet z pod mundurów państw zaborczych wołają i krzyczą: jesteśmy i będziemy!

Tysiące idą dobrowolnie na wojnę i na poniewierkę. Dziwny naród! Traci wszystko, wszystko mu teraz niszczą i tratuja, staje się jeszcze uboższym, biedniejszym, jednak z całej strasznej wojny światowej wyjdzie z sumieniem czystym i będzie mógł kiedyś powtórzyć z Józefem Kościelskim: „Cieszymy się i Bogu dziękujemy, że jesteśmy tylko prześladowanymi, a nie prześladowcami“.

Dziwny naród! Ilu już wydał takich artystów-żołnierzy, marzycieli, co giną, na tyfus umierają, nic nie osiągnąwszy! — Umierają, odchodzą a na ich miejsce zgłaszają się inni. Coś ich wszystkich podtrzymuje, ożywia — myśl jedna, wielka: Ojczyzna.

Umiera, kończy a jeszcze o Ojczyźnie szepce i marzy! — Tak umarł i ten biedak, żołnierz — bohater — artysta — marzyciel. Umarł w godzinę po przyjęciu Sakramentów św. Spoczął jako pierwszy legionista na śląskiej ziemi na cmentarzu jabłonkowskim.

Pogrzeb był skromny, ale godny legionisty-artysty.

Czyś ty marzył kiedy o tem, byś miał koło swej trumny polskie wojsko? By wojsko polskie oddawało ci ostatnie honory? Czyś ty marzył o tem, że spoczniesz tu w tej prastarej ziemi u źródeł Olzy, że Beskidy, ozłoczone słońcem, posrebrzałe śniegiem, staną ci artysto-rycerzu u grobu na straży?

Pożoga wojenna niebywała w dziejach, wojna o Polskę, ścina tyle młodych jestestw! Giną najlepsi, giną bohaterzy, ale trzeba schylić głowę przed Bożemi wyrokami i Bożą wolą.

Kiedy artysta tworzy jakieś monumentalne dzieło, to zasłania się zwykle ogrodzeniem, rusztowaniem i dostrzegamy tylko płótno szare, brudne deski, może fragment tylko, szkic, którego nie rozumiemy. Lecz kiedy artysta, ukończwszy dzieło, zdziera zasłonę, wtedy pojmujemy wszystko, rozumiemy artystę, podziwiamy piękno.

To samo i u Boga. Budowa czy przebudowa narodów lub państw, odbudowa Polski, wskrzeszanie to dziś, póki wojna trwa, tylko fragmenty, może nieraz odrażające, przykre, niezrozumiałe. — Lecz kiedy Bóg — artysta przedwieczny, odsłoni całość, da nam to, o co teraz codzień się modlimy, o co na różnych frontach walczymy, dopiero wtedy zrozumiemy dobroć i miłosierdzie Boże, gdy wszystko złoży się w ów cud — Polskę wolną.

Jabłonkowanie nie zapomną o mogile legionisty-artysty. Bo choć on z Królestwa, z poza kordonu, a my ze Śląska, to my wbrew wszystkiemu po polsku myślimy, czujemy i cierpimy. Jedna wiara, jeden język, jeden ból. Jego mogiła stała się naszą własnością, pamiątką. Do tej mogiły będą w Jabłonkowie pielgrzymować, by tam nabierać hartu, mocy i wiary, że żaden trud, żadna ofiara nie ginie, ale prędzej czy później przeradza się w plon. Legł w siostrzanej ziemi nad Olzą, a tam serca takie złote, takie dobre,

jak mało gdzie. Tam mu teraz lepiej niż nam, co musimy — jak mówi Wyspiański:

patrzeć na przebiegi zdarzeń
dalekie, dalekie od marzeń,
tak odległe od wszystkiego...*)

Śląsk bezpośrednio zagrożony. W ciche dni, a jeszcze więcej w nocy słychać w Jabłonkowie i okolicy daleki, głuchy huk armat. To najlepiej oświetla sytuację. Ludzie rozmawiają już na temat, co będzie, jak przyjdą kozacy? Żyje się w oczekiwaniu najgorszych rzeczy. Niemcom jabłonkowskim miny rzedną. Nie wymyślają już na legionistów.

J a b ł o n k ó w, 17 grudnia 1914.

Wśród różnych rozbitków wojennych, jacy się znaleźli w Jabłonkowie, wyróżnia się wybitnie p. Olszamowska, żona adwokata z Petersburga, zdolna poetka. Ma w Legionach dwóch synów. W chwili wybuchu wojny, w sierpniu, była w Warszawie. Stamtąd przedostała się przez front rosyjski i niemiecki w Rawie i przyjechała do Jabłonkowa, poszukując syna, który z uniwersytetu w Anglii miał wyjechać do Legionów.

Przecucie nie zawiodło matki. Po drodze z dworca do miasta poznała między maszerującymi wychowanekami szkoły podchorążych swego syna Janusza z pseudonimem Łaszczyc.

Pani Olszamowska niepokoi mocno tutejszą żandarmerję, węszącą wszędzie szpiegów „ru-

*) Wesele II, scena 7.

skich“. Ciągłe ją też śledzono i molestowano. Ustało to dopiero wtedy, gdy zamieszkała w domu Bagińskiego w pokoju, położonym nad posterunkiem żandarmerji.

Wbrew żandarmom i p. Olszamowska i Legjony mają dokładne informacje o tem, co się dzieje za frontem rosyjskim i w Petersburgu. Drogą okrężną na Stockholm przez państwa neutralne jeżdżą legjoniści do Rosji, przywożą listy i wiadomości bezpośrednie. Pokazywano mi niedawno lekarza legjonowego Tatara z Litwy, mużulanina z pseudonimem Michał, który z Jabłonkowa jeździł do Rosji.

Otrzymałem w tych dniach kartkę od brata, artylerzysty w Krakowie na forcie w Rajsku, że to oni ze swych armat ósmego i dziewiątego grudnia ostrzeliwali zbliżających się pod Kraków Moskali. Czy zrobili im jaką krzywdę, nie wiem. Zato od gwałtownego naporu powietrza wskutek tych strzałów zginęło dwóch Jezuitów w klasztorze w Staniątkach. Rzuciło nimi tak gwałtownie o ścianę w korytarzu, że ponieśli śmierć na miejscu. Nazwiska ich: O. Kurcz i O. Płukasz. Zamiast do Moskali, strzelają w Krakowie do Jezuitów. Takie tragiczne pomyłki zdarzają się w Krakowie nie pierwszy i pewno nie ostatni raz.

A zatem Kraków bezpośrednio zagrożony. Obecnie nie słysząc już strzałów ani w dzień ani w nocy. Akcja wojenna widocznie na razie utknęła.

Święta Bożego Narodzenia za kilka dni. Specjalny komitet gwiazdkowy przygotowuje gwia-

zdkę dla żołnierzy-legjonistów, głównie dla rannych i chorych w szpitalach w Jabłonkowie i w okolicy. Niewesołe to będą święta.

Jabłonków, 28 grudnia 1914.

W dzień wigilijny było w Jabłonkowie i okolicy do tysiąca legionistów. Z tego chorych i rannych do dwustu, reszta załoga, kompanie wartownicze, szkoła podchorążych. Od kilkunastu dni krzątał się komitet gwiazdkowy, by uprzyjemnić żołnierzom ten dzień, w którym każdy myśli z tęsknotą o rodzinnem cieple, o rodzinnych progach. Ze składek zebrano koło tysiąca koron, zakupiono różne drobnostki i rozdzielono między legionistów. Wykaz składek w pieniądzu i naturze wysłałem do „Gwiazdki Cieszyńskiej“ i „Dziennika Cieszyńskiego“.

Chorzy, ranni otrzymali każdy: parę skarpetek, opaski ciepłe, szczoteczkę do zębów, chustkę do nosa, mydło, kilkanaście papierosów, trochę ciastek, pierników i jabłek.

Inni otrzymali: ciastka, pierniki, czekoladę, owoce i papierosy. Z powodu wielkiej liczby legionistów, braku odpowiedniego miejsca i oddalenia szpitali, domów wypoczynkowych, jako też poszczególnych oddziałów, nie można było urządzić jednej wspólnej uroczystości gwiazdkowej. Dlatego komitet postarał się o choinki osobne w szpitalu w Szygłe, w szpitalu zakaźnym i miejskim, w sali kina w Nawsiu, w Boconowicach, w Łomnej, Milikowie, Piosku, Wędryni i w Czytelni katolickiej w Jabłonkowie.

Po wieczerzy pozapalano ubrane mile choinki i rozdzielono podarunki. Potem rozpoczęto kolędy: „Bóg się rodzi“, „Wśród nocnej ciszy“, „Lulajże Jezuniu“. Płynęła jedna pieśń za drugą, ze serca, z głębi duszy — płynęła pieśń polska, kolęda z piersi żołnierzy-bohaterów. Raz cicha, smętna, to znowu jak burza mocna, płynąc do stóp Boskiej Dzieciny.

I rozśpiewali się żołnierze, zdala od domów. Bez wieści o swoich, myśleli tu na śląskiej ziemi o tych, co albo zostali tam gdzieś w „krajnie mógł i krzyżów“, albo sami tułają się bez dachu nad głową. Niejeden ukradkiem łzę ocierał. A tam w górze Pan Bóg zbierał te wszystkie łzy, westchnienia tłumione, te ciche prośby, ból i ofiary i przyjmował je jako hołd polskiego żołnierza, jako tren błagalny, cichy i harmonijny: „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!“

Tak odprawiły Legjony wieczór wigilijny na śląskiej ziemi. Wyróżniała się gwiazdka w kinie ze względu na obecność na niej brygadiera Piłsudskiego. Na propozycję pastora Fr. Michejdy zebrałem wśród chłopców jabłonkowskich kilku pastuszków, którzy na tej gwiazdce odśpiewali ulubione kolędy śląskie, ułożone przez poetę jabłonkowskiego ś. p. Adama Sikorę. Przemówiłem do zebranych, życząc, byśmy za rok łamali się opłatkiem już w jednej naszej wspólnej chacie — w wolnej Polsce. Odpowiedział na to komendant placu dr. M. Kukiel.

Jednak największe i najmilsze wrażenie wywarł na mnie wieczór wigilijny w szpitalu zakaźnym u chorych na tyfus. Tam radość wigilijna była największa i najszczerza.

291

K r a k ó w, 26 maja 1915.

Z początkiem roku 1915-go otrzymałem nominację na austriackiego kapelana wojskowego. Ponieważ był brak kapelanów-Polaków, a nie było ich skąd brać, bo front od grudnia trzymał się na linii Nida, Tarnów, Gorlice, więc pakowano w mundur kogo się dało.

Przeciw przydzieleniu mnie do wojska protestowało starostwo cieszyńskie, twierdząc, że nie nadaje się na to stanowisko jako „politycznie podejrzany“. Przed kilku tygodniami przeprowadzał dochodzenie w tej sprawie bezpośredni mój przełożony, superjor wojskowy ks. Krasowski, spisał protokół i dotychczas nominacji nie unieważniono. Noszę więc mundur armji „Jego c. i k. Apostolskiej Mości“, a na ulicy człowiek zaczyna się dla mnie dopiero od majora w górę, — to, co niżej, o to nie potrzebuję się troszczyć, jak mówią doświadczeni w fachu wojskowym koledzy duchowni i świeccy.

Zostałem kapelanem szpitalnym w Krakowie. Przydzielono mnie do t. zw. szpitali fortecznych Nr. 6 i Nr. 7. Szpital Nr. 6 mieści się w budynku Seminarjum duchownego pod Wawelem. Do niego należą jeszcze szereg tymczasowych szpitali,

urządzonych na czas wojny w klasztorze OO. Bernardynów, w szkole obok, na Stradomiu u OO. Misjonarzy, przy ul. Smoleńsk u SS. Felicjanek, w Muzeum techniczno-przemysłowem i w szkole przy tejże ulicy oraz w Kasynie szlacheckiem przy ul. Wolskiej. Szpital Nr. 7 mieścił się przy ul. Warszawskiej u SS. Nazaretanek i Szarytek, przy placu Matejki, w szkole miejskiej, w Akademji Sztuk Pięknych i u OO. Misjonarzy na Kleparzu.

Mieszkam w Seminarjum duchownem na-przeciw kaplicy seminarjalnej, mając za sąsiada prefekta Seminarjum ks. Marjana Morawskiego, bratanka znanego Jezuitę ks. Marjana Morawskiego, autora „Wieczorów nad Lemanem“.

Pomimo zewnętrznych pozorów, munduru, zapominam, że jestem w wojsku. Zdaje mi się, że tylko forma duszpasterstwa uległa zmianie — więcej nic. Z wojskowością niewiele mam kontaktu. Tylko z księżmi i swymi kochanymi chorymi. Poznaję wielu księży: ks. regensa Mazanka, ks. Niemczewskiego, ks. Rosponda, a szczególnie młodszych, którzy widać przez przyzwyczajenie wstępują do Seminarjum i odwiedzają ukochane mury, w których spędzili szereg lat najpiękniejszych, przygotowując się do kapłaństwa. Odwiedzają przytem ks. Morawskiego, a przy tej sposobności i mnie, choć z obcej diecezji, okruszyny się dostają.

Wymiana myśli szczególnie w tak wyjątkowych dla duszpasterstwa chwilach, poruszanie tematów teologicznych, ascetycznych, obserwacja bezpośrednia pracy kapłańskiej w takiej diecezji, jak krakowska, jest bardzo pożądanem uzupeł-

nieniem moich braków i niedomagań. Niejedno w mem kapłańskim życiu zawdzięczam tym błogosławionym chwilom, spędzonym drugi raz w seminarjum duchownem.

W pracy nad chorymi różnie bywa. Są tygodnie, gdzie rannych i chorych bardzo dużo, ruch ogromny, a są okresy, kiedy szpitale powoli pustoszeją, bo ranni podleczeni bywają wysyłani do szpitali, bardziej oddalonych od frontu.

Pomaga w duszpasterstwie szpitalnem duchowieństwo krakowskie, zorganizowane w tym kierunku wzorowo przez księcia biskupa Sapiehę. Każdy szpital, a nawet każdy oddzielny budynek, mieszczący chorych, ma dodatkową opiekę szpitalną jednego z miejscowych księży. Przy rozrzuconiu różnych obiektów szpitalnych po całym mieście nie możnaby podołać wymaganiom. Dzięki ofiarnej współpracy całego duchowieństwa w Krakowie można było przeprowadzić spowiedź wielkanocną nietylko we wszystkich szpitalach, ale w całym ogromnym garnizonie krakowskim i wyspowiadać stale tych, co odchodzą w t. zw. kompanjach marszowych co tydzień na front i nie pozostawić bez opieki duchownej tych, którzy jej pragną i którzy jej potrzebują.

K r a k ó w, 5 czerwca 1915.

Chwile najbardziej wytężającej pracy chyba już minęły. Przez cały miesiąc maj po przebicciu frontu rosyjskiego pod Gorlicami przewinęło się przez szpitale krakowskie dziesiątki tysięcy rannych. Zwożono ich bezustannie pociągami sani-

tarnemi, a z dworca przesyłano samochodami do szpitali.

W każdym szpitalu jest osobny oddział dla świeżo przybyłych. Tam myje się chorych, zmienia bieliznę i prowizoryczne opatrunki. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, po korytarzach, gan-kach leżą chorzy na noszach, na podłodze. Każdy brudny, zakurzony, czarny, spocony. A z ran ciecze nieraz ropa, odór nieprzyjemny, robactwo łązi. Ile trzeba pracy, nim się takiego oczyści, umyje, nim go można wnieść na salę do łóżka z czystą pościelą!

O ile potrzebna operacja natychmiast, to nie zwraca się uwagi na brud, na nic, byleby tylko uratować nieszczęśliwego.

Ponad tem wszystkim jęki, krzyki, syczenie z bólu, narzekania, skargi. Wszystkich łączy tu jedno — ból, cierpienie, nieszczęście. Jedni przetrzymują jako tako, drudzy umierają w tym samym dniu lub w ciągu tygodnia. Nieraz przygotowuje się, spowiada na śmierć jednego, leżącego gdzieś na noszach, na podłodze, a wołają nagle do trzeciego, czwartego.

Bardzo przykre bywa zrywanie prowizorycznych bandaży w sali operacyjnej. Wobec długiego trwania jazdy i gorąca przysychają opatrunki do ran a trzeba je zmienić jak najprędzej z obawy przed zakażeniem. Słychać też często nieludzkie ryki i krzyki, przejmujące do głębi, wycie okropne. Nieraz krzyk rozlega się przez zamknięte okna na kilkanaście metrów wokoło na ulicy. Przechodnie wtedy przystają, jedni płaczą, drudzy ze zgrozą uciekają.

A niema na to innej rady. Już i tak nieraz wskutek spóźnionej opieki lekarskiej, nim rannych pozbierano z pola bitwy, zaczęły się rany psuć, robactwo wżera się w żywe ciało. Nieraz widzi się ranę otwartą, szeroką, w której rusza się robactwo. Na sam widok można zmysły stracić. A jednak lekarze twierdzą, że robaki te niejednemu nieszczęśliwemu ratują życie, bo żywią się tem, co gnije i psuje się, i w ten sposób oczyszczają ranę i chronią przed gangreną.

Nowych chorych nazywa się w języku szpitalnym pospolicie: Zuwachs — tyle, co przyrost. Imienia, nazwiska nie pamięta nikt, choć napisane jest na kartce nad łóżkiem. Chorych określa się zwykle według sali, na której leżą, czasem według narodowości, lub rodzaju choroby, czy rany. Chyba, że ktoś dłużej leży, to przestaje być dla personelu szpitalnego rzeczą, a staje się osobnikiem o nazwisku i pewnych ściśle określonych warunkach. Zdarzają się nieraz chorzy, o niewiadomych nazwiskach i niewiadomej przynależności. Przywożą nieprzytomnego, legitymacja zginęła, przytomności nie odzyskał i umiera zupełnie nieznany i zapisują go jako nieznanego. Po takim ginie zwykle ślad na zawsze. I tak giną setki mężów, ojców, braci bez śladu.

O ile można, fotografuje się takich bezimiennych i umieszcza fotografie w specjalnych wykazach nieznanym, ale to nie zawsze i nie wszędzie możliwe.

To chyba najsmutniejszy los umierać nieznanym między obcymi, daleko, a tam gdzieś jest

przecież ktoś, co myśli o biednym, co pragnie wieści jakiej, za nim tęskni, za niego się modli i choć dawno wiadomości nie było, choć na wszelkie poszukiwania i pisania ciągle przychodzi jedna odpowiedź: „zaginiony!“, — jeszcze ciągle wierzy i ufa, że czegoś się dowie, może żywego w progach rodzinnych powita. A on tymczasem śpi — daleko od domu, jako cichy bohater, co dał życie za Ojczyznę, nieznany nikomu, tylko jednemu Bogu.

Kiedy się widzi takich bezimiennych zmarłych, kiedy spotyka się dziesiątki mogił, grobów bez napisów, bez znaków, groby nieznanych żołnierzy, o których nikt nie wie, kto tam leży, skąd, to pojmuje się naukę Kościoła świętego o Świętych obcowaniu i tę niesłychaną doniosłość modlitw Kościoła za zmarłych, tę Jego miłość do swych dzieci wszystkich.

I choćbym nie wiem gdzie i kiedy umarł, zapomniany, nieznany nikomu, choćbym zniknął gdzieś bez śladu, Kościół św. pamięta o mnie i modli się za mnie, ogarnia mnie swemi modłami, ofiarami mszalnemi, prośbami tysięcy: „Requiem aeternam dona eis Domine, et lux perpetua luceat eis“. I ja mam w tem swą część.

I choć dziś wszędzie tysiące różnych grobów i mogił, to do wszystkich zmarłych dzieci Kościoła i do znanych i nieznanych dolatuje szep modlitw i ofiar milionów wiernych, jakoby powiew wiatru wiosennego, co muska bohaterów groby swem cichem a pokornem: Dobry Jezu a nasz Panie, daj im lekkie spoczywanie!

K r a k ó w, 21 czerwca 1915.

Kiedy dowiedziałem się, że będę kapelanem szpitalnym, stawały mi przed oczyma rany krwawe, krew ciekąca, operacje, noże, trupy.

Nie myślałem wtedy, że tam w szpitalach znajdę przede wszystkim ludzi, dusze, pragnące dobrego słowa, ludzi, którzy w cierpieniu są jak dzieci, ludzi, którzy pozostawieni sobie, daleko od swoich kochanych, tęsknią za kimś życzliwym, któryby ich podniósł, dodał otuchy i wiary w siebie.

Pierwsze chwile pracy szpitalnej nie należą do miłych i przyjemnych. Przede wszystkim nie wiadomo, jak się do tego zabrać.

Wchodzi się do sali — i widzi się przed sobą szeregi łóżek po prawej i po lewej stronie. Łóżka żelazne, żołnierskie, na nich kołdry czerwone, niebieskie lub innego koloru, poduszka a na poduszce głowa. Kołdry i same głowy. Jedne obłożone z zamkniętymi oczyma, drugie ożywione, wpatrują się ciekawie, pytająco. I nie wiadomo, co właściwie ze sobą robić. Trudno przecież mówić do wszystkich odrazu, a z pojedynczym chorym — nie wiadomo co. Leży ktoś zupełnie obcy, nieznajomy, w dodatku zwykle zniechęcony do całego świata, apatyczny. O czem tu z takim gawędzić?

A takich sal nie jedna ani dwie, ale dziesiątki. I pierwszy raz nieszczególnie idzie. Za drugim razem już lepiej. Już jest jakiś punkt oparcia. Ktoś z nich zdrowszy, rezolutniejszy, zaczyna pogawędkę. Drudzy słuchają, dorzucają swe uwagi, pytania. Sala zaczyna żyć. A kiedy zaczną opo-

wiadać swe przejścia i przeżycia, to siadają na łózkach o ile tylko mogą, stają się rozmowni, oczy im błyszczą z ożywienia i gestykulując żywo, malują w słowach swe przygody. A każdy z nich był świadkiem wielkich rzeczy. Mało teraz żołnierzy, którzyby śmierci nie patrzyli wprost w oczy. Karpaty, Gorlice, Serbja! Wszyscy pytają, jak długo jeszcze, kiedy się to skończy i jak.

Obok łóżek stoją krzesła lub umieszczone są deseczki. Na nich pudełka z tytoniem, papierosami, fajka, jakaś blaszanka lub łyżka, kartki i listy z domu, nierzadko fotografia. To żona z dziećmi. Często małe dziecko na kolanach matki, obok niej większe. „Tego małego jeszcze nie widział“ — objaśnia z rozrzewnieniem chory. „A ten chodzi już do szkoły, już mi pisze listy, a ta pomaga w gospodarstwie.“ Tak opowiadają i są wdzięczni za słuchanie tego, co ich najwięcej obchodzi. Znajomość zacieśnia się. Nie raz proszą, by za nich napisać do domu, do dzieci.

Z czasem każdy chory w sali znajomy. Nie mają tajemnic, opowiadają o wszystkim, o swem szczęściu i o biedzie, o tem, co ich cieszy i co boli, o minionych i obecnych latach. Układają wspólne plany na przyszłość.

I sala przestaje być zbiorowiskiem nieznajomych, obcych chorych, a staje się zespoleniem indywidualności różnych, o ściśle określonym charakterze, usposobieniu i pojęciach, o własnej historii życia osobistego. I choć każda sala ma bezsprzecznie swą odrębną, nieuchwytną fizjognomję, swój odrębny charakter, to wyczuwa się, że każdy chory jest w niej całością, osobną isto-

tą, o własnych przeżyciach, własnych pragnieniach i aspiracjach, z własnym światem myśli, przekonań i pojęć.

Nieraz zacieśniają się węzły przyjaźni i gdy trzeba się rozłączyć, to często lży są tej przyjaźni cichym a rzewnym świadkiem.

Przebicie frontu rosyjskiego w Gorlicach w maju, cofanie się armji rosyjskiej na całym froncie wschodnim upoważniało do nadziei rychłej likwidacji wojny — tymczasem 23 maja wypowiedziały Włochy wojnę Austrii, co komplikuje jeszcze bardziej całą sytuację. Powstał nowy front w górach Alpejskich.

K r a k ó w, 6 lipca 1915.

Austria, Niemcy, czyli państwa centralne, otoczone obecnie ze wszystkich stron żywym murem wojsk koalicyjnych. Podobnie gigantycznych walk świat jeszcze nie widział. Czem się to wszystko skończy? Jedni i drudzy pewni zwycięstwa.

W Krakowie Prusacy czują się jak u siebie. Maszerują przez miasto całemi oddziałami. Cesarz Wilhelm ogląda Wawel. Przyjeżdża tu często z Pszczyny na Śląsku, gdzie przebywa główna komenda armji niemieckiej.

Cały świat tarza się we krwi. Życie ludzkie straciło swą wartość. Koncentruje się setki armat i bije w jeden odcinek frontu całemi godzinami. Wysadza się w powietrze olbrzymie fortyfikacje i tunele, wykute w skale razem z przebywający-

mi tam ludźmi lub zatapia torpedami okręty z setkami ludzi.

A szpitale pełne. Jedni ranni odchodzą, drudzy przychodzą. Przewijają się przez sale szpitalne najrozmaitsze języki, religje, usposobienia i charaktery. Z połowy Europy i z Azji wszystko się znajdzie.

Z czasem dochodzi się do takiej wprawy w rozpoznawaniu typów i narodowości, że na podstawie wyglądu twarzy zgóry można powiedzieć: to Niemiec, a to Czech, to Moskal, Rumun i t. d. Porozumiewają się chorzy między sobą rozmaicie. Jak inaczej nie można, to na migi. Najbiedniejsi zawsze Rumuni. Tak samo i z jeńcami z Rosji różnie bywa. Jedni mówią dość zrozumiale, drudzy tak, że nie sposób połapać się, czego chcą.

Przy całodzienniej beczynności chce chory jakiegoś zajęcia, by sobie zappełnić czas. Pierwszą rzeczą, której się domaga, to gazeta. Chcą wiedzieć, co się w świecie dzieje, co słyhać w domu i jak wojna idzie. Widzę często, jak im oczy błyszczą, kiedy przynoszę plik gazet. Każdy chce mieć swoje, w swoim języku, — Niemcy swoje, Czesi, Madziarzy, Kroaci swoje.

Poza tem pożądane są w szpitalu książki do nabożeństwa. Nigdy nie mają ludzie tyle czasu na skupienie i modlitwę, na rozmyślanie, co w szpitalu, kiedy całemi tygodniami leżą bez zajęcia. Tylko bardzo rzadko się zdarza, że ktoś książki nie chce. Na skutek prośby, ogłoszonej w gazetach, przysłano mi z różnych stron dla chorych tysiące książek modlitewnych, a wszyst-

kie się rozeszły. Nie moja rzecz pisać i sądzić o owocach tego masowego chwytania za książkę do nabożeństwa — nie da się to skontrolować.

Stwierdzam jednak, że widziałem cuda łaski i miłosierdzia Bożego, działane przy pomocy najprostszej książki do nabożeństwa. I zdaje mi się nieraz, że przy obecnem wyrzuceniu się narodów w czasie wojny z wszelkiej etyki i bojaźni Bożej, urządza Bóg szkołę wiary i powrotu do Boga w szpitalach.

Te setki i tysiące szpitali w dzisiejszej Europie, większa w nich sposobność niż kiedykolwiek wejścia w siebie, zastanowienia się nad samym sobą, nad swoim stosunkiem do Boga, to z pewnością jeden z etapów, jakimi Bóg ludzkość ku Sobie dziś ciągnie i prowadzi.

K r a k ó w, 27 lipca 1915.

W jednym ze szpitali przy ul. Warszawskiej leży ranny w nogę dwudziestoletni Niemiec z Pragi czeskiej. W maju strzaskał mu odłamek szrapnela nogę w udzie. Obie kości złamane. Aby je złożyć i spróbować, czy się nie zrosną, obłożono nogę gipsem i zabandażowano. Żeby zaś noga była stale wyprostowana, przymocowano ją do żerdki, umieszczonej nad łóżkiem, a u stopy umocowano dla obciążenia worek z piaskiem.

Ile razy wchodziłem, widziałem, że mój biedny żołnierz bardzo cierpi. Każde poruszenie było dla niego męczarnią. Przed każdą zmianą pościeli i pozycji składał ręce, prosząc z płaczem, by go zostawić w spokoju. Leżał tak z pod-

niesioną i wyprostowaną nogą tydzień, dwa, trzy — ile razy przyszedłem, zawsze to samo. Zacząłem z niego żartować, że mu się wstać nie chce. A on biedny nieraz przez łzy się uśmiechał. Ciągle prosił o książki. Znosiłem, com mógł. Czytał dużo, pochłaniał wprost różne dzieła, szukając w tem ulgi.

Dałem mu książkę, traktującą o spowiedzi. Zrobiła na nim takie wrażenie, że się potem co tydzień spowiadał i często Komunię św. przyjmował, drugich przykładem budował i w swe ślady wciągał.

A noga wciąż na „szubienicy“ wisi. To na to — mówił — by przypadkowo do domu nie uciekł.

Wreszcie z końcem czerwca przychodzę, a mój męczennik bez szubienicy. Noga spoczywa swobodnie na łóżku w lżejszym bandażu.

— No chwała Bogu! — powiadam — niedługo będziemy mogli tańczyć.

— E, niebardzo — uśmiecha się smutnie.

— Cóż takiego? Już chyba było dość tego wiszenia?

— Kiedy mam nogę o trzy centymetry krótszą i będę całe życie kulawym.

Chciałem pocieszyć go żartami, ale nie przemawiało mu to do przekonania. Musiałem zacząć z nim poważnie. Skończyło się na tem, że się pogodził z myślą, że będzie trochę utykał, byleby już raz podnieść się z łóżka.

Kilka dni temu wstąpiłem do niego, by zobaczyć, co się z nim dzieje. Na pierwszy rzut oka poznałem, że zaszło coś niedobrego. Nie omyliłem się. Z ciężko tłumionem łkaniem odzruca biedny koldrę.

— Księżu, proszę patrzeć!

Noga zrobiła się bezkształtna, rozlana. Nabrzmiała do niebywałych rozmiarów.

— Poco moje męki i bóle wszystkie? I tak nogę mi utną, niema ratunku.

Zabrakło mi słów. Uwięzły w gardle. Co mu powiedzieć? Są chwile, kiedy nie można nic mówić, bo wszelkie słowo traci znaczenie wobec ogromu nieszczęścia i jest przykrym zgrzytem tylko wobec tragizmu chwili.

Włożyłem mu do rąk krzyżyk, pokazując Ukrzyżowanego Króla boleści, zrobiłem znak krzyża św. na czole i pożegnałem.

To nie był mój ból, a jednak krwawił mi duszę. A cóż dopiero musiał przechodzić on sam biedny!

A przechodząc koło kościoła Marjackiego, wstąpiłem przed cudowny ołtarz Ukrzyżowanego i dziękowałem Panu Jezusowi, że umarł na krzyżu rozpięty i przybity.

Bo cobym miał do powiedzenia moim kalekom, moim biednym chorym, gdyby w Twojem życiu, Panie, nie było krzyża, ran i drogi krzyżowej? Cóż miałbym na pociechę dla tylu nieszczęśliwych?

Dopiero wobec dzisiejszej ogólnej grozy i nędzy zaczyna człowiek rozumieć słowa hymnu kościelnego: „O crux ave spes unica hoc passionis tempore!” — „Witaj nam, Krzyżu, nadziejo jedyna, w tym czasie nędzy, w chwilach cierpienia!”

Wystarczy wskazać na krzyż a bunt powoli ustępuje, cichnie. To lepsze, skuteczniejsze, niż wszelka wymowa.

I jeżeli kiedy, to teraz będziemy ze zrozumieniem wołali: „Kłaniamy Ci się Panie Jezu Chryste i błogosławimy Tobie, żeś przez k r z y ż i m ę k ę odkupił świat.“

Wczoraj wezwano mię do mego chorego. Chciał się wypowiadać i przygotować do operacji, bo tak doktorzy zdecydowali, żeby nie dopuścić do gangreny i niechybnej śmierci.

Dziś rano odbyła się operacja.

Byłem u niego po południu. Twarz spokojna, zrezygnowana. A gdy odsłonił kołdrę, zobaczyłem już tylko krótką, silnie obandażowaną część nogi, kikut.

Poco tyle bólu, cierpień? Poco tyle cierpieć, naco? I tak w rezultacie nogę odcięto.

Stracił biedak nogę, ale zyskał dużo, bo pogłębił swe życie duchowe, swój stosunek do Boga, przeprowadził u siebie dokładny „remont duszy“ i tego mu już nikt nie zabierze, tego już nie straci.

K r a k ó w, 3 sierpnia 1915.

W tej samej sali leżał od dłuższego czasu młody jeszcze, 19-letni chłopak, Czech z okolic Budziejowic. Pamiętam, kiedy go przywieziono do szpitala; był wtedy zupełnie nieprzytomny. Miał silną gorączkę i zdawało się, że umrze. Odrazu udzieliłem mu Olejów św. w przekonaniu, że nazajutrz będzie z niego nieboszyk. Dostał po-

strzał w głowę, a takie rzeczy są bardzo niebezpieczne.

Ale Pan Bóg jakoś czuwał nad nim i choć życie na włosku wisiało, młoda natura przemogła i nasz Pepik — bo tak go nazywano — obronił się śmierci. Tylko rozum mu troszkę zamroczyło. Kiedy kto przystąpił do łóżka i zaczął o coś pytać, to jedyną jego odpowiedzią było:

— Ne delejte se mne blazna! Ja to powim mamince!

Wskutek postrzału stracił nadto władzę w całej lewej połowie ciała. Był sparaliżowany. Smutno było patrzeć na niego. Leżał całymi tygodniami bez świadomości i pamięci, — trzeba było obchodzić się z nim jak z dzieckiem, karmić, poić i wlewać weń lekarstwa. Wyglądał jak chłopczyk, drobna twarz, zwykle rozpalona, w gorączce, oczy modre spoglądały nieprzytomnie, ciało leżało bezwładnie.

Dzięki znakomitej opiece lekarzy i Szarytek Pepik powoli przychodził do siebie. Umysł powoli się rozjaśniał i rozpoznawał otoczenie. Zaprzyjaźniliśmy się wkrótce bardzo i gdy tak się złożyło, że przez parę dni u niego nie byłem, to tęsknił i dopytywał się, kiedy „pan fararz“ przyjdzie.

Z Pepika wyrobił się po kilku miesiącach troskliwej kuracji wcale sympatyczny kawaler, lubiany przez wszystkich, a że tam myśli często jeszcze mu się gmatwały, przytem wymowę miał nieco utrudnioną i nieraz miał śmieszne bardzo pomysły, więc naciągano go na wszystkie strony.

Lubił bardzo śpiewać. Kupiłem mu czeską książkę do nabożeństwa. Śpiewał z niej całemi godzinami aż do znużenia. Melodje urabiał sam. Nie zawsze oczywiście odpowiadały zasadom harmonji. Ulubioną pieśnią jego była żołnierska:

Stoi vojak na varcie, na varcie,
v roztrhanym kabacie, kabacie...

Ponieważ dowiedziałem się, że Pepik ma być odesłany do innego szpitala, poszedłem pożegnać Pepika-przyjaciela. Leżał w jednej sali z poprzednim biedakiem bez nogi. Bandaż z głowy zdjęty. Zostało wyżłobienie na palec głębokie, ale zato Pepik bliski zupełnego wyzdrowienia. Na pożegnanie urządzili mi obaj znajomi koncert. Pepik śpiewał pierwszym głosem a Niemiec z Pragi, który umiał trochę po czesku, wziął swe szczudło i przebierając na niem palcami, jakby na harfie, wtórował:

Stoi vojak na varcie, na varcie
v roztrhanym kabacie, kabacie...

A gdyśmy się żegnali, tośmy wszyscy trzej mieli łzy w oczach.

K r a k ó w, 11 sierpnia 1915.

W ubiegły czwartek 5 sierpnia wkroczyło wojsko niemieckie do serca Polski, do Warszawy!

Warszawa widziała ostatni raz Niemców po upadku powstania Kościuszkowskiego. Wtedy Warszawa została stolicą t. zw. Prus południowych za Fryderyka Wilhelma II. Po dziesięciu latach, w listopadzie 1806, po klęskach Prus w woj-

nie z Napoleonem, ustąpili Niemcy, a wkroczyli Franzuci.

Obecnie znowu w Warszawie Niemcy. Na ulicach rozlepiono odezwę do mieszkańców: „Wasze miasto znajduje się w posiadaniu Niemiec. Ale my prowadzimy wojnę tylko przeciwko nieprzyjacielskim wojskom, a nie przeciw spokojnym mieszkańcom. Spokój i porządek będą utrzymane, a prawo bronione. Oczekuję, że mieszkańcy Warszawy żadnych nieprzyjacielskich czynów nie popełnią, niemieckiej sprawiedliwości zaufają i rozporządzenia naszych dowódców wojskowych bezwarunkowo wykonywać będą.“ Dalej jest mowa o wzięciu zakładników, wreszcie zapowiedziana kara śmierci za ułatwianie zamachów. Odezwę podpisał: Naczelny wódz wojsk niemieckich Leopold, książę bawarski.

Gazety podają szczegóły opuszczenia Warszawy przez Rosjan.

Już w środę 4 sierpnia w południe zaczęły się rozlegać huk wybuchających min, które mi saperzy rosyjscy wysadzali w Warszawie fabryki, wykonywujące obstalunki dla armii rosyjskiej. Największego niepokoju nabawiło Warszawian wysadzenie fabryki Ortwein i Karasiński przy ul. Złotej. Po szeregu detonacyj ukazały się nad fabryką kłęby dymu. Płomienie objęły cały kompleks fabryczny i zniszczyły go doszczętnie. Poza tem wysadzono fabryki Rohna i Zielińskiego, Bormana i Szwedego, B. Handtkiego, dworzec kowelski i składy Nobla. Wieczorem coraz częstsze wybuchy, coraz więcej pożarów i dymu. O północy ustąpiły z posterunków ostatnie oddziały policyjne i udały się za Wisłę. Miejsce po-

licji zajęła Straż obywatelska z ramienia Komitetu obywatelskiego, na którego czele stanął książę Zdzisław Lubomirski.

W nocy z środy na czwartek coraz częstsze, ogłuszające detonacje, pochodzące z wysadzania fortów, cytadeli i kazamat, zwrotnic kolejowych, wież wodociągowych, dworców kolejowych.

W ciągu nocy Rosjanie wycofali resztki wojska na Pragę. Koło godziny 5 rano przeciągnęła przez trzeci most artylerja konna. Punktualnie o godz. 6 rano wzniosł się w powietrze słup dymu, kurzawy i odłamków żelaza i betonu. Huk ogłuszający! Jedno z przęseł przełamało się i osiadło zawieszone końcami na filarach, drugie oderwało się i pochyliło ku wodzie. Wkrótce drugi wybuch zniszczył do reszty te dwa przęsła i trzecie obok nich.

O godz. 6 min. 25 wysadzono most Kierbedzia. Huk był straszny. Dwa przęsła połamane, poskręcane runęły w wodę. Po godzinie siódmej zniszczono oba mosty kolejowe. W ten sposób odcięto Warszawę od Pragi.

Równocześnie pojawiły się na ul. Jerozolimskiej koło godz. 7 rano pierwsze podjazdy kawalerji niemieckiej, a następnie zaczęły napływać większe oddziały konne i piesze na ul. Marszałkowską, Jerozolimską i inne.

Około godz. 10 rano zaczęły padać na Warszawę gęste strzały z Pragi. Od kul tych zginęło kilka osób.

Pod wieczór strzelanina przybrała znaczne rozmiary. Naogół ludność Warszawy zachowała

się spokojnie, z całą godnością. Ślady walki widać w dużej liczbie wybitych okien od strony Wisły, w poszczerbieniu tynków i uszkodzeniu urządzeń wewnętrznych tam, gdzie kule wpadały do wnętrza domów. Na niektórych domach ślady kul są tak gęste, że ma się wrażenie, jak gdyby na murach osiadł rój owadów.

Obecnie pod naciskiem armji Woynscha Rosjanie ustępują coraz dalej na wschód. Lewe skrzydło armji Mackensena odrzuciło wojska rosyjskie ku rzece Wieprz, wojsko austriackie zajęło Lubartów a niemieckie wdarło się w linię okopów rosyjskich w okolicy Łomży.

K r a k ó w, 27 sierpnia 1915.

Wojska rosyjskie cofają się na całej linii. Królestwo Polskie już całe w rękach państw centralnych. W Warszawie gospodarują Niemcy, w południowej części Królestwa Austriacy. Nazywa się to okupacja niemiecka i okupacja austriacka. Jedna od drugiej oddzielona nową granicą, biegnącą przez środek Królestwa od Dąbrowy górniczej równolegle do kolei warszawsko-wiedeńskiej, będącej pod zarządem niemieckim, koło Piotrkowa, doliną Pilicy, przez Dęblin na wschód, w stronę Brześcia litewskiego. Żeby dostać się z jednej okupacji do drugiej, trzeba mieć paszport, słynne świadectwo „odwszenia“ „Entlausungsschein“ i zezwolenie władz. Władze okupacyjne urządzają się jak w kraju podbitym. Na pierwszym planie interes zwycięzcy i jego wojska — na ostatnim ludności.

Przy ściganiu armji rosyjskiej dostaje się do niewoli dużo rannych jeńców. Dzisiaj umarł jeden z tych niezliczonych ofiar wojny. Pochodził z pod Kijowa. Żonaty, troje dzieci w domu. Chętnie opowiadał o swych stepach ukraińskich, ogromnych, tajemniczych, o Kijowie, tem ślicznem mieście, o Dnieprze kochanym, jego niezgłębianych tajemnicach i topieliskach.

Oni wszyscy tak marzą i rozmawiają chętnie o swych chutorach, o chacie, gospodarstwie, o żonie i dzieciach. Żył sobie przedtem spokojnie, gdzieś daleko na olbrzymich przestrzeniach ukraińskich, uprawiał ziemię, Boga chwalił jak umiał, o nic się poza tem nie troszczył.

Przyszła wojna, zabrali go i kazali bić „Awestrijców“, „Germańców“, gnali do walki między druty, zasieki, rowy — ot i dostało mu się kulą. Jego żołdacy uciekły lub były zabrane, „takoj“ i on. Taka dola! Ot cóż?

Nie znałem przedtem Rosjan, nie mam do nich żadnego uprzedzenia i dlatego czuję do jeńców jakąś słabość i choć mnie z nimi nic nie łączy, lubię z nimi porozmawiać. To im sprawia ulgę. Z każdego z nich przebija szeroka, słowiańska dusza. I nieraz stałem między nimi i pytałem się samego siebie: czyż to są ci prawdziwi Moskale, o których dzikości i okrucieństwach tyle się czytało i słyszało? Byłem ich otwartością i brakiem wszelkich uprzedzeń do mnie, jako księdza katolickiego, mile zaskoczony i zdziwiony.

Jeniec z pod Kijowa był ranny w nogę. Postrzał w goleń. Pewnego dnia zapowiedział mi,

że odchodzi z transportem do innego szpitala i pożegnał się ze mną.

Po południu zajechał samochód, przewożący chorych na kolej. Poumieszczano już wszystkich, przeznaczonych tego dnia do transportu, tylko dla naszego jeńca z pod Kijowa nie było już miejsca i pozostał. Wniesiono go ku jego zadowoleniu zpowrotem na salę.

Ale od tego czasu zaczęło się w nodze coś gwałtownie i niespodziewanie psuć. Gorączka raz się podnosiła, to znowu gwałtownie opadała, nawet do 35°, co jest zwykle zapowiedzią katastrofy. Równocześnie cierpienia w nodze się wzmacniały.

Znikła pogoda z oczu i ta dziwna równowaga, swoboda umysłu i duszy. Zaczęły się męki i cierpienia. Wszelkie oznaki przemawiały za tem, że nastąpiło z jakiegoś powodu zakażenie krwi. Nie przypuszczałem, że to pójdzie tak prędko.

Dziś po południu przychodzę odwiedzić biednego. Stan ten sam. Temperatura bardzo niska, a chory aż syczy i wije się z bólu. Pot zimny zalewa mu czoło. Widzę, że źle. Noga obwiązana bandażem kilkanaście razy, a mimo to przez wszystkie bandaże przecieka ropa, choć opatrunek zmieniono przed południem. Chory skarży się, że bandaż ciasny, że boli szalenie. — Idę więc do lekarza i proszę, by biedakowi jakoś ulżył, bandaż zwolnił o ile można.

Przyszedł doktor, pielęgniarki — zaczęto odwijać szarpję, watę, opatrunki.

Tego, com zobaczył, nie widziałem nigdy w życiu. Noga nabrzmiała, rana postrzałowa dłu

ga, szeroka. Widać kość zdruzgotaną, złamaną, białą i ciało nie białe ani czerwone, ale zupełnie szerniałe o kolorze ziemistym.

Zgnilizna rozszerzyła się w kilku godzinach z przerażającą szybkością. Lekarze stoją bezradni. Chyba nogę odciąć i to natychmiast.

Ale i to niepewne. Chory wycieńczony, osłabiony, narkozy nie przetrzyma. Będzie trzeba odciąć nogę bez usypiania.

Pytają, czy zgodzi się na odcięcie nogi. Chory w pierwszej chwili nie rozumie. Przecież nikt dotąd o tem mu nie mówił. Czyżby miało być tak źle?

I chory podnosi się, siada z trudem i spogląda na swą nogę, na swą ranę. Nie zapomnę nigdy jego oczu — tego wyrazu grozy i rozpacz i beznadziejności. Pada bezwładnie na łóżko i woła głuchym, bezdźwięcznym głosem: „Boże, mój Boże! Jaką miałem ranę przedtem, a teraz...!“ I łązy cieką z tych dobrych, pocziwych, jasnych oczu. Wie nieszczęśliwy, co to znaczy. Już zrozumiał.

Pytają się, czy zgodzi się na operację. „Nie — ja chcę umrzeć. To i tak nic już nie pomoże.“

Prosimy go wszyscy, by to zrobił dla dzieci, co w domu nań czekają, prosimy, by zrobił dla nich wszystko, żeby uratować życie. Ale nie zgodził się. Czuł dobrze, że to nie pomoże. Wiedział, że tego nie przetrzyma, bo za słaby.

Pozostawiono go. I słusznie, bo ledwo zdążyłem go wypowiedać, na śmierć przygotować, ledwo zdążył mi powiedzieć, co mam po wojnie

napisać żonie i dzieciom, stracił przytomność, a za kilka chwil zakończył swe smutne życie, daleko od swoich, od żony i dzieci.

K r a k ó w, 6 września 1915.

Nie zawsze w szpitalu smutno. Były oddziały dla rekonwalescentów, bliskich wyzdrowienia, gdzie prócz ogólnego wycieńczenia, jakiegoś zakatarzenia, zdercia naskórka, nie było nic poważniejszego.

Wtedy żołnierze pocziwi spędzali czas jak mogli. Grali w młynka, w owce, w fortecę, czasami pokrywom w karty, czytawali, usługiwali innym chorym. Niektórzy strugali coś, rzeźbili, malowali a nawet haftowali. W kilku oddziałach wyrabiali koronki, różańce. A wśród tego nie brak było psot, śmiechów i żartów.

Szczególnie wesoło bywało w jednej sali, gdzie leżało dwóch cyganów. Krewniacy byli, to samo mieli imię i nazwisko. Jeden miał około 40 lat, drugi 19. Nie było końca pokpiwania sobie z jednego i drugiego. Nie było na nich znać choroby, więcej było udawania i narzekania. Nikt też nie chciał jakoś uwierzyć w ich cierpienia.

Był czas spowiedzi wielkanocnej. Spowiadałem wtedy pod rząd jednego chorego za drugimi.

Przyszła kolej na cyganów. Przedtem jednak chciałem się upewnić, co też to za osobniki, czy wogóle wiedzą co o Bogu i Sakramentach św.

A więc najprzód pytania z katechizmu.

„Umiesz się modlić?“ pytam starszego.

„Nie, a co to jest modlić?“

„Umiesz Ojcie nasz, Zdrowaś? Otcze nasz, jenż si na nebiesich? Vater unser, Gegrüsset seist Du Maria?“

Cygan wstrząsa ramionami, kręci głową, że nie.

„A przeżegnaj się!“ Pokazuje ręką, jak się to robi, wielki i mały krzyż.

Ale i to bez skutku. Cygan nie wie, czy nie chce wiedzieć, co to jest. Że jest katolikiem, wiedziałem z papierów, jakie miał przy sobie.

„A byłeś kiedy u spowiedzi?“

Nie był nigdy jeszcze, mimo to że ma blisko 40 lat.

Okazuje się, że do szkoły nigdy nie chodził, czytać i pisać nie umie.

O Bogu ma tylko słabe pojęcia, jak o wielkim, potężnym Duchu, który wszystko daje i wszystko stworzył.

Ani rano, ani wieczorem, nigdy się nie modli. Nikt go tego nie nauczył. Całe życie przewędrował bez ojczyzny, bez dachu nad głową. Ma żonę i troje dzieci. Gdzie są, nie wie. Nie boi się, że z głodu poumierają, bo cyganie im umrzeć nie dadzą.

To samo było z młodszym cyganem. Chodziłem do nich przez jakiś czas, uczyłem najprostszych wiadomości katechizmowych, ale szło tępo, strasznie tępo. W rezultacie starszy nawet pacierza dobrze się nie nauczył. Był zdania, że i bez tego można być dobrym cyganem, zresztą niedługo obaj wyszli ze szpitala.

Powagi żadnej, autorytetu ani jeden ani drugi nie uznawał. Z nikogo sobie nic nie robił, nikt

mu nie imponował. Oficer czy żołnierz, lub ksiądz — wszystko mu było jedno.

Kiedym pierwszy raz zanadto może rozmowę przedłużał, wstaje, prowadzi mnie do okna i powiada: „Panie fararz, widzicie tu trafiku tam? Przynieszte mi tabak!“

K r a k ó w, 8 września 1915.

Dziś święto Matki Boskiej. Miałem dwie Msze św. dla chorych. Jedną przy ulicy Warszawskiej w kaplicy Szarytek, drugą w kaplicy Seminarjum duchownego. Obie z nauką, przystosowaną do warunków.

W ciągu tygodnia w zwykłe dni mam Mszę codzienną w innym szpitalu po różnych salach. Stawia się pod ścianą jakiś dłuższy stół, nakrywa trzema obrusami, na to świece, krzyż, relikwie i ołtarz gotowy.

Mam zawsze takie dziwnie przejmujące wrażenie, kiedy wychodzę ze Mszą wśród szeregu łóżek szpitalnych. Na każdym z nich chory, cierpiący. Koło łóżek grupują się zdrowsi z innych sal. Schodzą się na nabożeństwo szpitalne, o ile tylko mogą. To dla nich ogromna radość a przede wszystkim urozmaicenie. Twarze wszystkie poznał ból i przejścia wojenne. W tym środowisku, w takim improwizowanym kościele, gdzie każdego coś boli, odczuwa się lepiej głębokość myśli w modlitwach, z których składa się Msza św.

Takby się chciało podkreślić co drugie, trzecie słowo! —

— Quia Tu es Deus fortitudo mea — boś Ty, Panie, męstwem mojem — Spera in Deo — ufaj w Bogu! A dalej: — Adjutorium nostrum in nomine Domini — pomoc nasza w imieniu Pańskim — Kyrie eleison — Panie zmiłuj się nad nami. Dona nobis pacem — pokoju użyż, Panie! — Ile to rzewnej i radosnej treści tkwi w często słyszanych słowach: Dominus vobiscum — Pan z wami!

Słowa te na sali wśród chorych, rannych są głęboką modlitwą o to, by Pan zstąpił między tych biednych, nieszczęśliwych, by ich podniósł, pocieszył tak, jak to robił, żyjąc na ziemi, kiedy uzdrawiał, łagodził nędzę, ocierał łzy, by ze Swą Ofiarą połączył ich ofiarę z życia i cierpień, bólu i ran.

Wyczuwają to, pamiętają o tem obecni. Spojrzeć tylko na te rozmodlone twarze i oczy! Jedni modlą się z książek, drudzy na koronce, inni, ciężko chorzy, ruszać się nie mogą, więc choć spoglądaniem na sprawowanie bezkrwawej Ofiary i ofiarowaniem swych cierpień przed Bogiem się korzą.

Czasem zdrowi śpiewają.

A kiedy zstąpi Pan Jezus żywy na ołtarz, między chorych, to wprost czuje się bezpośrednio Jego bliskość i dobroć i oddziaływanie na tych, co Go o pomoc i zmiłowanie proszą. Chorzy cieszyli się zawsze szczególnymi względami Zbawiciela. I dziś z pewnością tak samo.

Każde takie nabożeństwo tworzy w swoim rodzaju oryginalny obrazek. Tyle w każdym nabożeństwie malowniczości i rzewności! Wpraw-

dzie zawsze jedna Msza, jedna ofiara, a jednak zawsze coś innego, inni ludzie, inny nastrój, inne otoczenie. To w sali szkolnej — ołtarzem są dwie przysunięte do siebie katedry, a tłem tablica, na niej krzyż lub jakiś obraz. To znowu w dużej sali wykładowej Muzeum techniczno-przemysłowego lub w sali Akademii Sztuk Pięknych — ołtarz pod oknami, wychodzącymi na plac Matejki, z widokiem na potężny pomnik grunwaldzki Jagiełły, a na ścianie obrazy pierwszorzędnych mistrzów. Albo w Kasynie szlacheckiej przy ul. Wolskiej, gdzie dawniej huczno, wesoło bywało, gdzie trwoniono nieraz mienie i zdrowie — dziś Bóg we Mszy św. szpitalnej do chorych i rannych przychodzi. Lub też w ślicznej kaplicy Seminarjum duchownego, albo u Szarytek, z przemiliwym śpiewem dzieci lub samych zakonnic.

Kiedy wszystko obecnie zbankrutowało, kiedy cała bryła świata wyleciała z posad i pławi się w krwi, kiedy ziemia stała się krwawą areną szatana-niszczyciela, co lubuje się w dymie, w prochu i mordach wzajemnych, kalectwie, nie szczęściu milionów, to na tem okropnem, krwawem tle ocenia się głębiej wartość prawd i pościech religijnych, wiary w Boga i w wieczność.

*

*

*

Muszę napisać także o nabożeństwach u jeńców Polaków z wojska rosyjskiego, w barakach w Dąbiu koło Krakowa. Jeżdżę do nich co dwa tygodnie. Jest tam koło trzystu katolików z najrozmaitszych miejscowości z Królestwa i z Rosji, a nawet z Syberji.

W barakach urządzi się prymitywny ołtarz, na nim stawiam przywiezione ze sobą rzeczy i rozpoczyna się Msza św.

Przypominają się wtedy czasy apostołskie, czasy pierwszych chrześcijan, kiedy odprawiano Msze i agapy w norach i podziemnych lochach, w katakumbach, kiedy chrześcijanami byli wyłącznie niewolnicy i najbardziej upośledzone, najniższe warstwy społeczeństwa.

Jak sobie zawsze cenią ci jeńcy, nowocześni niewolnicy, ofiarę Mszy św., to misterjum dobroci Bożej! Jak się oni pobożnie modlą! Z jaką pokorą zwracają się do Tego, który zstępuje do nich w czasie Podniesienia i do tych ubogich, brudnych baraków, otoczonych dookoła strażą i drutem kolczastym!

Życzylbym każdemu, by mógł przyjść i przypatrzeć się tym jeńcom, jak stale garną się do Sakramentów św., by mógł wsłuchać się w szept modlitwy i w tęskne dźwięki pieśni i staropolskich Godzinek, kiedy wszyscy z setek piersi śpiewają: „Gwiazdo śliczna wspaniała!“ albo

Przybądź nam miłościwa Pani ku pomocy,
A wybaw nas z potężnych nieprzyjaciół mocy.
Chwała Ojcu i Synowi Jego przedwiecznemu
I równemu Im w Bóstwie Duchowi świętemu.

Śpiewaniem, modlitwą, dusze swe krzepią. Choć na chwilkę nie czują wtedy, że są w niewoli. Przenoszą się myślą do swych wiejskich kościołów w domu, bo to ta sama Msza św., ten sam Pan Jezus, te same Godzinki.

A po nabożeństwie otaczają mnę, przedstawiają swe życzenia, skargi, prośby, wypytują co nowego w świecie, kiedy się wojna skończy, kiedy będą mogli wrócić do swoich, do swych chat niskich, ale kochanych, do swej ziemi, przesiąkniętej ich łzami, krwią i potem.

Bardzo są wdzięczni za papierosy, obrazki, medaliki.

Każdy, czy chory, czy inwalida, czy jeniec, ma swój ból własny, co mu się z przedłużaniem się wojny coraz głębiej w duszę wgryza. Każdego trawi tęsknota wielka i jedno pragnienie: skończyć z tem wszystkim.

O dziwna, bardzo dziwna jest dusza ludzka. A każda inna, każda odrębna. Jako te listeczki na ogromnem drzewie.

K r a k ó w, 12 października 1915.

Od kilku miesięcy jestem równocześnie kapełanem inwalidów krakowskich. Umieszczeni są w osobnych domach i szkołach inwalidzkich. Tam pozostają pod dozorem lekarskim, póki rany ich zupełnie się nie zagoją. Równocześnie robi się starania o zapewnienie tym biedakom przyszłości. O ile kto pozostał bez ręki lub nogi, otrzymuje sztuczną, tak zwaną protezę i uczy się, jak jej używać. Wskutek kalectwa inwalida musi zwykle zmienić swój dawny sposób zarobkowania. Przy każdym domu inwalidów jest więc szkoła, gdzie różni fachowcy uczą rzemiosł, zastosowanych do upodobania i zdolności każdego. Istnieją warsztaty krawieckie, szewskie, koszy-

karskie, ślusarskie, introligatorskie, drukarskie. W Mydlnikach koło Krakowa jest nawet szkoła rolnicza dla inwalidów. I każdy uczy się czego może, żeby w przyszłości nie stać się dla drugih ciężarem.

Choć dom inwalidów nie ma nic wspólnego ze szpitalem, jednak ciąży tam jakaś dziwnie ciężka atmosfera.

W szpitalu każdy chory ma nadzieję, że wyzdrowieje, że będzie lepiej. Tymczasem inwalida już tej nadziei nie ma. On się już nie łudzi. Wie, że jest kaleką i pozostanie nim na zawsze.

Nic dziwnego, że jest zgorzkniały i stale niezadowolony. Inwalida ma żal do wszystkich i o wszystko.

Trudno też trafić do serca inwalidy. Ma wiecznie jakieś skargi, życzenia i żale.

Bo też to najstraszniejsze — nie mieć już żadnej nadziei.

Są różni między nimi, młodzi i starsi, po dwadzieścia, trzydzieści i więcej lat, a nawet tacy, co już włosy siwizną. mają przyprószone, starsi ode mnie. Jeden oka nie ma, znać dobrze krwią nabiegłą szramę od szabli przez głowę i oko. Drugiemu brak ręki jednej lub drugiej, a nawet obu. Inny ma sztywne palce lub dłoń odciętą. Sami tacy, co śmierci zaglądali w oczy, co byli pod gradem pocisków i kul.

W szkole przy ul. Smoleńsk jest inwalida, którego nazywają wszyscy dziadkiem. Nie był żołnierzem, ma już koło 60 lat. W czasie bitwy

wpadł granat do jego chaty i zrobił go na zawsze kaleką. Wzięto go do szpitala i zobowiązano się dać mu protezy.

Przechodzę pewnego dnia po salach. Widzę kogoś nieznanego jeszcze. Podchodzę, by go przywitać, zapoznać się z nim. Twarz miła, oczy dobre, łagodne, włosy już siwe. A dziadek podchodzi do mnie i schyla się, by mnie pocałować w rękę. Podaję mu rękę, a dziadek wyciąga do mnie tylko — obcięty kciuk. Prawą rękę ma uciętą. Patrzę — a on i lewej nie ma. Ucięta przy samym ramieniu! — Człowiek bez rąk.

Zdrętwiałem, nie wiedząc, co dziadkowi dobrego powiedzieć. Są chwile, kiedy na widok nędzy i nieszczęścia proces myślenia nagle ustaje.

Z trudem wielkim przeszło mi przez gardło zwyczajne: „Jak się macie?”

„A dobrze” — powiada dziadek — „tylko mi źle, że się ni przeżegnać, ni na różańcu uczciwie pomodlić nie mogę.”

Boże! To tylko polski chłop wobec całego, bezgranicznego swego nieszczęścia tak powiedzieć potrafi. Tylko on tak dziś, wbrew wszystkiemu, w Bogu nadzieję całą złożył. Nie szemrze, nie rozpacza, nie traci wiary, nie buntuje się — owszem chciałby się żegnać i do Boga mimo wszystko wołać: C h w a ł a Ojcu i Synowi i Duchowi św.!

Jakże małym czuje się człowiek wobec takiego cichego, pokornego bohatera! I kiedy mi źle, ciężko bardzo, to widzę przed sobą dziadka pozabawionego rąk, z pogodną, uśmiechniętą dobrot-

liwie twarzą, dziadka, co nie skarży się ani na kalectwo, ani na nieszczęście, lecz tylko na to, że Boga po dawnemu chwalić nie może!

K r a k ó w, 22 października 1915.

Rano odprawiłem Mszę św. pierwszy raz w kościele Marjackim, przed ołtarzem, gdzie przechowuje się Najśw. Sakrament.

Przed południem nauka religji u inwalidów, w gmachu Muzeum techniczno-przemysłowego przy ul. Smoleńsk. Mówiłem im o Opatrzności Boskiej, która nas stale podtrzymuje, troszczy się o nas i prowadzi najrozmaitszemi drogami. Jednego kula na wojnie zabija, drugiego omija, innego rani nieraz w dziwny sposób. — W szpitalu, mieszczącym się w Seminarjum duchownem, leży ranny sanitariusz. W czasie opatrywania rannych po bitwie w Karpatach zabłąkana kula przeszła przez powiekę, która pozostała obecnie nieczułą i nie podnosi się, a potem ta sama kula wyleciała nosem. O włos, a naruszyłaby mózg i przyniosłaby śmierć. Ile to razy słyszy się o odbiciu kul od medalików i książek do nabożeństwa! Prawda — są i tacy, co im pocisk zmiażdżył rękę, nogę, co stali się na całe życie kalekami. Ale i tu widać dobroć Bożą i Opatrzność. Coby było z niejednym, gdyby ten sam pocisk poszedł troszeczkę inaczej, gdyby trzeba było bez przygotowania, może w grzechu ciężkim tak niespodziewanie, nagle stanąć przed wiecznym sędzią? I dlatego Bóg zostawił cię wtedy przy życiu, byś ty, wprawdzie z jedną tylko nogą, z jedną ręką, z kilku palcami, ale na pewno

dostał się do nieba, o ile tylko sam zechcesz. Dlatego „nie przeklinaj ty dziś swego krzyża, bo cię krzyż do Boga zbliża!”

Pan Bóg nie daje nikomu cierpienia ponad siły. Cierpienie i kalectwo to często dowód zaufania Bożego. Kto inny pewnoby zmarniał przy tym bólu, jaki ty masz — ty natomiast zniesiesz, zmężniejesz, zahartujesz się duchowo. Boisz się, że sobie nie dasz rady w życiu? — pamiętasz ty o Chrystusowych liljach polnych i wróblach, co ani sieją, ani żną, ani zbierają do gumien, a jednak Ojciec niebieski pamięta codzień o nich i żywi je? — A tylko o tobie, w którego sam wpoił tyle tęsknoty za szczęściem, o tobie, coś tyle wycierpiał i co doń zawsze z taką ufnością się modlisz — o tobie jednym miałby zapomnieć?

Słuchali biedacy cichuteńko. Łzy w oczach się perliły.

Na zakończenie zaśpiewałem z nimi: „Nie płaczże, dziecińo, choć cię pali ból“ i do Serca Jezusowego „Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny“.

Po południu pojechałem do Mydlnik, gdzie znajduje się szkoła rolnicza dla inwalidów, urządzona w tamtejszym dworze. Duży dom z ogromną salą, opartą na kolumnach, z czterema piecami, choć wszędzie zimno.

Po nauce pieśni religijne i patryjotyczne. — Ludzie, którzy śpiewają, nie mogą być źli. — Chciałbym bardzo, żeby moi inwalidzi stawali się coraz lepszymi wbrew powszechnemu zepsuciu wojennemu, wbrew tej goryczy, jaka ich zjada.

K r a k ó w, 3 listopada 1915.

Dziś odbyło się zebranie w „Czerwonym Krzyżu“ przy ul. Basztowej 6 w sprawie opieki nad chorymi.

Chorzy, ranni, jeńcy zasługują nietylko na opiekę wojskowości, ale i społeczeństwa naszego. Chodzi tu o uprzyjemnienie im długich dni cierpień, wpływ moralny, podnoszenie, krzepienie ducha i przeciwdziałanie ujemnym skutkom wojny.

W pierwszych dniach wojny odwiedzanie chorych było bardzo modne. Odbywały się w szpitalach istne pielgrzymki, nieraz nawet ze szkodą dla chorych. Dziś prócz krewnych nikt prawie chorych u nas nie odwiedza. Czasem tylko przyjdzie jakaś pani z Ligi kobiet, stanie u wejścia i dowiaduje się, czy niema legionistów z pierwszej brygady. Inni nie obchodzą jej zupełnie. A przecież wszyscy chcieliby usłyszeć czasem coś z poza szpitalnego świata, zająć się czem innem niż własną niedolą. Odkąd zostali wyrwani z domu, ze zwykłego, spokojnego życia, mieli tylko do czynienia z wojną, z koszarami, z barbarzyństwem, byłoby więc dobrze, by zetknęli się choć czasem z myślą o rodzinie, społeczeństwie i narodzie naszym. Kobieta, jak zdołałem zauważyć, wpływa zawsze kojąco i dodatnio na chorych w szpitalu.

Zebrało się sporo pań: Księżna Czartoryska, hr. Szeptycka, ks. Sapieżanka, p. Ujejska, hr. Mieroszewska, pp. Kossakowa, Gniewoszówna, Leowa, Łozińska, Stachiewiczowa, Jawornicka, Spornówna. Przyszła także delegacja zjednoczonych Sodalicyj Marjańskich krakowskich z O.

Haduchem T. J. na czele i obiecała poparcie. Omówiono sprawę dość życzliwie, na podstawie referatu i mam nadzieję, że coś z tego będzie.

K r a k ó w, 22 listopada 1915.

W połowie listopada byłem na krótkim urlopie na Śląsku. W Cieszynie widziałem się z ks. posłem Londzinem. Z rozmowy z nim wywnioskowałem, że sprawa polska na Śląsku, w miarę sukcesów niemieckich, przedstawia się coraz niekorzystniej. Nastrój sfer rządowych dla Polaków na Śląsku i zdaje się wszędzie, bardzo nieprzyjazny. A ludność ma już dość wojny i pragnie całą duszą końca. To samo potwierdzali: ks. prof. Tomanek, ks. kanonik Moroń i ks. radca Olszak, których spotkałem. Wszyscy podnosili ujemne strony wojny, wielkie zepsucie w rodzinach i demoralizację kobiet.

Sam Cieszyn zrobił na mnie po kilku miesiącach nieszczególne wrażenie.

W domu zastałem wszystko dobrze. Matka, cierpiąca od początku wojny, ma się znacznie lepiej. Chwała Bogu!

W Jabłonkowie byłem kilka godzin. Odwiedziłem ks. proboszcza Waschitzę, który mnie nadspodziewanie życzliwie przyjął, dalej obu księży wikariuszów i sklep „Spółki chrześcijańskiej“.

K r a k ó w, 26 listopada 1915.

W niedzielę byłem z nabożeństwem w Dąbiu, w barakach u jeńców. Zebrało się ich koło dwustu.

Przed Mszą św. wypowiadałem kilkunastu, a w czasie Mszy św. powiedziałem im na tle Ewangelji niedzielnej naukę o sądzie ostatecznym, który nas czeka i o krzyżu, co wtedy pokaże się na niebie jako znak Syna człowieczego. Co powiedzą jeńcy, kiedy ten krzyż zobaczą? Czy powitają go z radością jako nieodstępnego towarzysza swego w czasie wojny i w niewoli, jako dobrego znajomego, do którego w chwilach ciężkich często się zwracali — czy też będzie im ten krzyż wyrzutem, przypomnieniem, że go znać nie chcieli, że i krzyż i Boga i siebie przeklinali?

My wszyscy krzyżową, ciernistą idziemy drogą w czasie wojny, cały nasz naród ugina się pod ciężarem doświadczeń. Wydaje nam się ta droga długa, ale i ona się skończy, jak się skończyła Chrystusowa droga krzyżowa i przyjdzie zwycięstwo — zmartwychwstanie — powrót do swoich, do domu.

Po Mszy św. powiedziałem jeńcom, że to „polska niedziela“, bo Ojciec św. wezwał cały świat katolicki do modlitw za Polskę w dniu dzisiejszym i do składek na chleb dla zniszczonej, głodnej Polski. Zmówiliśmy wspólnie w intencji Ojca św. litanję, a potem rozdałem jeńcom przywiezione książeczki i obrazki.

Na koniec jak zawsze śpiewy. Miałem dużo radości, że Polak ze Śląska może uczyć jeńców-Polaków, zebranych ze wszystkich stron Polski i Litwy, a nawet z Syberji, takich pieśni, jak: „Z dymem pożarów“ „Boże coś Polskę“, zakazanych tam przed wojną.

K r a k ó w, 27 listopada 1915.

Po nabożeństwie dla chorych w szpitalu, urządzonym w szkole miejskiej obok klasztoru OO. Bernardynów, byłem u p. Rydlowej, matki poety Lucjana Rydla. Codzień w czasie jej choroby przynoszę jej Komunię św. z pobliskiego kościoła Sióstr Sercanek przy ul. Garncarskiej.

P. Rydlowa, córka filozofa Kremera, pamięta jeszcze dobrze stary Kraków, opowiada chętnie o wielu osobach, o których dotąd tylko czytałem, a których już dawno nie ma. Lubi też opowiadać o synu poecie, który stale urządził w domu i wśród kolegów różne kawały. Zresztą i teraz jeszcze często z rozmowy z nim przebiega sympatyczny urwiesz, który z filozoficznych i literackich dociekań przeskakuje na takie prozaiczne tematy, jak słonina i skóra. Przy matce mieszka siostra poety Hanka, którą Wyspiański uwiecznił w „Weselu“. Należy do Ekonomek, to znaczy świeckiego stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo, pielęgnuje chorych, zajmuje się wyjątkową nędzą po zaułkach, piwnicach i poddaszach. Ile łąz ociera, ile ludzi chroni przed głodem, to tylko Bogu wiadomo.

Wczoraj dowiedziałem się, że mam opuścić Kraków a pójść do Iwangrodu — Dębina w Królestwie.

Nie zaskoczyło mnie to wcale — zwłaszcza po różnych utarczkach w ostatnich tygodniach z władzami wojskowemi o nabożeństwa dla jeńców i opiekę w szpitalach, oraz o moje nieau-

strjackie metody w spełnianiu obowiązków kapelana wojskowego — jednak żał opuszczać Kraków.

Dęblin, 6 grudnia 1915.

Znalazłem się w Dęblinie.

W Krakowie pożegnałem się ze znajomymi, o ile czas pozwolił. Byłem u księcia Biskupa Sapiehy. Przed audjencją powiedział mi sekretarz księcia Biskupa, ks. dr. Niemczyński, że książdz Biskup żałuje, że odchodzę z Krakowa. Było to dla mnie nagrodą za trudności i przejścia ostatnich tygodni. Po miesiącach wytężonej pracy w obcej diecezji, w samym sercu tej diecezji, miło usłyszeć słowa uznania, pochodzące od Pasterza tej diecezji. Sam książdz Biskup powiedział mi to samo, pożegnał bardzo serdecznie, dał na pamiątkę swą fotografię i krzyżyk na drogę.

Nadzwyczaj serdecznie żegnali mnie Państwo Gniewoszowie. Złote dusze. Zawdzięczam im tyle! — Poznałem najprzód p. Anielę Gniewosz podczas zaopatrywania ciężko rannego żołnierza. Później poznałem matkę. Obie wyjątkowe, święte dusze, jakby nie z tego świata. Kiedy byłem nieraz czemś znękany, przybity, to sama rozmowa z niemi podnosiła ducha. Panna Aniela była od początku wojny prawdziwym duchem opiekuńczym dla chorych. Napotykała nieraz dużo przykrości, ale wszystko znosiła z dziwnym spokojem. Zna ją wszystkie dziady krakowskie, żebraczki — a żołnierze nazywają ją: „nasza pani“. Jej kieszenie, tołmoczki były stale pełne, umiała zawsze coś dla chorych uszyć, wykroić lub kupić albo wydostać. Kiedy miałem odpra-

wiać nabożeństwo w barakach dla jeńców, nie było przyborów potrzebnych. Panna Gniewoszówna i jej brat Karol, prokurator sądu krakowskiego, poradzili na to w przeciągu tygodnia. Znalazł się dziwnym sposobem i kielich i ornaty, cyborjum, alby, bielizna, hostje a nawet harmojum składane, na którym p. Aniela w barakach w czasie Mszy św. przygrywała. Chorych, rannych, inwalidów napędzała do spowiedzi i często sama przygotowywała — była moim wikarjuszem, jak sama siebie żartobliwie nazywa.

Na ostatku pożegnałem Państwa Stachiewiczów, rodzinę artysty-malarza, u którego od kilku miesięcy mieszkalem i z którymi bardzo się żyłem.

Dęblin, 7 grudnia 1915.

Jazda do Dębina nieciekawa. Pociąg pośpieszny w stronę Trzebini spóźnił się o trzy godziny. Pojechałem więc zwykłym, pocztowym o 6.50 rano. W wagonie spotkałem węgierską komisję poborową. Pułkownik, dwóch lekarzy i starosta z Iglo na Węgrzech, jakiś baron, który opowiadał mi, że jeździ z komisją poborową na terenie okupacyjnym Królestwa Polskiego i przegląda cywilnych robotników, obywateli austriackich. Był też w Dęblinie. Od niego pierwszego zaczerpnąłem trochę wiadomości, co to jest Iwangród, czyli Dęblin. Wiadomości niezbyt pocieszające. Opowiadał, że niema tam ani kościoła, ani księdza, miejscowość spustoszona. Radził mi żartem, bym się dobrze modlił, by pociąg nie wpadł pod Dęblinem do Wisły, bo austriacki most prowizo-

ryczny, wskutek podniesienia się wody w Wiśle, bardzo niepewny.

W Trzebini znalazłem się koło 9 rano. Stamtąd do Kielc bez przesiadania.

Wjeżdżałem pierwszy raz w życiu na teren Królestwa Polskiego. Ślady wojny widoczne od Wolbromia i Olkusza. Budynki kolejowe zrujnowane, spalone. Stoją nagie mury, szerniałe od sadzy i dymu. Funkcjonuje tylko jeden tor kolejowy, drugi zniszczony, pozostały z niego tylko ślady. Wzdłuż toru drut telegraficzny w nieładzie pozrywany. Gdzie niegdzie słup pochylony, a z niego zwisa drut, niby gałazki brzozy płaczącej. Od czasu do czasu spocznie oko na samotnym grobie, oznaczonym prostym krzyżem. Czasem widać całą ich grupę — w środku duży krzyż brzozowy, co rozpostarł swe ramiona nad mogiłami cichych, zapomnianych ofiar strasznej wojny. — W Miechowie dworzec doszczętnie spalony. W Kielcach stanąłem koło ósmej wieczorem. Następny pociąg miał odejść dopiero o 12 w nocy. Poszedłem do miasta, zjadłem coś i czekałem na pociąg do godz. 2 w nocy. Ulokowałem się na kupie węgla w jakimś baraku, postawionym koło ruin dawnego budynku stacyjnego. Koło godz. 2 dalsza jazda.

Skoro dzień zaczęło, zauważyłem z pociągu, że okolica, przez którą przejeżdżamy, jednostajna, płaska i bezdennie smutna, pozbawiona wszelkich wzniesień i pagórków. Wszędzie same pola, łąki, piaski, lasy i bagna. Inaczej niż na Śląsku.

Takby się chciało widzieć jakieś wzniesienie, górkę, a tu nic — tylko jednostajna, bezkresna równina. Gdzie niegdzie wieś, chałupy biedne,

słomą kryte, naogół całe, oszczędzone przez wojnę, zniszczone przeważnie tylko w pobliżu toru kolejowego.

Stacje kolejowe umieszczone tymczasowo na bocznicach, w wagonach. Tam są kancelarze i mieszkania. Personel wojskowy, konduktorami żołnierze.

Nareszcie koło godz. 8 rano Iwangród-Dęblin, a właściwie stacja prowizoryczna nad Wisłą. Powiedziano nam, że trzeba wysiąść i iść piechotą na miejsce, bo przez most kolej już nie kursuje. Wziąłem trochę rzeczy, by ulżyć słuzącemu Andrzejowi i puściliśmy się pieszo przez tymczasowy, ale bardzo chwiejący się most na Wiśle. Po dawnym rosyjskim moście, wysadzonym w powietrze, pozostały tylko olbrzymie przęsła i szyny bezładnie pogięte, leżące w wodzie.

Tuż za mostem kilka budynków czerwonych, koszarowych — to cel podróży. Okazuje się, że prócz tych budynków, z całej twierdzy właściwie nic nie pozostało.

Kiedy pisano o zdobyciu Dęblina, 5 sierpnia b. r., myślano ogólnie, że to jakieś duże miasto. Tymczasem jest to osada wojskowa, zbudowana jako twierdza w części pod ziemią u ujścia Wieprza do Wisły, na miejscu, gdzie przedtem były tylko moczary i łąki. Od Jana, czyli po rosyjsku Iwana Paszkiewicza, właściciela okolicznych folwarków i pogromcy powstania polskiego, nazwano twierdzę Iwangrodem.

Dziś po południu zwiedziłem twierdzę. Centrum stanowi obszerna, imponująca cytadela, a naokoło w promieniu paru kilometrów istniało

kilka fortów. Do cytadeli przechodzi się przez wysoki wał, potem fosa, jakby łąka szeroka zalana wodą, a po drugiej stronie wysoki, kilkaset metrów długi mur. U wejścia piękna brama ze św. Mikołajem u góry, z wału do bramy prowadzi most, obecnie zniszczony.

Przechodzimy po zarzuconych przez wodę kładkach i dostajemy się przez bramę na ogromny plac, otoczony dookoła koszarami, kazamatami, przykrytymi ziemią. Na placu duże budowle, magazyny, koszary, dom komendanta, szkoła wojskowa, elektrownia, kasyno wojskowe, cerkiew garnizonowa, a wszystko z zewnątrz niewidoczne. Miało tam być pomieszczenie na kilkanaście tysięcy żołnierza.

Obecnie same tylko ruiny i zgłiszcza, okryte całunem śniegu. Spalono wszystko przed oddaniem Austriakom, zostały szerniałe mury, rumowisko beładne i kupa gruzów. Jeszcze dziś czuć spaleniznę.

W środku cytadeli duża cerkiew garnizonowa, stosunkowo najlepiej utrzymana. Na ścianach pomalowanych na żółto, tysiące szarych plamek. To ślady strzałów karabinowych. Z kopuły zwieszają się zeschnięte gałęzie — tam Rosjanie urządzili punkt obserwacyjny i zakryli go zielenią. Dlatego ostrzeliwano i cerkiew. Wszystkie szyby potłuczone. Wewnątrz cerkiew zupełnie zdewastowana, ołtarz rozebrany, carskie wrota rozbite, obrazy wykradzione, na posadzce rupiecie, jakieś galony z mundurów rosyjskich, podarte ornaty, metryki, jakieś pokwitowania, rachunki i kilka tomów „Wiestnika cerkiewnego“.

Zarząd wojskowy chce zamienić cerkiew na kościół katolicki, bo prawosławnych ani w wojsku, ani wśród ludności w okolicy niema.

Tak wygląda Dęblin.

W a r s z a w a, 9 grudnia 1915.

Jestem w Warszawie za sprawunkami, dotyczącymi urządzenia kościoła w Dęblinie. Jestem w sercu Polski, w tej biednej, dziś głodnej Warszawie. Ile myśli ciśnie się pod pióro! Nie umiem tego wyrazić co czułem, wjeżdżając pierwszy raz do Warszawy.

Warszawa! Jedno słowo, a mówi tak wiele — szczególnie dla Ślązaka, co słyszał przedtem o Warszawie jako o czemś dalekiem, mało dotąd dostępnem, a jednak drogiem i wielkiem. Warszawa taka mocna i wielka, tyle przeszła, przecierpiała i znowu cierpi...

Dziś w pruskich rękach. Przeżyła wszystkie wstrząsy wojny, dziś przeżywa nową niewolę. Rekwizycje bezwzględne, dyktowanie dowolnego kursu pieniądza, wprowadzanie bezwartościowej waluty, cicha kontrybucja, codzień nowe rozporządzenia, grożenie karami do 50 lat więzienia, rozpieranie się pruskiej buty w rekwirowanych siłą mieszkaniach i na ulicy, głodzenie systematyczne ludności, wywożenie, rabowanie publicznego mienia.

I dziś widzi się na ulicach Warszawy skulone postacie, blade, żółte, z wpadniętymi głęboko oczyma, postacie wzbudzające litość, bo rzeczywiście głód cierpią. Nie zapomnę kobiety, wynędzniałej jak szkielet, z cerą wyżółkłą, z dzieckiem na ręku, na ul. Marszałkowskiej.

Po wsiach koło Dębłina nie zauważyłem nędzy, o jakiej nieraz opowiadano, przypuszczałem, że to przesada, jednak w Warszawie przekonałem się naocznie, że jest źle, bardzo źle.

Byłem w Konsystorzu arcybiskupim w sprawie paramentów do kościoła wojskowego w Dęblinie. Regens Konsystorza, ks. prałat Sokołowski, polecił mi udać się wprost do ks. Arcybiskupa.

Właśnie przyjechał ks. Arcybiskup z katedry. Poszedłem za nim na pierwsze piętro. Poczekalnia przypomina krakowską w pałacu biskupim. Sam Arcybiskup Kakowski jest bardzo przystępny. Wysoki mężczyzna, oczy niebieskie, nosi okulary, wygląda najwyżej na lat 50. Z twarzy przebija jakieś przemęczenie, ból.

Wrażenie to wzmacnia się, gdy Arcybiskup skarży się na zniszczenie w swej diecezji. Dzieśiątki kościołów już nie istnieją, leży w gruzach. To robota przewrotna Prusaków, a nie zawsze wynik względów strategicznych. W Łodzi zamieniono kościół na garaż, choć w tak dużym mieście można było z pewnością znaleźć odpowiedniejsze pomieszczenie. Gdzie indziej zamieniono kościoły na stajnie. Sami Niemcy fotografowali to i rozsyłali w różne strony, jakby nie rozumiejąc, że sami się tem osądają. Fotografje takie ma ks. Arcybiskup u siebie. Paramenta, bielizna kościelna pokradzione. Są miejscowości, gdzie nie pozostało literalnie nic. Obecnie chodzi o pierwszą pomoc. Ks. Arcybiskup utworzył w tym celu komitet diecezjalny z ks. prałatem Brzeziewiczem, proboszczem kościoła św. Aleksandra, na czele. Komitet ten zbiera nadliczbowe

paramenta z zamożniejszych kościołów i rozdziela je, gdzie trzeba. Do tego komitetu polecił mi udać się ks. Arcybiskup i dał mi odpowiedni list do ks. prałata Brzeźwicz. Przykro było brać tam, gdzie takie ubóstwo, ale innego wyjścia nie miałem. Ograniczyłem też swe wymagania do minimum. Dostałem brązowy krzyż na ołtarz, portatyl i obrus.

Wobec trudności pocztowych i komunikacyjnych, stawianych ludności cywilnej przez Niemców i Austriaków między jedną a drugą okupacją, ofiarowałem się ks. Arcybiskupowi z pomocą w przewożeniu korespondencji i listów. Ks. Arcybiskup powiedział na to, że życzy sobie tylko, bym mu dostarczył „Acta Apostolicae Sedis“, to znaczy pismo, zawierające rozporządzenia Stolicy św. Od roku żaden biskup na terenie Królestwa nie otrzymał ani jednego numeru „Acta Ap. Sedis“. Biskupi niemieccy, pomimo kilkakrotnych starań ze strony ks. Arcybiskupa, dotąd nic nie przysłali. Tem samym Episkopat polski w obu okupacjach stracił kontakt z Rzymem, brak mu wskazówek z Rzymu.

Ile tkwi niespożytej siły w Kościele katolickim, jeżeli pomimo wszelkich utrudnień, przeszkód i szykan, tak w Polsce, jak i w Belgji, Kościół św. stoi mocno, niewzruszenie, a nawet jest w tym czasie zamętów i kataklizmów twierdzą, ostoją, siłą, pociechą, filarem i potęgą, nie dającą się skruszyć żadnej przemocy, żadnej armji.

Wszystko pada, załamuje się dziś, a Kościół św. stoi i stać będzie. Zbudowany na opoce przez samego Chrystusa! A to chyba najlepszy budowniczy i architekt.

Opinia publiczna w Warszawie rozbita. Poglądy krańcowo przeciwnie. Przeważa pesymizm i defetyzm. Spodziewałem się w sercu Polski spotkać więcej wiary w siebie i ufności. Mam wrażenie, że to jakaś obca naleciałość, chyba rosyjska. Wszędzie uderza brak stanowczości i zdecydowanej woli, pełno wątpliwości i obaw.

Każda rozmowa, której byłem świadkiem, miała zawsze w sobie coś charakterystycznego, coś, z czem się jeszcze dotąd nie spotykałem, a co świadczy o pewnem załamywaniu się. Na Śląsku są to objawy nieznane. Na Śląsku mówi się: tak albo nie, a w Warszawie między tak i nie wypływa zwykle jeszcze coś pośredniego.

Jeden z profesorów Seminarjum duchownego, z którym dziś po Mszy św. w kościele Karmelitów rozmawiałem, powiedział mi: nie wytrzymamy, utoniemy w tem wszystkim, zaleją nas, wygłodzą, zniemczą. — Skąd tyle niewiary w siły żywotne narodu? Nie mogę tego zrozumieć. Wskazałem mu Śląsk, co setki lat żył i rozwijał się, odcięty od Polski i państwowości polskiej, a jednak pozostał polskim i nie wynarodowił się. My Ślązacy czujemy po polsku i jak widzę, moglibyśmy dać Warszawie sporo wiary w siebie i w przyszłość. Warszawa, gdzie tyle pamiątek polskich, gdzie tętni życie polskie, gdzie tradycje takie żywe i silne — gdzie tyle królewskiej godności — Warszawa, Królestwo miałyby przepaść? — Przecież nad nami jest jeszcze Ktoś, co nas Polakami stworzył i chce mieć Polakami.

Dziś okupanci oparli się na żydach i mają odrazu wśród nas, przeciw nam oparcie i broń, to

jednak jeszcze nie powód, by głowę tracić.

Opowiadano mi u znajomych o kuchniach dla głodnych. Poszedłem je zobaczyć. Zwiedziłem dwie, jedną dla dorosłych, drugą dla dzieci. Pierwsza w dużej hali w pałacu prymasowskim. Pełno przegrodzeń dla utrzymania porządku. W obrębie tych przegród setki ludzi. Każdy z kartką, otrzymaną przez komisarza dzielnicowego po stwierdzeniu ubóstwa, jak objaśnia dyżurująca księżna Lubomirska. Panie z inteligencji wydają zupę do naczyń, jakie sobie każdy przynosi. Olbrzymie kotły — w nich gotuje się codzień 3200 obiadów. Tyle ludzi przeciska się przez tę jedną tylko kuchnię, — tyle tam nędzy i niedostatku razem! Przychodzą i ludzie lepiej ubrani, inteligencja — idą na równi z biedakami po trochę zupy, bo i oni dziś głód cierpią.

Sfery zamożniejsze w Warszawie robią co mogą dla ulżenia nędzy. Zorganizowano Wydział zaopatrywania przy Komitecie obywatelskim w 15 okręgach miasta. Urządzono 88 kuchni. Niektóre wydają nawet ponad sto tysięcy porcyj miesięcznie.

Ale na takie duże miasto to wszystko jeszcze za mało. I Warszawa potrzebuje wciąż pomocy. Dowiaduję się z gazet, że i nasz Śląsk pośpieszył z pomocą i złożył już sporo na Warszawę.

Dęblin, 14 grudnia 1915.

Po powrocie z Warszawy jakoś mi tu lepiej, nie tak obco i smutno. Uważam za rzecz zupełnie naturalną, że jestem w Dęblinie. W przeci-

wieństwie do Krakowa, gdzie życie było czynne, ale i rozproszone bardzo, mam tu więcej czasu dla siebie.

Praca koło urządzenia kościoła postępuje. Uprzątnięto śmieci, rumowisko, obecnie uzupełnia się powybijane okna i buduje ołtarz. W warsztatach pracują żołnierze, stolarze nad urządzeniem zakrystji i przygotowują konfesjonał oraz kilka ławek. Przypuszczam, że niedługo będzie można odprawić pierwszą Mszę św.

Iwangród-Dęblin, twierdza rosyjskości i prawosławia w Polsce, tuż pod jej sercem, pod Warszawą, twierdza zbudowana za tak ogromne sumy, że nawet car na pytanie, ile kosztuje, odpowiedział: „Boh znajet i gienerał Dehn“, dziś w gruzach — spełniła się wizja Katerwy-Żeromskiego z „Róży“. A cerkiew prawosławna, stojąca w centrum tej twierdzy, widoczna ze wszystkich stron, staje się kościołem. Polski, katolicki ksiądz ze Śląska poświęca ją i Mszę św. w niej odprawia. Nie pozostanie wnet ani śladu stuletnich wpływów rosyjskich. Dziś jeden z żołnierzy wdrapał się na szczyt kopuły i obciął belkę poprzeczną z prawosławnego krzyża. „Katolicki krzyż wzniesiony“*).

Kiedy nas przeraża to, co robią okupanci, co się dzieje w Warszawie, kiedy Polska zdana dziś na łaskę i niełaskę Niemców — zwycięzców od Bałtyku, kanału La Manche i Belgji po Wardar, Saloniki, wzdłuż morza Śródziemnego, to te ruiny dęblińskiej twierdzy uspokajają nas,

*) Krasiński, Przedświt.

szepcąc: sic transiit gloria mundi — na wszystkich przyjdzie czas.

I jak wśród ruin Dębłina, tego symbolu naszej niewoli, zajaśniał odnowiony krzyż, tak nad tem wszystkim, co się dziś w Polsce dzieje, na ruinie dzisiejszej niewoli i krzywdy, zajaśnieje moc sprawiedliwego Boga. Dobrze, że to Bóg kieruje losami świata i narodów, a nie kto inny.

Wczoraj odbył się pierwszy porządny pogrzeb żołnierza, zmarłego w szpitalu. Dotychczas grzebano tu zmarłych bez księdza, bez trumny, wykopano dół, kładziono weń trupa, zasypano ziemią i rzecz skończona.

W niedzielę odprawiłem Mszę św. u jednego z oficerów. Kościół jeszcze nie przygotowany, a u siebie nie mam nawet stolika, pisać muszę na razie na oknie. Było nas na tej Mszy wszystkiego pięciu.

Z zestawienia cyfrowego wynika, że do załogi tutejszej należy 8724 żołnierzy różnych religij i narodowości. Katolików: Polaków 540, Czechów 1986, Niemców 1073, Madziarów 429.

Dęblin, 15 grudnia 1915.

Otrzymałem dziś kilka miłych listów. Między innymi od pani Rydlowej z Krakowa. Dodaje otuchy na nowej placówce. W post scriptum pisze: „Odpocząwszy sobie, piszę jeszcze. Zauważyłam, że mój list jest bardzo oschły i że niema w nim ani śladu tej serdeczności i życzliwości, jaką czuję dla ks. kapelana. Jak się zobaczymy, to ustnie lepiej to wypowiem.”

Równocześnie nadszedł list od P. R. Miła niespodzianka w mojej obecnej pustelni. Biorąc asumpt do mojej zbytnej porywczosci w Krakowie, pisze zasłużoną zupełnie reprimendę: „Najwięcej pragnę i modłę się o to dla ks. kapelana, żeby ksiądz umiał zapanować nad nerwowością, żeby impet w rzeczy był opanowany, bo przecież są drobiazgi, na które lepiej nie zwracać uwagi, chociażby się miało w rzeczy słuszność, bo całość sprawy może na tem ucierpieć, jeśli się zanadto wojowniczo przeciw szczegółowi występuje.“

A o sobie między innemi pisze: „Ach Boże, żeby tylko był jakiś stosunek między tem, coby człowiek chciał zrobić ze siebie, coby chciał w pięknych marzeniach dać ze siebie Bogu, a co daje w rzeczywistości! Ale ten dyssonans, jaki jest między najwyższym tonem, do jakiego się dusza zrywa, a temi codziennymi wypadkami, niewiernościami, słabością — tem wiecznem kręceniem się w kółko koło tych samych małości, wiecznem obiecywaniem na to, żeby nigdy nie dotrzymać! I czyżby to było dziwne, żeby obrzydnąć Panu Bogu — kiedy człowiek sam sobie brzydnie?“

„Dla mnie to raczej dobrze, że ks. kapelan za lepszą mnie ma, niż jestem — bo jeżeli co może mi dodać animuszu do pracy nad sobą, to właśnie zbyt dobre o mnie mniemanie u ludzi.“

„Ktoś bardzo mądry, kogo ogromnie kocham, P. Jenerałowa Zamoyska z Kuźnic powiedziała mi raz, kiedy mówiłam o tem, że mnie tak strasznie upokarza zbyt dobra opinja o mnie, że się czuję wobec niej hypokrytką, że „Pan Bóg sam chce w nas widzieć te cnoty, jakich się ludzie

w nas dopatrują, a do jakich się nie poczuwamy — więc trzeba tem bardziej nad sobą pracować, żeby do tych cnót dojść naprawdę.“

„Ze wszystkiego, com przeboleła i przeszła, jedno mi tylko zostało — to zdolność odczuwania tego, co innych boli — sama przeżyłam dużo, dużo — więc też dużo rozumiem i współczuję. „Milsze jest dawać, niżli brać.“ Ja tylko w takim uczuciu czuję się sobą, gdzie mogę jakiegoś macierzyńskiego instynktu się doszukać i nawet w stosunku do Matki raczej jak do dziecka się do niej odnoszę. Proszę o tem pamiętać, że to moja specjalność —.“

List ten charakteryzuje przezacną duszę. To mnie też ośmiela do umieszczenia tych kilku wyjątków w pamiętniku.

Trzeci list był od Zarządu Spółki spożywczej w Jabłonkowie, zawiadamiający o walnem zgromadzeniu w niedzielę 19 grudnia. „Życzeniem naszym byłoby — pisze sekretarz p. Płoszek — gdyby Ksiądz raczył przynajmniej listownie kilka słów do członków wystosować.“ — Napisałem więc list na ogólne, walne zebranie, wzywając do wytrwania w łącznej, zgodnej pracy, z propozycją, by część zysku przeznaczono na głodnych w Warszawie.

Dęblin, 17 grudnia 1915.

Wczoraj po południu byłem na przechadzce w stronę rzeki Wieprz. Doszedłem do folwarku Dęblin. Droga poprzez tor kolejowy dobrze utrzymana, bita. Po lewej stronie w oddali miasteczko żydowskie Irena, a dalej przy drodze

wzniesienie, grupa starych drzew, wśród nich figura św. Jana Nepomucena, a wysoko na dębie opuszczone stanowisko obserwacyjne.

Spotkałem po drodze chłopca z sąsiedniej wsi Masów. Opowiadał, że należy do parafji Bobrowniki. Nie pracuje teraz nigdzie. Ma kawałek pola, chałupę i chodzi koło tego. Jakiś czas pracował u Austriaków w stolarni wojskowej w cytadeli w Dęblinie, ale sprowadzono robotników z Lublina, pracują taniej, bo za cztery korony dziennie i okoliczni, niekwalifikowani odeszli. Sam ma z czego żyć, bo w tym roku kartofle i kapusta obrodziły.

Rozmawiając, doszliśmy do dużego parku. Wśród drzew po prawej stronie rysowały się coraz wyraźniej szare, wysokie mury jakiegoś długiego domu. Dziwnie tu cicho i martwo. Zbliża widać, że to ruiny. Mury wysokie z otworami na okna wyszczerbione, popękane, wewnątrz rumowisko, kamienie, kafle, cegła, a żelazne dźwigary i klatka schodowa powyginane, przepalone. Kiedyś — pałac księcia Erywańskiego Paszkiewicza. Dalej ślady wozowni, garażu i mieszkania dla służby. Wszystko w kompletnej ruinie. Stoi to martwe, gołe, bez życia, smutne, zniszczone rozmyślnie. Opróżniono pałac i podpalono, zanim Austriacy przedostali się przez Wisłę do Dęblina.

Za pałacem park. Naprzeciw dawnego tarasu staw rozległy, obmurowany. Na prawo kaplica, przypominająca kaplicę na zamku piastowskim w Cieszynie. Drzwi oderwane przemocą. Wchodzę — mrok już był — wystarcza jednak rzucić okiem, by stwierdzić, że nie zostało nic. Gołe ściany, wszystko poodrywane — nawet gzymsy.

Przeszedłem się po parku. W nastającym mroku księżyc słał swój blask, osrebrzający te smutne szczątki książęcego pałacu.

Tyle refleksyj nasuwało się tam wśród tych odymionych ruin! Czego były one świadkiem? Ile życia, przepychu, a równocześnie niesprawiedliwości, cierpień, gorzkości, lecz widział Bóg w tych murach? Dziedzictwo skradzione polskiej rodzinie Jabłonowskich przez rząd rosyjski za udział w powstaniu, oddane księciu Paszkiewiczowi, renegatowi, w nagrodę za stłumienie powstania w potokach krwi polskiej! Tu umarł Paszkiewicz, potem mieszkali następcy.

Przypomniało mi się żywo opowiadanie hr. Mieroszewskiej o tem, jak Paszkiewicz trzy dni konał i ryczał wprost z rozpacz, z wyrzutów sumienia tak, że wszyscy z pałacu wtedy pociekali.

Tu leżał jakiś czas w kaplicy nad stawem w parku, później wywieziono jego zwłoki do Homla.

Dziś wszystko w gruzach. Martwe wszystko, skamieniałe. Ani śladu życia. Wszystko przeszło, skończyło się.

Było już późno, kiedym te ruiny opuścił.

Poszedłem do domu inną drogą, koło folwarku, rysującego się zdala w blasku księżyca. Ziemia zmarznięta, chodnik suchy.

Zabudowania folwarczne bardzo porządne, murowane, dobrze kryte i obszerne. Natknąłem się koło płotu na jakiegoś mężczyznę. Powiedział mi, że jest parobkiem w tym dworze, że żonaty. Majątkiem, należącym do Paszkiewiczów, administruje p. Mierzejewski z Borowiny za Wie-

przem. Ziemia urodzajna. Orzą nowemi, dwuskibowemi pługami. Przed wojną było trzydzieści koni, obecnie pozostały tylko cztery najgorsze. Jeść mają co. Żyto, owies zabrane. Kosili i zabierali żołnierze z różnych armij i z różnych oddziałów.

Do rozmowy przyłączył się drugi mężczyzna starszy; opowiadał, ile wszyscy przeszli strachu w czasie rozsadzania fortów, cytadeli i mostów i w czasie walk dwukrotnych w roku zeszłym i w tym roku o Dęblin — przez kilkanaście dni była zacięta kanonada, piekielny huk, aż się ziemia trzęsła, a im w mieszkaniu wszystkie szyby z okien powylatywały.

Podczas tej pogawędki podeszło kilku chłopców. Okazało się, że do szkoły nie chodzą, bo szkoły niema ani nie było. Tylko w większych miejscowościach były szkoły rządowe, ale rosyjskie, mało uczęszczane i dlatego ludność naogół nie umie ani czytać ani pisać.

Dęblin, 18 grudnia 1915.

Robota w kościele względnie w cerkwi idzie naprzód. Okna już zaszklone, carskie wrota przywrócone do porządku, zamiast bramy wstawiono duży obraz Wniebowstąpienia Pańskiego jako tło do ołtarza, z lewej strony Matka Boska, z prawej Pan Jezus. Za carskimi wrotami urządza się zakrystję. Równocześnie reperują dach, bo podziurawiony kulami jak rzeszoto, woda przecieka, niszcząc sklepienie i mury.

Już przy świetle świecy, gdy robotnicy skończyli ostatnie prace, ubrałem z poczciwym moim

Andrzejem, służącym, ołtarz w przepisane trzy płócienne obrusy, otrzymane w Warszawie, umieściłem krzyż, świece, relikwie.

Nowy kościół, nowy przybytek, w którym żyć, działać i królować będzie dobry Jezus, skąd błogosławić będzie kochanym żołnierzom, chorym, jeńcom biednym i tej ziemi polskiej, prześiąkniętej świeżą krwią ofiar strasznej wojny. Nowe tabernakulum, skąd płynąć będzie po wszystkie czasy błogosławieństwo na okolicę całą.

Nie odstąpiłbym nikomu, za nic na świecie tej rozrzewniającej radości, jaką odczuwałem, przygotowując ten nowy przybytek, nowy ołtarz Boskiemu Zbawicielowi i to jeszcze w takich warunkach! Nie wiedziałem dotąd, że nieraz Bóg tak odrazu wynagradza po królewsku, i że życie religijne ma tak olbrzymią i rozległą skalę radości i szczęścia.

Kiedy ołtarz był gotów, choć w nim nie było jeszcze żywego Boga w Najśw. Sakramencie, ukląknęłam, oddając Bogu ten przybytek nowy i wszystko, co w nim dziać się będzie dobrego w przyszłości dla dusz ludzkich. Było mi tak dziwnie dobrze, tak dziwnie jasno w duszy, że musiałem wołać: „Panie, odbierz mi tę radość, daj ją tvm, co tu do Ciebie biedni, skołatani na duszy przychodzić będą! Panie, nie tu mi płąć na ziemi, ale tam kiedyś po śmierci, bo jak tu zapłacisz, co mi na potem zostanie?”

Chciałbym wiedzieć, czy ludzie niewierzący mają też kiedy takie niebosiężne chwile radości. Bo czem mogą się cieszyć? Negacją, walką? To za mało!

Dęblin, 19 grudnia 1915.

Dziś cerkiew prawosławna w Dęblinie stała się kościołem katolickim. Jest to chyba pierwszy wypadek w Polsce.

Poświęciłem ją przed 9 rano. Potem odprawiłem pierwszą Mszę św. Śpiewali w czasie Mszy św. żołnierze, którzy zdążyli już utworzyć chór kościelny.

Po Ewangelji kazanie polskie i niemieckie. Wskazałem na niezwykłość chwili. Podniósł się z ruin, otaczających nas wokoło, przybytek poświęcony Bogu i naszemu zbawieniu. Cerkiew wybudowana przed laty, by stać się na polskiej ziemi rozsądnikiem rosyjskości, prawosławia, jest dziś kościołem naszym, katolickim.

Tu będziemy się schodzić, gromadzić, do Boga się modlić — o siłę, wytrwanie, o zwycięstwo ostateczne prosić.

Żyjemy w adwencie. Przypomina nam to czas długi, bo 4000 lat trwający, kiedy to ludzkość tęskniła za kimś, co by przyniósł pokój i pomoc. I przyszedł, przyniósł w Betleem pokój tym, co dobrą wolę mieli.

I my tu dziś zebrani wszyscy czegoś chcemy, za czymś tęsknimy. Doszliśmy wszyscy do przekonania, że jest dobro większe niż powodzenia wojenne i zwycięstwa, a tem dobrem to — pokój. Nie dał go nam dotychczas świat, nie dały miliony bagnetów, nie wywalczyły tysiące armat — musi nam dać ten pokój ktoś silny, mocny, wszechmogący, a tym jest — Bóg, Deus pacis — Bóg pokoju.

I dziś prosimy Boga, prosimy Tego, co mocniejszy od wszystkich wojsk i cesarzy, Tego, co ma teraz zamieszkać wśród nas, prosimy modlitwą i życiem dobrem o pokój dla siebie, dla rodzin naszych i tej nieszczęśliwej ziemi!

Nastrój był poważny. Całość robiła widocznie wrażenie, bo po nabożeństwie przyszedł generał Lang, komendant twierdzy, i dziękował bardzo serdecznie.

Dęblin, 20 grudnia 1915.

Wczoraj po południu pojechałem do proboszcza w Stężycy, w którego parafji leży Dęblin. Droga z początku dobra, bita, później gościniec, t. zw. polska droga o miękkim gruncie. Wzdłuż drogi zniszczone magazyny wojskowe i kolejowe. Stoją tylko kominy i piece kaflowe, do nich przytulone.

Koło ostatniego fortu murowanego cmentarz prawosławny, z cerkwią cmentarną o pięciu kopułach niewielkich. Poza ogrodzeniem cmentarnem jest kilka grobów oddzielnych, zdaje się jeńców katolików. Napisów brak.

Naokoło moczary i nieużytki nadwiślańskie.

Do Stężycy dojeżdża się drogą piaszczystą. Przed wsią patrol niemiecki. To znak, że Stężycza leży już w okupacji pruskiej i między Stężycą a cmentarzem biegnie linja okupacyjna.

Sama wieś skupiona. Jedzie się ulicą wśród domów, a raczej chat, bo wszystko tu drewniane, słomą kryte, gdzieś ściany pobielone z odzieniem niebieskawym, jak pod Krakowem. Koło

kościół murowana szkoła, pierwsza jaką w Królestwie widziałem.

Kościół murowany, stary, poważny gotyk nadwiślański. Kryty dachówką, omszony cały.

Posłyszałem organy, domyślając się, że to nieszpory, wszedłem. Kościół duży, z nawą poprzeczną. Po prawej stronie siedzą kobiety, po lewej mężczyźni. Śpiewano właśnie Magnifikat, podczas którego kościelny dzwonił sygnaturką. Śpiewano po łacinie, jeden wiersz śpiewają mężczyźni, drugi kobiety. Wygląda to na pierwszy raz bardzo oryginalnie i trochę śmiesznie. Łacińskie psalmy w ustach chłopki ze wsi, co nawet po polsku nieszczególnie czytać umie.

Wolę stanowczo nasze polskie nieszpory na Śląsku. Są zrozumiałe, przystępne i są naprawdę modlitwą, oraz krynicą prześlicznych natchnionych myśli. Tu łacińskie psalmy tracą na zrozumieniu i mijają się właściwie z celem. Zresztą śpiewa tylko niewielka garstka, a reszta wiernych zachowuje się w kościele zupełnie biernie.

Po nieszporych: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Myśli uleciały wtedy daleko na Śląsk, gdzie nasz lud tak ładnie śpiewa, gdzie śpiew polski po kościołach obronił najbardziej zagrożone parafje od wynarodowienia.

Poszedłem potem do księdza proboszcza. Młody, przystojny brunet, kędzierzawe włosy. Przyjął mnie z wielką rezerwą.

Dowiedziałem się, że Stężyca i Dęblin należą do dekanatu garwolińskiego w diecezji podlaskiej, administrowanej na razie z Lublina. Sama Stężyca była w 17 wieku siedzibą starostwa stężyckiego i sporem miastem, zniszczona jednak zo-

stała wylewem Wisły, która zmieniła wtedy swoje łożysko tak, że dziś płynie na gruzach dawnej Stężycy. Stężycza jest znana ze zjazdu rokoszan Zebrzydowskiego w 1606 r.

Dęblin, 22 grudnia 1915.

Wybrałem się wczoraj do drugiego sąsiada, do księdza proboszcza w Gołębiu nad Wisłą od strony Puław, z Dęblina przeszło mila.

Droga pierwszorzędną, bitą, biegnie wzdłuż Wisły. Po obu stronach wierzby. Tuż za mostem na Wieprzu wieś Borowa, potem fort, a mniej więcej w połowie drogi dwór Borowina, bardzo porządnie zbudowany. Krajobraz typowy nadwiślański, bezkresna równina, przecięta wstęgą powoli płynącej Wisły. Jakże ona tu inna od Wisły na Śląsku z pod kościoła w samej Wiśle lub w Ustroniu!

Z poza pasma wierzb przydrożnych wynurzą się ponad szeregiem chat wiejskich dwie wysokie wieże kościelne i kontury dużego kościoła. Ma się wrażenie, że ten kościół tu skądś przeniesiono, że to fragment, resztką jakiegoś dawnego miasta, co tu może kiedyś rozłożone było u stóp kościoła, a potem zapadło się w topieli.

Probstwo schowane za kościołem w sadzie, parterowe, niskie.

Proboszcz wysoki, kościsty, o siwych włosach, robił zrazu wrażenie wystraszonego moją wizytą, ale wkrótce uspokoił się i rozmawiał swobodnie, opisując swoje przejścia w czasie walk pod Dęblinem i nad Wisłą. Z księdzem wikarju-

szem porozumieliśmy się zato o wiele łatwiej i prędzej.

Gołąb, dziś miejscowość bez znaczenia, jest miejscem zawiązania t. zw. konfederacji gołąbskiej w r. 1672 pod laską Stefana Czarnieckiego celem moralnego poparcia króla Michała Wiśniowieckiego, kiedy tracił popularność wskutek klęsk w wojnie z Tatarami.

Pod względem kościelnym należy Gołąb do diecezji lubelskiej w dekanacie puławskim.

Dęblin, 25 grudnia 1915.

Boże Narodzenie dziś.

Dla mnie dzień wytężonej pracy.

Martwiłem się o to, jak będzie ze świętami. Nie wiedziałem, jakby najlepiej wszystko urządzić, by biednym żołnierzom uprzyjemnić Boże Narodzenie i dać im choć przypomnienie tego, co zawsze dotąd mieli w te dni w domu.

Nie bardzo wierzyłem w powodzenie pasterek. Żołnierze zmęczeni, nie chciałem ich jeszcze więcej trudzić i niepokoić. Jednakże nazначyłem pasterkę na godz. 12 w nocy. W najgorszym razie, gdyby nikt nie przyszedł, byłbym odprawił pasterkę sam dla siebie, by sobie przypomnieć zeszłoroczną jabłonkowską i pasterkę z lat dawnych w rodzinnej Końskiej koło Cieszyna.

Jakże się w przypuszczeniach pomyliłem! Kochani żołnierze z oficerami przygotowali niezwykle miłą niespodziankę, nadającą urok całemu nabożeństwu.

Wychodzę po jedenastej w nocy z mieszkania, idę przez most w narażnym forcie. Tam

w cytadeli koło ruin jakieś smugi światła jasne, jakieś promienie dziwne ruszają się, przesuwają, chodzą, oświetlając drogę i bramę św. Mikołaja i mury spalone, zgliszczą i drzewa bezlistne i sam kościół.

To reflektory, poustawiane na drodze i wśród ruin. Wrażenie jak w bajce, jak na polach koło Betleem.

Kościół przybrany przez żołnierzy w zieleni, jodły, świerki, wieńce koło ołtarza. A koło filarów u wejścia, w ukryciu, zrobionem z desek, dwa reflektory. Rzucają smugi światła w górę, w kopułę wysoko, gdzie na niebieskiem tle złoczone gwiazdki błyszczą, obok ciemnych plam, znacząc miejsca powyrywane granatami.

A stamtąd z góry płynie światło i jasność, rozlewa się na ołtarz, pełny żarzących się świec i na kościół, wypełniony żołnierzami.

Przyszli i ludzie z okolicy. Albo im zburzono kościoły, albo im do swoich za daleko — przyszli tu, skoro dowiedzieli się o pasterce w byłej cerkwi, dotąd im niedostępnej.

O północy wyszedłem ze Mszą św.

Jakieś drżenie uroczyste udzieliło się wszystkim. Nastrój, przeżycia dziwne, tajemniczość uroczysta, atmosfera betleemska. Śpiewa chór żołnierzy.

Gloria! Pierwszy raz w tym kościele! Pierwszy raz głoszona tu chwała na wysokości Bogu, a ludziom, co są dobrej woli — pokój. Pierwszy raz tu w tem Betleem nowem. Jak burza, huragan, leci ku niebu nasza kochana polska kolęda: „Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi“.

Potem znowu śpiewna i cicha: „Wśród nocnej ciszy“ i „Lulajże Jezuniu, moja perełko“.

Po Ewangelji kazanie. Tu przypomnieli sobie żołnierze, jacy oni dziś podobni do pastuszków, co za miastem strzegli swego dobra i mienia i przytem Boga o lepszą dolę prosili, o lepszych dniach marzyli. I żołnierze dziś daleko od swoich kochanych, od rodzin, żon, dzieci, od kościółka swego, tu daleko bronią dóbr swej Ojczyzny i swego narodu. A są tacy, co już po raz drugi w wigilję marzą o lepszej doli, o powrocie lepszych, jasnych dni w domu, wśród bliskich. Co dotąd przeszli i jeszcze przechodzą, to tylko jeden Bóg wie i widzi...

Ale też to właśnie uprawnia dziś żołnierza do pójścia do Jezusa po moc, po siłę, po błogosławieństwo na ciężkie życie żołnierskie, na znoje, na trudy — uprawnia do kornego proszenia o to, za czem tam w domu wszyscy i my tu dziś i świat cały płacze i tęskni: o pokój.

O pokój nam wszystkim trzeba dziś się modlić, o pokój zwłaszcza dla tej polskiej ziemi, poranej wzdłuż i wszerz rowami, porytej, gdzie okiem rzucić, zroszonej, przesiąkłej krwią, zasianej tylu grobami poległych! Może Boska Dziecina spojrzy dziś na całą martyrologję polskiego narodu, pobłogosławi go, jak pastuszków na dalsze losy i męki.

Jeżeli który naród, jeżeli jacy żołnierze, to polscy mają prawo, ale też i obowiązek iść do Boskiej Dzieciny, do Jezusa, ze swemi modłami, prośbami. Bo my nie mamy co oglądać się na innych — nam nikt nie pomoże — tylko jeden Bóg. My nie mamy armji ani armat — nasza cała na-

dzieja, ufność, to ta słaba na pozór Boska Dziecina na tym żołnierskim prostym ołtarzu.

Kto pomyślał, że dziś będzie w rosyjskiej cerkwi obchodził Boże Narodzenie? A jednak stało się. Niech to będzie rękojmią i zapewnieniem, że Bóg zmieni wszystko na lepsze i sprawi, że i nam inaczej, lepiej będzie.

Potem Podniesienie. Podniesiony Pan Jezus wysoko, błogosławił z pewnością żołnierzy i ten lud dobry na dolę i niedolę, na życie ciężkie, wojenne — błogosławił tym, co się przed Nim korzyli, błogosławił kraj naokoło, Polskę biedną, polski lud, co i tu tak do Boga się garnie jak koło Jabłonkowa i Cieszyna.

Po Podniesieniu zaśpiewano czeską kolędę: Narodil se Kristus Pan, veselme se, kvitek s ruže vykvet nam, radujme se“. Śpiew chóru podchwycili z zapalem obecni na pasterce żołnierze Czeši. I płynęła pieśń czeska z polskiej ziemi, z byłej cerkwi prawosławnej, dziś nowego Betleem Jezusowego, hen w niebo przed Boży tron.

W czasie Komunji św. zaintonowali Niemcy swoje melodyjne, znane na całym świecie: „Stille Nacht, heilige Nacht“ — Cicha noc, święta noc.

I mieli wszyscy swoją własną pasterkę, choć zdala od swoich, od domu.

Podziwiałem wtedy tę przedziwną powszechność Kościoła katolickiego, jak umie być dla wszystkich jednakową matką i dać każdemu, skądby nie był, jakimby językiem nie mówił, pełnię szczęścia i zadowolenia. Przed ołtarzem u żłóbka Boskiej Dzieciny zacierają się wszystkie różnice, łączy wszystkich jedna miłość, jedna wiara.

Drugą Mszę św. odprawiłem o godz. 9 z kazaniem niemieckiem i polskiem.

Trzecią o godz. 10.30 dla jeńców katolików. Niewiele ich było, przyszli i prawosławni. Zato przybyły tłumy ludu z okolicy. Obszerny kościół pełnusięni. Śpiewaliśmy kolędy, a ponieważ nie mam organisty, sam każdą zaczynałem.

Kazanie znacznie dłuższe niż na pasterce. Wskazałem na położenie ludu polskiego, smutne polskie Boże Narodzenie wśród wojny, która przeszła już dwa razy przez Polskę jak zaraza i tyle zniszczyła! Biedni jesteśmy, ale właśnie ta bieda nasza zbliża nas do ubogiego Dzieciątka w betleemskiej stajni. Chrystus nowonarodzony wie dobrze, co to znaczy zimno, głód, wie jak to ciężko, gdy się nie ma dachu nad głową.

Po Mszy św. połamałem się opłatkiem z jeńcami w kościele. W barakach względnie w ziemiankach, gdzie mieszkali, uważanoby to za rzecz karygodną — tymczasem w kościele wcale to nie raziło, a jeńcom sprawiło ogromną przyjemność i radość.

W zakrystji zastałem pełno ludzi. Wystarczyło kilka dobrych słów w kazaniu, by uznali mnie nie za Austriaka, dziada, jak ogólnie Austriaków tu nazywają, ale za swego, za księdza polskiego. Pytali, czy możnaby zebrać chór kościelny, czy trzeba urządzić jaką składkę na cele kościelne. Na chór chętnie się zgodziłem, na składkę jednak nie pozwoliłem, bo wydatki kościelne ponosi wojskowość, a ja sam mam, co mi trzeba.

Tak jakoś odrazu otworzyli swe serca, jakby mnie znali oddawna. A przecież znaliśmy się ledwo od godziny. W takich razach widzi się

naocznie te niespożyte wewnętrzne siły organizacji kościelnej, ziemskie odzwierciedlenie obcowania świętych. I było mi dobrze z tem, tak miło jak u nas na Śląsku.

Dał mi dobry Jezus te serca — to był mój podarunek na święta. To była najmiłsza „Gwiazdka“.

Dęblin, 27 grudnia 1915.

Wczoraj w drugie święto pojechałem z por. Grabowskim do Borowiny, o pięć wiorst stąd do pp. Mierzejewskich. Jest to najbliższe kulturalne i polskie sąsiedztwo. Trafiliśmy na imieniny pani domu. Zjechała się cała rodzina oraz sąsiedzi. Nastroj pomimo wojennych czasów miły i sympatyczny.

Spotkałem się pierwszy raz z życiem ziemian, szlachty osiadłej na roli. Odrazu zmiarkowałem, że to coś dla mnie nowego, jakiś inny świat dotąd mi nieznan, to też miałem wiele sposobności do obserwacji i porównywania stosunków, poglądów tutejszych i śląskich.

Przedewszystkiem uderza tu zupełne wyodrębnienie się ziemian z życia wsi i gminy. Obcuja oni tylko ze sobą. Ludność wiejska tak samo nie ma z ziemianami nic wspólnego. Przedział między ziemianinem-panem a chłopem ogromny. Ziemianie tworzą najwyższą warstwę umysłową i społeczną, włościanie natomiast najniższą. Mieszkańcy zaś małych miasteczek, którym żydzi wydarli z rąk prawie cały handel, pod względem kultury, oświaty i pojęć, niemal wcale od chłopów się nie różnią. Dlatego, za wyjątkiem większych miast, brak właściwie w Polsce sfery pośredniej, stanu

średniego, jakim w innych społeczeństwach są zwykle rękodzielnicy, mieszczenie, to co obejmujemy nazwą stanu trzeciego, który to stan trzeci mógłby swym wpływem i życiem zmniejszyć przedział społeczny między ziemiaństwem a chłopem i usuwać wynikającą stąd powszechną nieufność i zakorzenione uprzedzenia.

Do tego przedziału i nieufności wzajemnej przyczynił się zresztą różnemi sposobami i rząd rosyjski, bo waśnią, dzieląc, siejąc nieufność, a często nienawiść sąsiedzką, mógł łatwiej w Polsce nad zwaśnionymi panować.

Życie towarzyskie u ziemian rozwinięte do granic u nas niespotykanych. My na Śląsku, jako społeczeństwo chłopskie, demokratyczne, nie mamy o tem pojęcia. To też formy nasze i sposób bycia bardzo prosty utrudnia nam obracanie się w t. zw. „towarzystwie“. — Ale zato oni nie umieją porozumieć się z chłopami ani jakoś do nich trafić. U nas tych trudności niema.

Lublin, 30 grudnia 1915.

Wyjechałem na dwa dni w sprawie organizacji duszpasterstwa do superjoratu wojskowego w Lublinie. Koleją jedzie się z Dębina dwie godziny. Po drodze mija się słynne w literaturze i historii polskiej Puławy, gdzie w dawnym pałacu książąt Czartoryskich mieści się obecnie instytut rolniczy i wielkie zbory muzealne. Same Puławy zniszczone i spalone prawie doszczętnie. Słynna jest tam t. zw. świątynia Sybilli. Nad wejściem napis: „przeszłość — przyszłości“.

Z dworca w Lublinie idzie się do miasta pół godziny. Śródmieście leży na wzgórzu, to nadaje Lublinowi zdaleka dużo uroku. Po drodze spotyka się poważne, stare domy i kościoły, bo Lublin jest starodawnym miastem. Utrzymują, że powstał jeszcze w czasach pogańskich, przed pierwszym królem Mieczysławem, koło r. 950. Za Bolesława Chrobrego był tu zamek drewniany. Z większych budowli przechował się zamek królewski z wieżą Daniela, dalej potężna Brama krakowska z wysoką wieżą z 1342 roku. Rynek jest mały — oryginalna jest ulica Grodzka, spadzista ze starymi domami, bardzo malownicza. Są i nowsze ulice wielkomiejskie, szerokie i ludne, jak np. Krakowskie Przedmieście.

Kościółów ma Lublin blisko 20. Katedra ozdobiona greckim portykiem z sześciu kolumnami i dwoma wieżami. Osobliwością jest chrzcielnica z przed 700 lat z napisem: „hilm god Maria berod“ — to znaczy: pomagaj Boże i Marjo, udzielaj rady. Kilka bocznych kaplic, szereg nagrobków, pomniki Sebastjana Klonowicza (um. w Lublinie), Wincentego Pola (ur. w Lublinie) w kaplicy poetów. Słynna jest zakrystja ze sklepieniem w kształcie elipsy, odbijającym głos tak, że szept osoby, stojącej w jednym kącie zakrystji, może być słyszany wyraźnie przez kogoś, stojącego w drugim.

Ciekawy jest kościół po-dominikański, stary, z kilku kaplicami. W jednej cudowna Matka Boska t. zw. Trybunalska. W innej kaplicy znajduje się bardzo wielka relikwja św. Krzyża, druga co do wielkości w Polsce. Największą relikwję ma klasztor na św. Krzyżu, ofiarowaną Polsce po-

dobno przez króla węgierskiego Emeryka w roku 1006.

Na sklepieniu kaplicy św. Krzyża są ciekawe malowidła, przedstawiające Sąd ostateczny. Zbawiciel siedzi na tęczy, otoczony aniołami, u nóg Jego księga z napisem: „Księgi spisane wystawią, które każdą rzecz wyjawią, z czego na świat dekret sprawią“. Na drugiej stronie krzyż, podtrzymywany przez aniołów i napis: „hoc signum crucis erit in coelo“, — „ten znak krzyża będzie na niebie“. Pomiedzy Zbawicielem a krzyżem różne sceny z sądu ostatecznego. Widać człowieka, co trzyma dzban wina w jednej a karty w drugiej ręce. Na szyi ma pętlę z powroza, rogaty szatan ciągnie go do piekła. Są tam i kobiety, lubiące zbytki i stroje, jadą w powozie, zrobionym z ludzkich żeber i pischceli, a powóz zaprzężony w odrażające potwory.

Lublin to miasto historyczne. Tu odbywał się często sejm, tu doszła do skutku Unja Lubelska w r. 1569. W tym samym roku odebrał tu król Zygmunt August, przed ratuszem siedząc na tronie, hołd i przysięgę lenniczą od księcia pruskiego Albrechta Fryderyka. Na pamiątkę wiekopomnej Unji stoi na placu Litewskim kolumna kamienna czarna ze złotym u dołu medaljonem.

W XVI i XVII wieku był Lublin jednym z największych i najładniejszych miast w Polsce, bo leżał mniej więcej w środku posiadłości państwa polskiego.

Ponieważ Dęblin leży w obrębie diecezji podlaskiej, administrowanej tymczasowo z Lublina, poszedłem przedstawić się w Konsystorzu. Biskupa

obecnie niema, umarł parę dni przed rozpoczęciem się wojny. Diecezjami podlaską i lubelską zarządza ks. prałat Zenon Kwiek.

Niski, szczupły brunet, w czarnej sutannie, bardzo przystępny i serdeczny. Widać troskę o powierzone mu diecezje, ślady przemęczenia i ciężkich warunków. Część diecezji jest w okupacji austriackiej, część w niemieckiej. Wobec utrudnionego przejazdu z jednej części do drugiej, wobec niefunkcjonowania poczty, stracił kontakt z całością diecezji. Wytworzyły się stąd bardzo niekorzystne warunki dla spraw religijnych. Przedtem marjawityzm, teraz wojna, nowy podział i okupacja. Z zestawienia tego, co mówił ks. arcybiskup Kakowski w Warszawie i tego, co tu widział, wynika, że Kościół katolicki i życie religijne w Polsce przechodzi ciężki kryzys i twardą szkołę i że Polska i Kościół to dwie siostry męczennice.

Jak długo to jeszcze potrwa? Kończymy jutro rok 1915, zdawało się, że przyniesie rozwiązanie sytuacji — tymczasem nadzieje zawodzą, wszelkie rachuby nie spełniają się i nowy rok będzie tak samo rokiem wojny.

Dzieńnik z wyjazdu 1916

W niedzielę jechałem z Krakowa, gdzie brawłem przez trzy dni. Pojechałem przez Kielec, a wróciłem okręciłem drogą przez Tarnobrzeg, Rozwadów, Lublin, a wróciłem do Warszawy. W drodze w Dęblińcu w jednym z punktów przystanku spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa. W drodze w Dęblińcu spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa. W drodze w Dęblińcu spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa.

1916

Na kolejach spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa. W drodze w Dęblińcu spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa. W drodze w Dęblińcu spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa.

Kolejne dni były miłe — to miłe było, to miłe było, to miłe było. W drodze w Dęblińcu spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa. W drodze w Dęblińcu spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa. W drodze w Dęblińcu spotkałem się z grupą młodych ludzi, którzy byli z Warszawy, a wróciłem do Krakowa.

1915

Dęblin, 18 stycznia 1916.

W niedzielę rano wróciłem z Krakowa, gdzie bawiłem przez trzy dni. Pojechałem przez Kielce, a wróciłem okrężną drogą przez Tarnów, Rozwadow, Lublin, bo przez Wisłę w Dęblinie w żaden sposób przedostać się nie można. Niedawno runął cały most, zbudowany przez Austriaków, wobec tego komunikacja odbywała się statkami i łodziami — obecnie jednak płynie kra i o przedostaniu się z jednego brzegu na drugi niema mowy.

Na kolejach spotyka się wyłącznie wojskowych, jedni jadą z frontu, drudzy na front. Cywila niema nawet na pokaz, bo zresztą osobne są wagony dla cywilnych, a osobne dla wojskowych.

Kraków zawsze miły — to miasto robi na mnie zawsze duże wrażenie. Pierwszy raz byłem w Krakowie jako uczeń trzeciej klasy gimnazjalnej z wycieczką, urządzoną przez profesorów gimnazjum polskiego w Cieszynie. W szkole idealizowano nam stale Kraków, jego historję, rozbudzano entuzjazm do wszystkiego co polskie i dzięki temu Kraków był dla mnie jakimś sanktuarjum. Zazdrościłem tym, co do Krakowa jadą,

co w Krakowie mieszkają, co tam się uczą, a kiedym pierwszy raz z wagonu zobaczył kopiec Kościuszki, a potem sam Kraków, to z dziwnej egzaltacji miałem łzy w oczach, a mazgałem się, kiedy trzeba było z Krakowa wyjeżdżać.

Były to, nawiasem mówiąc, czasy zmagania się na Śląsku i w Cieszynie z wszelkiego rodzaju metodami germanizacyjnymi, czasy rozwydrzenia Niemców śląskich, czasy, kiedy się było bitym kilka razy na tydzień, na Materówce lub na Brandysie, na drodze ze szkoły przez uczniów z niemieckich szkół, stanowiących przygniatającą większość. W takich warunkach Kraków musiał uchodzić co najmniej za polski Olimp.

Ten dziwny urok został, choć przebyłem potem w Krakowie całe dwa lata. Nie mogę się skarżyć na Kraków, zawsze mi tam dobrze było — spotykałem dobrych i życzliwych ludzi.

I teraz znajomi witali serdecznie. Prawie zupełnie zajęli mi czas pp. Gniewoszowie. We czwartek urządzili herbatę, na której był obecny ks. biskup Nowak. W „Czerwonym Krzyżu“ otrzymałem dla szpitala dęblińskiego od księżny Sapieżyny dużo bielizny. Pani Rydlowa, dobra i pogodna, życzliwa jak zawsze, skarży się żartobliwie, że straciła wszelki autorytet u dzieci. Dwa razy zastałem poetę Lucjana Rydla.

Dęblin, 6 lutego 1916.

W barakach i w ziemiankach, gdzie mieszkają jeńcy rosyjscy, pokazał się tyfus plamisty. Dla nas nieprzyzwyczajonych do tyfusu brzmi to

zawsze jakoś groźnie — tu w Królestwie rzecz zwyczajna. Lekarze powiadają, że tutejsza ludność jest przyzwyczajona do tyfusu, „immunizowana“. Ja sam wyobrażałem sobie, że tyfus plamisty to coś okropnego — tymczasem cała historia polega na silnej gorączce, a wyzdrowienie zależy od wytrzymałości serca. Na ciele pojawiają się drobnutkie plamki, czerwone lub fioletowe.

Na ogół Austriacy mają wielki respekt przed tyfusem. Widziałem w Lublinie na bramach kilku domów afisze ostrzegawcze z namalowaną trupią głową i napis: Flecktyphus — tyfus plamisty.

Jak Flecktyphus, to Flecktyphus i pan generał, komendant twierdzy w Dęblinie, pan życia i śmierci na całą okolicę, wydał w związku z tyfusem różne rozporządzenia, a między innymi i „befehl“, że aż do odwołania znosi się w kościele w cytadeli „Kirchgang“, czyli nabożeństwo dla żołnierzy, a naturalnie i dla ludności cywilnej.

Dowiedzieli się o tem mieszkańcy sąsiedniej parafji Sieciechów-Opactwo, po drugiej stronie Wisły, z diecezji sandomierskiej i wydelegowali czterech gospodarzy, by mnie zaprosili z nabożeństwem do swego kościoła. Księżda nie mają, poszedł jako kapelan wojskowy z wojskiem rosyjskiem — teraz Bóg wie, gdzie jest. Sąsiedni proboszcz nie może podołać pracy w dwóch parafjach. Od lipca zeszłego roku była tylko jedna Msza św. w Boże Narodzenie, od tego czasu w kościele cicho, pusto i smutno. A parafja duża, należy do niej czternaście wiosek, przeszło pięć tysięcy ludzi.

W niedzielę i święta zejdą się ludziska, organista zagra, zaśpiewają sobie, ale to już nie to

samo jak wtedy, kiedy jest ksiądz, kiedy kazanie do ludu powie i Mszę św. odprawi, kiedy Pan Jezus żywy w Hostji św. do kościoła na ołtarz zstąpi. Młodzi idą do sąsiedniej parafji, ale starszym w tych błotach i bezdrożach — iść trudno.

Przyjąłem zaproszenie. Musiałbym tu być sam na Mszy św. ze służącym, a tam tysiące osieroconych i opuszczonych pragną choć raz Mszy św. Potrzebne przybory kościelne przygotowałem i spakowałem do walizy, bo tam — jak mówili gospodarze — nie zostało nic, zrabowano, zabrano wszystko. Zostały gołe ołtarze i puste szafy.

Nazajutrz rano przeprawilem się parowcem przez Wisłę. Zastałem na brzegu dwóch gospodarzy, czekali z wozem. Jedzie się najpierw przez las, pełen okopów, rowów i zasieków, a dalej koło rozbitych, zniszczonych fortów i ruin z dawnych koszar i innych budynków. Gdzieś niegdzie grób samotny jakiegoś żołnierza.

Tam w oddali wśród zabudowań murowanych widać kościół. Wygląda raczej na dwór szlachecki. Wieży niema, dach czerwony, widny już zdaleka, ale jakiś powichrzony, jakby rozczochrany. W ścianach duże ciemne i szare plamy, pstrokaczna.

Po drodze opowiadają gospodarze, że to wskutek licznych strzałów armatnich i karabinowych. Wpadło do kościoła kilka granatów, zasypało go kulami z karabinów i to dwa razy: w październiku 1914 roku i w sierpniu 1915, a jednak kościół stoi, nie roz walił się, został. Inny byłby runął, ale ten zbudowany mocno, przetrzymał. Budowali go Benedyktyni. Tu mieli klasztor, póki rząd rosyjski go nie skasował i nie

zabrał. Potem był kościół przez dłuższy czas zamknięty, zamieniono go na skład zboża. Przez jakiś czas zamykano w nim owce, zrobiono z niego stajnię. Dopiero później pozwolono odprawiać w nim nabożeństwa.

Im bliżej, tem wyraźniejsze stawały się ślady zniszczenia zabudowań i kościoła. Mury całe pstre od kul, tynk poodpadał, widać cegłę. Naróża obszarpane i wyszczerbione. Dach połamany w kilku miejscach, miejscami prześwieca na drugą stronę. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, zniszczenie. Przykry widok, aż człowieka coś boli, kiedy trzeba na to patrzeć. A jaki kościół, taki cały ten kraj dokoła.

Przed kościołem duży plac, w środku krzyż, z boku dzwonnica. Na placu tłumy ludu. Mężczyźni z charakterystycznymi maciejówkami. Wóz zajeżdża powoli. Wszyscy witają — tak dawno księdza u siebie nie widzieli! Nagle — dzwony biją, dzwony się odzywają! Byłem tem zaskoczony, zdziwiony, bo w okolicy nigdzie dzwonów niema. Zabrano wszystkie. Tu dziwnym sposobem jakoś ocalały. Widząc moje zdumienie, uśmiechają się pocziwi ludziska z jakąś dumą i satysfakcją.

Otoczyli mnie w jednej chwili, każdy chce się zbliżyć, powitać. To ten sam dobry polski lud, te same dobre dusze, co u nas na Śląsku. Lgną do księdza jak u nas. Obcy im jestem, w obcym mundurze, a jednak odrazu otwierają swe serca.

Kościół robi wyglądem wewnętrznym miłą niespodziankę. Śliczny, harmonijny barok. Stare malowidła poważne, artystyczne. Linje łagodne,

spokojne, motywy bynajmniej nie tuzinkowe. To kościół wytworny, miejski.

Niestety znać i tu zniszczenie. W sklepieniu kilka dziur, w bocznym murze także wyrwa. Szyby z okien wyleciały wszystkie, część zaszalowano deskami, a tylko kilka oszklono, zwłaszcza że o szkło tu teraz trudno. Ołtarze огоłocone ze wszystkiego.

Boże! Jak oni słuchali, gdy im mówiłem, że to oni tacy jak i ci biedni apostołowie, co z Panem Jezusem w łódce chcieli wydostać się na bezpieczny brzeg z rozszalałych burzą wód. Żle im, poniszczone wszystko, trzeba zaczynać na nowo, dachu nieraz nad głową niema, ziarna brak na zasiew i chleb, obrobić niema czem. Tylu mężów, braci gdzieś zabitych lub tułających się daleko, nie wiadomo gdzie. A przed ludem widmo biedy, widmo głodu, kij żebraczy. Żle, ciężko, beznadziejnie. Wygląda tak, jakby Jezus nie wiedział o tem wszystkim, jakby spał. — Ale nie, On nie śpi, On chce nam tylko od czasu do czasu pokazać, jacyśmy słabi, jak my mało możemy zrobić sami. On chce, byśmy uznali naszą niemoc, a zawsze i wszędzie do Niego ze wszystkim i we wszystkim się zwracali. On pomoże znowu, skoro tylko dumny człowiek uzna na nowo Jego Siłę i Potęgę i schyli się przed Wszechmocą Bożą, skoro wszyscy zdobędziemy się na pokorne, a pełne wiary: Panie, ratuj, bo ginimy! Panie, ratuj ten kraj cały, tę Polskę biedną! Popatrz na nią, wszak ona, choć sama biedna, przytuliła do swego łona tylu, co padli, co zabici! Nie pyta kto to, wszystkich otula, wszystkim daje ziemię na mogiłę, grób. Dziś w Polsce jedno wielkie, olbrzymie

cmentarzysko! Panie, pociesz ten lud, co przecierpiał tyle, a zawsze jeszcze przy wierze ojców swoich trwa, co może i nieraz o Tobie zapomniał na chwilę, może Ci się Boże sprzeniewierzył, ale co jęczy i narzeka, gdy mu kościół rozbili, gdy na Mszy św. w niedzielę być nie może.

To tylko próba dziś, doświadczenie. Jak Pan Jezus apostołów doświadczał, tak i nas doświadcza. Ale On zażegna wnet tę burzę światową, uciszy, a my wszyscy ze świętem drżeniem przed Bożą Mocą i cudem uznamy Go Bogiem, uznamy Go Panem naszym.

A kiedy było potem Podniesienie, to w Opactwie sieciechowskiem nie czuli się już ludzie opuszczonymi, osieroconymi i zapomnianymi, bo tam na ołtarz Pan Jezus żywy ze Swem przedobrem zawsze Sercem zstąpił, zamieszkał między nimi na kilka dni, pocieszał ich, łaskami, pomocą i opieką przemożną darzył, błogosławił na życia trudy i znoje...

Dęblin, 23 lutego 1916.

O ile stosunek mój do ludności w okolicy jest bardzo sympatyczny i ludzie ci przychodzą z najrozmaitszemi sprawami o radę, czy pośrednictwo, czy też o obronę przed nadużyciami władz okupacyjnych, to stosunek do księży nie ma tej cechy.

Dęblin leży na granicy trzech diecezji: sandomierskiej, lubelskiej i podlaskiej. Otoczony jest przez pięć różnych parafii. Do kościoła wojskowego chodzą więc ludzie, którzy mieli dotąd do swoich kościołów parafjalnych najdalej. Wskutek

tego kontakt z parafją własną i z proboszczem, i tak dotychczas luźny, obecnie prawie że zerwany. Ze względów duszpasterskich jest to zawsze niekorzystne i niepożądane. Dlatego też rozumiem zachowanie się okolicznych księży względem mojego kościoła i nabożeństw. Do tego dołącza się ogólne uprzedzenie do kapelanów wojskowych.

Nabożeństwa dla ludności cywilnej powstały siłą faktów. Od pierwszej niedzieli kościół był stale pełny, przychodzili ludzie z chwilą, gdy się dowiedzieli, że się tu odprawia nabożeństwo. A teraz byłoby mi serdecznie żal znieść te nabożeństwa dla ludności cywilnej, zakazać uczęszczania do kościoła.

Nabożeństwa te, to moja pociecha wśród najrozmaitszych trudności. Duszpasterstwo wojskowe nie jest w ścisłym słowa znaczeniu duszpasterstwem, jest objawem wojennym, tymczasowym, jest w niem dużo urzędowego charakteru i przymusu dla obu stron. I o ile chodzi o żołnierzy zdrowych w różnych oddziałach i formacjach, a nie o rannych, to ani ja z nich nie jestem zadowolony, ani oni ze mnie. To się wyczuwa. Zbieranina niemiecko-czesko-rusińsko-madziarska, spełniająca służbę wojskową z przymusu, tęskniąca za jednym tylko, żeby to wszystko jak najprędzej rzucić i znaleźć się w domu, co ją tam ksiądz obchodzi? W niedziele i święta przed południem z przymusu słucha nauki, kazania, a po południu stoi w ogonku przed domem publicznym, urządzonym przez władze okupacyjne w pobliskiej miejscinie żydowskiej dla moich wojskowych „parafjan“. Z jednej strony nauki kapelana

wojskowego o przykazaniach bożych, z drugiej zaś dowództwo wydaje żołnierzom wskazówki, jak się chronić przed chorobami wenerycznymi. — Pewno, że gdyby tego kapelana nie było, byłoby jeszcze gorzej, ale nieraz serce się kraje, a w duszy wszystko wprost krzyczy z bólu, kiedy się widzi spustoszenie w duszach ludzkich, dokonane przez wojnę.

Oficerowie, z wyjątkiem czterech czy pięciu na czterdziestu kilku, o religję prawie zupełnie się nie troszczą. Są uprzejmi, ale w kościele się nie pokazują. Przy stole jednak poruszają bardzo często kwestje religijne, — widocznie ich jednak coś na dnie duszy gniecie i niepokoi. Zagłuszają swe sumienia jak mogą różnemi sofizmatami i frazesami. Bo dusza ludzka jest jako ta muszla morska, w której słyhać stale cichy, głuchy szum, co tęskni wciąż za Bogiem i prawdą.

Niedawno toczyła się przy stole generalskim bardzo ożywiona dyskusja, która — jak to zwykle bywa — zeszła na religję. Kiedy mi się zdało, że moje argumenty musiały sprawę wyświecić i dyskusja dobiegła końca, odzywa się lekarz w randze pułkownika, notabene żyd węgierski: „Właściwie to mi żal tego kapelana, broni swęj sprawy wspaniale, ale w duszy myśli sobie: moi panowie, wy macie rację!“ To znaczy, że tu wszelki trud daremny, najświętsze przekonania uważa się za rzecz interesu. Sprawy religijne, to referat kapelana, więc ich musi bronić, choć sam według nich w to wszystko nie wierzy. Ci ludzie tworzą sobie sami religję, w której Bogiem i prawodawcą jest zwykle własne — „ja“, religję bez przykazań, bez dogmatu. Nic dziwnego, że

nie mogą pojąć życia z wiary i że nie mają żadnych zasad religijnych. I pomyśleć, że poza kilkunastu żydami, to to wszystko moi „parafjanie“!

Dyskusje te mają tę dobrą stronę, że muszę powtarzać dogmatykę, apologetykę i historję kościelną, by mieć odpowiedź na zarzuty różnego kalibru i pochodzenia, najczęściej tylko odgrzewane a tyle razy już odparte i wyjaśnione.

W takich warunkach kontakt z ludnością cywilną przez odprawianie osobnych nabożeństw poza wojskowemi jest wytchnieniem i nic dziwnego, że tęsknię do nich.

Religijność tutejszego ludu jest odmienna od religijności na Śląsku. Jest tu we wszystkim dużo uczuciowości i powierzchowności. Brak też mocnych, świadomych przekonań religijnych, któreby wrosły w duszę korzeniem, tkwiły tam mocno i były regulatorem życia całego. Wiadomości podstawowych niewiele. Jest jakby zewnętrzna tylko skorupa katolicka, a dusza sama jeszcze pierwotna, naturaliter christiana. Przy tem wszystkim jest jednak tradycyjne, silne przywiązanie do wiary. Ci ludzie całemi dniami nieraz czekają na spowiedź, idą po kilka mil do kościoła. Nietylko kobiety, ale i mężczyźni noszą różańce na szyi.

Zżyłem się już z nimi i kiedy ich mam przed sobą w kościele, to zapominam, że jestem w wojsku wśród ludzi obcych, zdaje mi się raczej, że to gdzieś na parafji wśród swoich, co zawsze i wszędzie, gdziekolwiek byłem, tyle mi serca okazywali.

I gdy z pracy nad wojskowymi nic nie zostanie, bo wszystko zdaje się spływać jak woda po skale, to może choć ta praca wyda jakiś owoc.

Dęblin, 7 marca 1916.

Z prowadzeniem metryk dęblińskiego okręgu wojskowego połączona jest ewidencja grobów poległych. W wolnych chwilach bląkam się więc w okolicy, po jednej lub drugiej stronie Wisły i spisuję mogiły poległych. Najwięcej grobów pochodzi z października 1914, wzdłuż kolei Bąkowiec-Kozienice, w Słowikach i w Bąkowcu. Tam jeden grób koło drugiego, są i wspólne mogiły, całe cmentarzysko. W roku zeszłym w sierpniu przy zdobywaniu Dębłina powtórzyła się walka na tem samem miejscu. Dwa pułki rumuńskie Nr. 50 i 51 z Siedmiogrodu zostały wtedy formalnie wycięte. Są mogiły rosyjskie, niemieckie i austriackie.

Spisywanie grobów napotyka obecnie na poważne trudności. Nie wszystkie mogiły są oznaczone napisami. Nie było na to czasu podczas kilkudniowych walk. Gdzie niegdzie są krzyże lub kawałki drzewa jako znak, lub słupek jakiś, ale napisy przez deszcz i śnieg zatarte. Znaczono je zwykle ołówkiem. O ile ołówek był twardy, to pozostawił po sobie rysy i nieraz tylko przez badanie i odcyfrowanie tych rys, jako ostatnich śladów, zestawia się z trudem nazwisko i pochodzenie pogrzebanego żołnierza. Tysiące imion i nazwisk pozostanie na zawsze nieznanym, tysiące mogił bezimiennych.

Sporo mogił znajduje się także w obrębie samej twierdzy. Ponieważ leżą często przy drogach lub też obok budynków mieszkalnych, przenosi się je na wspólny cmentarz.

Ekshumacja nie należy wcale do przyjemności. Zależnie od terenu i wilgoci trupy są mniej lub więcej już rozłożone i trzeba je kawałkami zbierać do trumny. Przy tem rewiduje się ubranie, kieszenie i spisuje protokół. W ten sposób dochodzi się do rozpoznania wielu zaginionych.

Jak każda najpoważniejsza rzecz ma często swoją stronę komiczną, tak i tu odkopywanie grobów jest nieraz bardzo zabawne. Zabieramy się do starannie utrzymanej mogiły koło dawnych koszar rosyjskich w Zajezerzu, ozdobionej pięknym, brzoźowym krzyżem z napisem: „Ein unbekannter Krieger“ — nieznanym żołnierz. Obok mogiły przygotowane prześcieradło do związania rozpadających się zwłok i czarna trumna dla nieboszczyka. Żołnierze kopią i kopią, nerwowe oczekiwanie, jak ten truposz będzie wyglądał i kto to może być, a tymczasem zamiast żołnierza, „poległego na polu chwały“, najzwyczajniejszy — ser szwajcarski w wielkich ilościach, zakopany przez jakiegoś przezornego i przewidującego bohatera. W innym znowu „grobie“ — puszki z konserw mięsnych.

Dęblin, 20 marca 1916.

Kiedy w zeszłym roku Rosjanie zbliżali się do Śląska, wtedy przypominano sobie prorocstwo, rozpowszechnione u nas, o bitwie narodów koło gruszki w Krasnej koło Cieszyna. Tam miały się bić wszystkie narody. I mówiono, że chwila ta przyjdzie naprawdę i że potem wszystko się naprawi i będzie pokój na świecie, że będzie lepiej. Prorocstwo się nie spełniło. Bo też i gruszki

słynnej już niema. Burza obaliła ją przed dwudziestu laty. — Takich gruszy będzie i było z pewnością więcej na Śląsku. Około każdej krąży ta sama legenda. We wszystkich tych prorocत्वach tkwi jedna główna, wspólna myśl:

„Po tych dniach przyjdzie smutny, nieszczęsny czas... Po wojnie różnych ludów, kiedy trony upadną, państwa znikną, będzie południe walczyło z północą... połączą się wszyscy, by walczyć o panowanie nad światem... I spotkają się w środku kraju, miasta i wsi niszcząc... staną obozem w takiej liczbie, jakiej jeszcze świat nie widział... aż wkońcu zwyciężą ludy z brodami z północy. Książę, który zwycięży, przyjdzie z południa. Nosi on białe szaty. Na piersi ma krzyż. Jedzie na białym koniu a dosiada konia z przeciwnej strony, bo kuleje na jedną nogę. Książęciu temu nikt nie poradzi. On przyniesie pokój. Będzie bardzo surowy, bo zakaze wszelkich muzyk, tańców i strojów... Rano przed bitwą będzie w kościele na Mszy św. Pojedzie konno i patrzeć będzie w stronę gruszki starej i oglądać nieprzyjaciela... Między dwoma lipami stoi krzyż, pod nim będzie klęczał i modlił się z wyciągniętymi rękami. Potem poprowadzi swoich żołnierzy do bitwy i po krwawem starciu zostanie zwycięzcą... a potem nastanie pokój i czas szczęśliwy, spokojny.“

Tak brzmi mniej więcej to prorocत्वo, na które ludzie często się powołują, upiększając różnemi dodatkami, zależnie od fantazji i orjentacji.

Wartości większej prorocत्वo to nie posiada, prócz tej, że ludzkość ciągle konstatuje, że życie państw i narodów idzie czy też pchane jest torami.

które w rezultacie muszą znaleźć rozstrzygnięcie w krwawej a strasznej wojnie światowej, ogólnej.

Fakt, że przepowiednia ta jest tak popularna a wspólna tylu krajom i narodom, wskazuje, że jest bardzo dawna, że ma źródło w podaniach ludowych, które ciągle powtarzane, nie giną nigdy. Zrodziły się Bóg wie gdzie i kiedy, a dzięki swej tajemniczości pokutują wśród ludzi od wieków, częściowo nawet od czasów pogańskich, starosłowiańskich.

Ciekawą i nadzwyczajną jest słynna przepowiednia, dziś taka aktualna z roku 1819, wydrukowana pierwszy raz w roku 1854 we włoskiej gazecie „Civiltà cattolica“.

Roku 1819 zakazał rząd rosyjski Dominikanowi O. Korzeniowskiemu, bardzo gorliwemu kapłanowi, miewać kazania, słuchać spowiedzi pod grozą zesłania na Sybir. Ksiądz ten był ogromnie tem przygnębiony, bo nikomu, żadnej duszy już nie mógł być użytecznym. Przejęty ciężkim ciosem, modlił się raz, klęcząc u otwartego okna swej celi, z oczami wzniesionemi do nieba: „O przesławny męczenniku Andrzeju Bobolo (Jezuita, Polak, umęczony w roku 1657 w Janowie, 40 km na zachód od Pińska, uznany w r. 1853 za błogosławionego) — tyś przepowiedział przed tylu laty zmartwychwstanie naszej Polski. Ty widzisz, jak ciemężyciele chcą Tobie ten kraj odebrać a do prawosławia, odszczepieństwa wciągnąć. O nie daj, aby takie nieszczęście, taki wstyd przyszedł na nasz kraj! Wyproś od Boga wszechmocnego, żeby nas wybawił od jarzma niewoli, prawosławia, odszczepieństwa.“

Gdy zakonnik po modlitwie okno zamknął i chciał udać się na spoczynek, pokazał mu się nagle w środku celi błogosławiony Andrzej.

„Oto jestem, któregoś wzywał. Otwórz okno, a zobaczysz coś!“ Wystraszony i zmieszany otworzył zakonnik okno. Ku wielkiemu zdziwieniu nie zobaczył już ogrodu klasztornego ni murów, lecz wielką przestrzeń, obszar bezkresny, daleki, bez granic. — „Widzisz błonia koło Pińska — mówi Święty — czyli miejsce, gdzie zostałem umęczony za wiarę. Patrz tam, a zobaczysz, czegoś żądał!“ Zakonnik spogląda i widzi nieprzeliczone armje, wojska: rosyjskie, tureckie, austriackie, pruskie i innych narodów. Wszystko walczy, zмага się w zaciętym, zażartym boju. I gdy zakonnik nie mógł zrozumieć znaczenia zjawiska dziwnego, objaśnił mu je bóg. Andrzej Bobola: „Skoro ta wojna, którą tu widzisz, się skończy, wtedy powstanie Polska z miłosierdzia Bożego, a ja będę jej patronem. Na dowód prawdziwości całego widzenia i spełnienia się mego proroctwa, patrz tu, masz moją rękę!“ To mówiąc, położył rękę na stół, zostawiając jej odbicie i znikł.

Co sądzić o tej dziwnej przepowiedni?

Nie jeden powie: „Przecież przepowiednia ta w tych miesiącach wiernie się wypełnia. Dosłownie te same wymienione ludy i narody są zawikłane w wojnę, wojna toczy się na polach Pińska. Moskale pobici, Polska uwolniona z pod jarzma rosyjskiego. Wolność i szczęśliwszą przyszłość przyobiecał Polakom nawet kanclerz Rzeszy niemieckiej w Sejmie pruskim dnia 19 sierpnia, kiedy powiedział dosłownie: „Nie naśladowę obłud-

nych obietnic naszych nieprzyjaciół (Moskali wobec Polaków), ale mam nadzieję i spodziewam się, że dzisiejsze zajęcie polskich granic wschodnich będzie początkiem rozwoju, który usunie zupełnie przeciwieństwa między Niemcami a Polską i poprowadzi kraj oswobodzony z niewoli rosyjskiej ku szczęśliwej przyszłości“.

Niezwykła analogja i podobieństwo w przepowiedni a jej spełnianiu się. Chociaż sposób, w jaki ta przepowiednia przechowała się, nie daje rękojmi jej zupełnej prawdziwości. Wszak świadkiem był tylko jeden człowiek; widzenie miało miejsce wieczorem, a wieczór łatwo o jakieś halucynacje, przywidzenia. Między faktem a podaniem go do druku upłynęło 35 lat. Nadto wydrukowano przepowiednię według opowiadania nie świadków naocznych, ale tylko tych, którym Dominikanin ów o widzeniu opowiadał.

W każdym razie czy uważamy tę niezwykłą przepowiednię za prawdziwą w całej jej osnowie, czy tylko w istocie, to nadzieje nasze łączą się z myślą przewodnią tego dziwnego widzenia. I da Bóg, te nadzieje spełnią się. I wyjdzie z tych ofiar strasznych, krwawych, z tego krwi rozlewu, z tych pożarów i zgłiszczy i nędzy i moru: Polska trwała wolność, pokój i zmartwychwstanie.

Dęblin, 28 marca 1916.

Wróciłem przed chwilą z pogrzebu jeńca rosyjskiego, katolika, Niemca z Odessy. Pomagał sanitariuszom w szpitalu. Zawsze był w ruchu, zawsze zajęty, zapracowany. Ile razy mnie spotykał, z pewną dumą uchylał czapki wojskowej i

pozdrawiał po katolicku. Uważał się tem samem za coś lepszego od reszty jeńców prawosławnych.

Przystanąłem czasem, by z nim porozmawiać. Był żonaty, miał dwoje dzieci, z zawodu stolarz. Dziś był jeńcem, ale nie czuł się źle. Nie było też u niego tego smutku głębokiego, jaki odbija się zwykle na obliczu jeńca.

Niedawno — patrzę — mój znajomy leży w szpitalu w sali dla „tyfuśników“. Trochę zmiźniał, ale zawsze jeszcze uśmiechnięty, pogodny. Śmiał się, kiedym mu żartem wymawiał, że wcale nie chory, tylko poszedł się wyleżeć.

A on naprawdę był chory, ciężko chory na tyfus brzuszny. Z dnia na dzień opadał z sił, zaczął żółknąć, gorączkować, majaczyć.

Po dziewięciu dniach umarł.

Dziś odbył się pogrzeb. Skromny, jak pogrzeb jeńca. Żołnierz niesie prosty czarny krzyż. Za krzyżem kilku sanitariuszy, potem ksiądz, czterech jeńców z trumną na ramionach, za trumną w milczeniu i skupieniu oddział jeńców pod strażą.

Cmentarz niedaleko szpitala koło rozbitego fortu. Już tam sporo grobów, choć niedawno założony — mogiła przy mogile. Wszędzie piasek, więc i mogiły jak piasek kruche, szare, jednostajne. Wszyscy razem na wspólnym wojennym cmentarzu. Prawosławny obok katolika, protestant obok islamity, żyda. Proste krzyże z napisami. Miejsce naprawdę cmentarne. Pochylony teren, a tuż parę kroków dalej — moczary, topieliska. Jak daleko okiem sięgnąć, nic — tylko większe lub mniejsze płaty wód, bagniska, w nich rzędy

słupków i sznury, sploty kolczastego drutu, a dopiero tam, na samym widnokręgu, ciemne tło lasu, a przed nim wiatrak — młyn samotny, o ogromnych, leniwo poruszających się skrzydłach.

Spuścili jeńcy trumnę z jeńca ciałem w grób. I spoczął tu zdala od swoich, nie wróci do nich po wojnie. Nie wyciągnie dłoni z powitaniem do żony, nie przytuli dzieci do serca. Spoczął daleko na polskiej ziemi. Tylko wierzba smutna, wierzba polska będzie żałowała nad mogiłą swe gałązki kołysała, tylko wicher i wiatr mroźny, co gwizdże w złomach zniszczonego fortu, będzie muskał kurhan, co jedynym zostanie grobu śladem. I więcej nikt nie odwiedzi, nikt nie zajdzie, nikt nie znajdzie, nie zapłacze. — Sam zostanie z tymi, co tu spoczęli.

Nikt z nich tu się nie rodził, wszyscy z daleka.

Za każdym z nich ktoś tam tęskni, płacze. A oni tu doszli, tu śmierć ich zmogła — tu leżą. Nieznani sobie, ni drugim.

Poleciłem jeńcom po modlitwach przy grzebaniu zmarłych zaśpiewać „Ojcze nasz“. — Kto tego nie słyszał, nie potrafi nawet w przybliżeniu wyobrazić sobie piękności i bezbrzeżnego smutku tego śpiewania. Jest coś tak smutnego w tym śpiewie, coś tak rzewnego, beznadziejnego, że doznaje się jakiegoś wstrząsu dziwnego. Odrazu na dwa głosy, bez wszelkiego przygotowania, a tak tęsknie, smutno, rzewnie!

Słuchałem tego śpiewu nieraz w barakach dla jeńców w Krakowie, a teraz w Dęblinie często idę słuchać wieczorem.

Mieszkają tu jeńcy w okopach ziemnych na otwartem polu. Wieczorem koło okopów pełno ognisk. Czerwony blask płomieni oświeśla za zasiekami z drutu kolczastego postacie skulone, siedzące koło ognia. O godzinie dziewiątej, kiedy trębacz zaczyna pobudkę, zrywają się postacie tajemnicze, stają, żegnają się po kilka razy i zaczynają wspólne, głośnie śpiewanie, smętne, żałosne, a niezrównane w melodji! Ojczy nasz... Zdrowaś... Wierzę...

Zaczynają przy jednym okopie, pieśń leci dalej. Z nią łączą się drudzy przy następnym. I w jednej chwili przy wszystkich okopach śpiew. Cały obóz jeńców śpiewa Bogu chwałę, za dzień cały miniony, modli się, śpiewając swą prostą, a potężną modlitwę wieczorną.

Wtedy chyba każdy, co słyszy te tony tęskne i żałosne, a tak niezwykle przejmujące, składa odruchowo ręce do modlitwy i łączy swój szept cichy ze śpiewaniem — modlitwą, pieśnią jeńców.

Tak śpiewali jeńcy i nad grobem zmarłego swego kolegi jeńca-brata. Śpiewali — tylko jeszcze jakoś smutniej, rzewniej, rozpaczliwiej, tęskniej. I pewno tam Pan Bóg przyjął tę pieśń, modlitwę ostatnią za duszę zmarłego biedaka.

Wtedy jeszcze jaśniej i wyraźniej zrozumiałem, jak to Pan Bóg jest nam wszystkim bez wyjątku Ojcem, i jeńcom i wolnym, po tej i po tamtej stronie frontu.

To tylko my sami zamiast być sobie braćmi jako dzieci jednego Ojca, jesteśmy sobie dziś wrogami!

Dęblin, 4 kwietnia 1916.

Prócz szpitala w samej twierdzy jest drugi szpital na dworcu dęblińskim, t. zw. Krankenhaltstation. Jest to szpital, gdzie pozostawia się chorych, o ile okaże się, że w czasie transportu kolejną stan ich zdrowia pogorszył się.

Przychodzę kiedyś, rozglądam się po sali. Tam w kącie jakiś starszy człowiek ciągle rusza przed sobą rękami, jakby coś odpędzał uporczywego, co go wciąż niepokoi. Zbliżyłem się, zauważyłem, że ktoś obok niego stoi i uspokoił się. Dowiaduję się, że pochodzi z Moraw, że ma żonę w domu i pięcioro drobnych dzieci. Trudnił się krawiectwem. Wzięli go do wojska jako rezerwistę. Na froncie dostał postrzał w głowę — od tego czasu ciągle mu się w oczach ćmi, a od kilku dni nie może jakoś przejrzeć.

Przypuszczałem, że to chwilowe tylko przywidzenie, złudzenie chorego. Oczy ma przecież całe, skaleczenia nie widać żadnego. Oczy patrzą, — są wprawdzie przerażająco nieruchome, szkliste i jakby stężałe, coś jest w nich niesamowitego, ale to pewno chwilowe. Biorę książkę, pokazuję i pytam, czy widzi, co mam w ręku, — powiada, że nie. To samo robię z białą kartką. Pytam, czy mnie widzi — tak samo nie. Nawet jasności w pokoju nie spostrzega. Nie widzi nic, absolutnie nic. Noc zupełna!

Zrozumiałem wreszcie. Strzał uszkodził nerw wzrokowy w mózgu i choć oczy są całe, przestały widzieć, przestały reagować na wrażenia optyczne i udzielać ich mózgowi. I biedak oślepił zupełnie.

Człowiek rozumie dopiero, co to jest prawdziwe nieszczęście, gdy się do tego rodzaju nieszczęśliwych zbliży. Wtedy czuje się strasznie małym, bezsilnym, słabym — niczem, zerem.

Chciał, bym napisał do żony i do dzieci. Jak umiałem po czesku, tak napisałem, oznajmiając z jego polecenia, że tatuś ranny w głowę i jakoś niedobrze widzi, ale to pewno niedługo przejdzie. Łudził się biedny, że wzrok odzyska.

Odwiedzałem go często, opowiadałem różne rzeczy, za co był bardzo wdzięczny. Skarżył się, że ciągle to samo, ciągała ta ćma przed oczyma, — pozostają mu tylko myśli smutne, przeczucie jakieś, lęk wielki, sny nieprzyjemne i wieczna bezlitosna, czarna noc.

Doczekał się nawet odpowiedzi od dzieci. Dał mi ją do czytania — napisaliśmy znowu. Ale jakoś w trzecim tygodniu stan nieszczęśliwego pogorszył się, gorączka podniosła się do 40 stopni. I choć wołałem po imieniu, brałem za rękę — już nie słyszał, nie rozumiał, nie odpowiadał, ani się skarżył. Po kilku dniach bezświadości przyszła agonja, koniec się zbliżał.

I kiedy wczoraj przyszedłem, by odwiedzić biedaka, zastałem łóżko puste, bez pościeli, samotne. Powiedziano mi, że umarł, że już w trupiarni.

Śmierć wybawiła go od straszego życia w kalectwie.

„Tam dziecko i żona... Tam mój ojciec —
Tam moja pieśń życia skończona.“*)

*) Wyspiański, Powrót Odysa.

Dęblin, 11 kwietnia 1916.

Ciekawą miałem dziś wizytę.

Przychodzi żołnierz, melduje, że dwaj żydzi stoją przed bramą i chcą się ze mną widzieć. Przypuszczałem, że to nieporozumienie, ale kazałem wprowadzić.

Starsi już obaj, w długich chałatach. Kłaniają się od samych drzwi.

Młodszy, zezowaty trochę, patrzy przez okulary, futro wspaniałe, nieco wytarte, na głowie jarmułka. To pan rabin z pobliskiego miasteczka Ireny.

Starszy, z siwą brodą, to kupiec z tego samego miasta.

Myslałem, że mają interes do kogo innego i powiedziałem odrazu, że jestem księdzem katolickim, ale wcale ich to nie przeraziło.

„My właśnie do pana księdza“ — powiada starszy — „to pan rabin, a ja z kahału.“

„Wy do mnie obaj?“

„A tak, my dowiedzieli się, że tu nowy proboszcz w „Kreposti“, przyszliśmy złożyć szanowanie. My z katolikami zawsze chcemy żyć dobrze, a z panami proboszczami też. Tylko nas katoliki nie lubią, naśmiewają się i nie chcą dać robić interes. Teraz tylko komitety ratunkowe w modzie. Przywożą mąkę, sprzedają, choć się na tem nie znają. A starozakonne nie mamy co robić, niema czem handel robić, nam nie będzie wolno żyć.“

„Przecie katolikom obecnie także ciężko, wszędzie i u wszystkich bieda. To zupełnie natu-

ralne, że i żydom gorzej może niż zwykle“ — odpowiadam.

„Ale gdyby starozakonne dostały ten handel, co ma komitet, to i katolikom i starozakonnym będzie lepiej...”

„W jaki sposób?”

„Katoliki głowy do handlu nie mają, one się tego nie uczyły, nie umieją robić interes. One nic nie mają i my nic nie mamy...”

„A jednak z tego, co tutaj w okolicy widzę, to wcale sobie dobrze radzą, nędzy krzyczącej niema, mąka, cukier jest, a o ile wiem, komitet ma już z obrotu mąką, cukrem, naftą coś 1200 rubli zysku i ma je rozdzielić pomiędzy najbiedniejszych nietylko katolików, ale i żydów.”

„My, starozakonne, mielibyśmy jeszcze więcej zysku.”

„O, w to nie wątpię, ale my nie możemy pozwolić wzbogacać się jednostkom. Dochody muszą iść na dobro ogółu, a nie kilku ludzi.”

„Kiedy my, żydki, nie mamy teraz co robić, nie mamy co sprzedawać.”

„A chłop tam w dole, wyrytym w ziemi, bo mu chałupę spalili, chłop, co mu zabrano konia, co nie ma na zasiew ziarna, — co ten ma? U kogo przeprowadza się rekwizycje, u was, czy u katolików? U was jeszcze nikt z głodu nie umarł i nikt wam z głodu umrzeć nie da. Komitety są przecież i dla was, wszak wy sami jesteście ich członkami.”

Jednak trudno było ich przekonać. Uważają handel za swój przywilej i monopol. Zaproponowałem im, by sobie utworzyli własny komitet żydowski dla żydów. Stosownie do liczby izraeli-

tów odstąpi im dotychczasowy komitet odpowiednią ilość mąki, cukru, nafty i mogą sobie potem z tem robić, co chcą i jak chcą.

Nie osiągnęli tego, co chcieli, ale przystali na tę koncepcję, prosząc o poparcie w komendzie wojskowej.

Zaządałem pięciu ludzi do tego komitetu starozakonnego.

Wtedy pan rabin na pierwszym miejscu proponował, by „pan ksiądz“ objął przewodnictwo w nowym Komitecie starozakonnym.

Zapomniał, że jestem nowozakonnym.

Wizyta ta daje obraz, jak ta rasa nie przebiera w środkach, by wyciskać z narodu naszego wszystko, co się da, bez względu na rozpaczliwe położenie społeczeństwa i kraju.

Po wojnie czeka Polskę bardzo ważna i trudna kwestja do rozwiązania: kwestja żydowska. Nigdzie niema tylu żydów, tyle miast żydowskich, co w Polsce. Przeszło dwa miliony. Nie wolno im było dotychczas w Królestwie mieszkać po wsiach, więc mieszkają po miasteczkach. Nie widziałem nigdy przedtem nic równie brudnego i tandetnego, jak te „miasta“. Dziury zapadłe, drewniane chałupy, mało gdzie jaki dom murywany, chylące się do upadku stare obszarpane rudery. Z każdej prawie sieni, z każdego okna wyziera twarz o semickich rysach. Żydzi wnoszą ze sobą do Polski coś azjatyckiego, szachrajstwo, niechlujstwo, demoralizację, są pasorzytami na organizmie naszym, omotali nas jak pająki.

Praw pod rządem rosyjskim nie mieli żadnych. Dziś pewnie się to zmieni. Te masy ludu żydowskiego otrzymają równouprawnienie. I sta-

nie obok nas żywioł liczny, ruchliwy, który zawży w dziejach narodu, zwłaszcza, że jest sprytny, solidarny i obrotny.

Oczywiście byłoby lepiej, by Polska inną miała kwestję, nie żydowską. Szkoda sił na taką walkę.

Jednak każdy naród, każde państwo musi mieć jakąś dominującą ponad wszystko kwestję, — wtedy rozwija energję, wykazuje prężność w pewnym kierunku i broni się przed stagnacją i upadkiem.

Dęblin, 26 kwietnia 1916.

Minęły święta wielkanocne.

Nie mają one już tego dziwnego uroku, co Boże Narodzenie, jednak Wielki Tydzień i same święta przyniosły mi dużo radości.

Z początkiem Wielkiego Postu ogłosiłem spowiedź wielkanocną dla żołnierzy, wyznaczyłem, w jakim porządku różne oddziały miały kolejno w pewne dni przychodzić do spowiedzi.

W pierwszej połowie Postu szło tępo, bardzo tępo. Żołnierze ociągali się, zwlekali. Zamiast stu z oddziałów przychodziło ledwo trzydziestu lub czterdziestu. Jednak, im bliżej świąt, tem jakoś liczniej, lepiej, jakiś lepszy duch powiał, coraz ich więcej było. Nie mogłem czasem pracy podać. Aż serce rosło, kiedy setki jednały się z Bogiem i po chwilowem jakimś zapomnieniu lub zniechęceniu odnajdywali prawie wszyscy kontakt z Bogiem.

Pomocy nie było żadnej, spowiadałem stale sam, że czasem wszystkie kości bolały. Zato wieczorem, kiedy po skończonej spowiedzi pod-

chodziłem bliżej do ołtarza, by na kolanach podziękować Utajonemu Bogu za upał całego dnia i obfity połów, to trudno było oderwać się od tabernakulum, bo duszę rozpiekało dziwne jakieś wesele i zadowolenie. A potem w czasie Komunii św., kiedy przyjmowało ją stu i więcej mężczyzn, żołnierzy, to ledwo można było opanować wzruszenie.

W Wielki Czwartek przyszedł do spowiedzi sam komendant twierdzy, generał Lang, a z nim kilku oficerów.

To był mój najmiłszy podarunek na święta, to było moje Alleluja kapłańskie...

To też Wielki Piątek z Bożym Grobem, urządzonym nader skromnie z różnych rosyjskich szczątków cerkiewnych, nie był dla mnie w tym roku dniem smutku, ale jakiejś zalewającej duszę radości i wdzięczności wobec dobrego Boga za tyle łask, których jestem niegodnym szafarzem.

Dęblin, 4 maja 1916.

W niedzielę, dnia 30 kwietnia odbyła się tu uroczystość poświęcenia i otwarcia nowego mostu kolejowego na Wiśle. O godz. 9 rano przyjechał specjalnym pociągiem minister wojny Krobotin. Powitany muzyką, przeszedł wzdłuż kompanji honorowej. Kiedy doszedł do ołtarza polowego, ustawionego tuż obok mostu na lewym brzegu Wisły, z widokiem na cały most i samą Wisłę, majestatycznie płynącą, zaczęła się Msza św. polowa. Po Mszy św. przemowa i poświęcenie.

Nastąpiło kilka mów: komendanta wojskowej kolei północnej, szefa sekcji w ministerjum wojny i samego ministra Krobotina. We wszystkich przemowach wskazywano na doniosłość dzieła. Wszak most ten łączy front z krajami, z których pochodzą żołnierze i da Bóg niedługo powrócą oni już wszyscy tędy po zapewnieniu zwycięstwa i pokoju.

Most konstrukcji „Roth-Wagner“, jednotorowy i jednopiętrowy, cały z żelaza ma 400 metrów długości. Po zburzeniu dawnego przez Moskali przy wycofaniu się z Dęblina, zbudowały wojska austriackie dwa prowizoryczne mosty, ale oba zabrała powódź. Obecny most zaczęto budować 12 października, a skończono 22 kwietnia. Co do szybkości budowania osiągnięto niesłychany i nigdzie jeszcze niespotykany rekord, zwłaszcza że trzeba było zbudować dwa filary granitowe.

Podczas całej wojny i przedtem nie wybudowano nigdzie żelaznego mostu w tak krótkim czasie. I pod względem technicznym należy most ten do rzadkości. Zaczęto budować z lewego brzegu. Zanim osiągnięto pierwszy filar, most wisiał, oparty tylko jednym końcem, w przestrzeni 42 metrów zupełnie wolno w powietrzu. Robotami kierował kapitan inż. Mrazek.

Dęblin, 22 maja 1916.

Zaczynam przekonywać się do tutejszego krajobrazu polskiego, równego, nadwiślańskiego. I tu dużo piękna — cudny jest przedewszystkiem zachód słońca, szczególnie obserwowany nad samym brzegiem szeroko rozlanej Wisły. Inaczej tu,

niż na Śląsku, ale widać, wszędzie porozrzucił Stwórca ślady odwiecznego Piękną. Tylko tu piękno to nie rzuca się w oczy, trzeba go nieraz szukać. Dopiero na tle tutejszego krajobrazu rozumiem lepiej opisy natury Reymonta w „Chłopach“. Tu staje się zrozumiałą jego epopeja chłopska, gdy się człowiek wpatrzy w te bezkresne, szare pola i łąki, gdy patrzy na wieś tutejszą, chaty słomą kryte, przypominające z od dali stada przytulonych do siebie owiec, gdy się wsłucha w mowę tutejszego ludu i zagłębi w jego duszę. Chłop Reymonta, to nie chłop śląski, to chłop tutejszy żywcem wzięty, wystudjowany przewspaniale.

Wiosna, ciepło, kwiaty, słońce.

Siedzę obecnie przykuty do nieciekawej pracy. Polecono mi cenzurę listów na tutejszej poczcie wojskowej, otwartej od niedawna i dla ludności cywilnej.

Trzeba przejrzeć codzień kilka tysięcy listów. Przychodzą z listami ludziska po kilka mil. To jedyny przecież sposób porozumienia się ludności z okolicy całej z jeńcami, będącymi w niewoli austriackiej. A takich dużo. Przynoszą ludzie worki z chlebem, z sucharami, przesyłają pieniądze, poszukują swych zaginionych.

Widziałem wczoraj kobietę z pod Łukowa, która, nie mogąc trafić na pocztę, przyszła do księdza. Szła dwa dni, nogi miała pokrwawione, przyniosła worek z sucharami dla syna, przebywającego w niewoli na Węgrzech.

Chciałoby się ukłęknać przed taką matką za jej miłość i ofiarę.

Pisanie listów jest tu jeszcze jakimś niezwykłym, uroczystym aktem. Każdy list zaczyna się mniej więcej tak: W pierwszych słowach mojego listu odzywam się do ciebie słowem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i spodziewam się, że mi odpowiesz: Na wieki wieków. Amen.

Np. list ojca do syna, będącego w niewoli na Węgrzech. Po zwykłym — pochwalonem — pisze ojciec: Proszę ciebie kochany synu, nie zadaj się w jakie głupstwa a pilnuj swego rozumu. I zachowaj Boże przykazania i nie zapominaj o Bogu. Bo kto z Bogiem, to Bóg z nim. I proszę cię napis nam czy koło ciebie niedaleko jest gdzie kościół rzymsko-katolicki, czy byłeś u spowiedzi na święta wielkanocne. I odpis my kochany synu, czy się z Bogiem pojednałeś. W drugim tygodniu postu odprawiały się rekolekcje Misji świętej. Byli po 3 nauki dzienne. Ze póki żyjemy to jeście śmy takich nauk nie słyszeli prze-ślicznych. I cały tydzień u nas było święto. Ześmy nimieli nawet casu i ugotować. Jak żeśmy pošli rano, co jeszcze niewidno było, tośmy przechodzili już wiecur był. I proszę ciebie kochany bracie, że fotografije już śmy ci posłali razem trzy. I nasa cała rodzina a druga Stryjów Władek i twojy krześny matki Władek i twój kolega. I odpis nam, czyś te fotografije otrzymał czy nie. Bo pieniądze śmy wysłali 2 razy. Raz miałeś wysłane 10 rub a drugi raz 12 rubli. I kłania ci się Jan Pan Kaciewicz i pozdrowia cię i życzy ci prętkiego powrotu i wesołych świąt. I wszystkiego zmacznego. I żebyś smaczny chleb piekł i dobrze gotował. I napis nam, które miasta dobrze znas, które są blisko ciebie. I w których ty się nachodzisz. I które ci

się najlepiej podobają. A stryjów Stach telegramę puścił z rosj. I Adam Bięńczyk pisali z prós. A o Nowaku i Parzyku i wóju nie złychómy nic.

Są listy nieraz banalne, nic nie mówiące, niezdarne, ale są i inne, tchnące prawdziwie ludową poezją.

Czytałem taki list, pisany do jeńca w Austrii przez dziewczynę z Lubelskiego: „W pierwszych słowach mojego listu witam cię, kochany Józiczku, temi słowy: Niech będzie pochwalony, a spodziewam się, że mi odpowiesz: na wieki. Amen.

Przyleciał słowiczek do mego okienka i mi powiadam, że kochany Józiek listu oczekuje. Tak ja raniusieńko z łóżeczka wstałam, do stołu zasiadam i papier rozkładam i zaczynam pisać, aż tu zaczyna stolik się kołysać, pióro w ręku skacze, aż samo serce od żalu płacze. Tak mi się śniło, w nocy śniło mi się jak świta, że Józek przyszedł do nas i ze mną się wita. Ale Józka niema, nie przyszedł.

Idź listeczku w drogę, bo ja iść nie mogę, przez bory i lasy, przypomnij nasze dawne czasy, a gdy przyjdiesz w podwórko, to zapukasz, a gdy przyjdiesz do proga, pochwal Pana Boga, a gdy przestąpisz próg, pokłoń się ode mnie do samych nóg. A gdy przyjdiesz do mieszkania jego, to tam zapukaj do serduszka jego. Do serduszka jego, za rączkę przywitaj i najpierwsze słowa: o zdrowie się pytaj.

Witam ja cię witam, mój Józieńku drogi, bo ja dzisiaj przysłam z tak dalekiej drogi. Tak z dalekiej drogi, z kraju dalekiego, ażeby pocieszyć Józieńka smutnego, bo on tam jest smutny, srodze zasmucony, ni ojca, ni matki, ni siostry, ni

żony. Że Józek wyjechał od domu swojego, od swojej rodziny, że tak oczekuje szczęśliwej godziny; szczęśliwej godziny, momentu dobrego, zachowaj cię, Boże, od wszystkiego złego.

Wiaterek powiewa, aż się trawka chwieje, jak se wspomnę o Józieńku, aż mi serce mdleje.

A teraz ci donoszę: wesel nam się szykuje parę, bo Zośka u Nowszyka wychodzi za mąż a więcej, to ci ich nie mianuję, bo ich nie znasz. Jak my do roboty chodziły, tak chodzimy. U nas ciepło, kieby w maju.

A teraz donoszę o swoim bardzo ciężkim smutku, jakiegom się ja nieboga doczekała, bo moja mama mi umarła 2 marca i teraz mam ciężki smutek i pozdrawiam Józka bez wonny kwiat, żeby się weselił Józkowi cały świat, bez kwiatek malinowy, ażeby Józiek był wesoły, zdrowy, bez listek kaliny, ażeby Józiek wrócił do swej rodziny, do domu swojego, zachowaj cię, Boże, od wszystkiego złego, bez gaik zielony, ażebyś jeszcze wrócił w swe strony. Amen."

Żołnierskie listy, pisane w różnych językach, streszczają się w pisaniu o urlopie, o którym wiecznie marzą. Bardzo często opisują rzeczy zupełnie z palca wyssane, np. o bitwach, toczących się koło Dębłina, o ciągłym huku dział wtedy, gdy front znajduje się o kilkaset kilometrów, a więc o huku dział od kilku miesięcy mowy niema.

Dęblin, 9 czerwca 1916.

Przed tygodniem przyjechała do Dębłina starsza już pani, nazwiskiem Józefina Lintrup. Ma polecenie wyszukania zakopanych w ziemi

przez wojska rosyjskie armat i amunicji. Przedtem była na górze Łowczen w Czarnogórze celem wyszukania wody pod ziemią. Przy tej sposobności znalazła w kilku miejscach zakopaną przez Czarnogórców amunicję.

Przy szukaniu wody, armat nie odgrzebuje ziemi, ale chodzi z niedużym prętem ze stali, zwróconym ku ziemi i uważa, czy pręt nie wykonuje jakich nachyleń i ruchów. Według kąta nachylenia pręta poznaje, gdzie w ziemi woda, a gdzie metal, żelazo lub miedź.

Żeby się o tem naocznie przekonać, poszliśmy we dwóch ze znajomym oficerem do tej dziwnej osoby.

Przyjęła nas bardzo mile — niska, szczupła, koło lat 50, na twarzy już zmarszczki, poważna, inteligentna.

Pochodzi z Kopenhagi, jest narodowości duńskiej, mówi po niemiecku.

Zaczął się formalny wywiad, interview.

„Skąd i jak wykryła pani w sobie te dziwne właściwości i siły?”

„Mam w Kopenhadze willę z dużym ogrodem. W letnich miesiącach przechadzałam się tam w różnych kierunkach. Kiedym przechodziła jedną ścieżką, to stale w temże samem miejscu doznawałam jakiegoś oryginalnego zmęczenia i osłabienia, które mijało, kiedym się oddalała.

Przypadkowo czytałam wtedy, że są ludzie, którzy przy pomocy prętów odszukują pod ziemią wodę i w bliskości wody odczuwają zmęczenie i znużenie. Przypuszczając, że może i ja tę siłę posiadam, jednak może więcej dla żartu, niż na serjo, ułamałam gałązkę i podeszłam do owego

miejsca. Odrazu zauważyłam dziwne ruchy i nachylanie się pręta. Kazałam grzebać i okazało się, że w tem miejscu schodzą się pod ziemią dwie żyły wodne dość obfite.

Spostrzeżeniami memi podzieliłam się z doktorem, który wszystko dokładnie zbadał i stwierdził, że moje domysły są trafne. Dowiedział się o tem słynny lekarz chorób nerwowych w Wiedniu, dr. Benedikt, zaprosił mnie do siebie i zaczął badać. W ciemnym pokoju np. widzą ludzie koło mnie białawą mgłę, jako oznakę wydobywania się z ciała jakichś niezbadanych sił i objawów magnetycznych.“

„To Pani wygląda w takim razie na jakąś świętą?“

„Wcale nie. Zarozumiałą nie byłam nigdy i nie jestem. Posiadam jedynie czysto fizyczną i bardzo naturalną, choć rzadko spotykaną właściwość. Nieraz myślałam sama o tem, czy aureole, widziane u różnych świętych za życia, nie mogły mieć także takiego zupełnie czysto fizycznego pochodzenia. Co mnie Bóg dał, to mógł w wyższym znacznie stopniu dać i wybranym, którzy świętością swego życia na to sobie zasłużyli.“

„A jak się ma rzecz z owym czarodziejskim prętem?“

Na to wyjmuje pani Lintrup pręt stalowy, długości jakich 30 cm, zgięty w środku w pętlę.

„Proszę o pokazanie nam jakiego doświadczenia.“

Wtedy pani Lintrup wznosi pręt ponad głowę mego towarzysza. Pręt po małej chwile obraca się w rękach trzymającej raz naokoło, czyli robi obrót 360 stopni. Myślałem, że to ona sama

porusza pręt. Przytrzymałem jej mocno dłonie, ale pręt znowu się obrócił.

Potem wzięła pani Lintrup pieniądź srebrny i zwróciła doń swój pręt. Pręt zrobił ćwierć koła, czyli 90 stopni, nad pieniądзем niklowym 60 stopni.

„Co to znaczy? Czy to czary? To pewno sama Pani coś tam kręci.“

„Broń Boże! Wcale nie. Przyznaję, że to może wygląda na czary, alą to jest zupełnie naturalne. Magnetyzm, zawarty we mnie, oddziaływa w połączeniu z magnetyzmem tego pana, choć on jest znowu innego rodzaju, niż mój, na pręt i pręt reaguje na to odpowiednim ruchem. Tak samo ma się rzecz z pieniądzem, z wodą, z żelazem.“

„A dlaczego nad głową pręt zrobił obrót 360 stopni, nad srebrem 90, a nad niklem 60?“

„Tego ja sama nie wiem, ale udało mi się z dr. Benediktem w Wiedniu ułożyć tabelę, w jaki sposób reaguje pręt na różne przedmioty. Nad wodą obraca się 320 stopni, nad zepsutą wodą mniej tak, że przy pomocy pręta mogę po kącie nachylenia zgóry powiedzieć, czy woda dobra, czy nie. U miedzi kąt ten wynosi 110, przy aluminium 720 stopni. U człowieka, jak ksiądz widział, 360 stopni, u chorego jednak mniej, przy różnych chorobach różnie.“

„To Pani potrafi i choroby rozpoznać?“

„A tak i co najważniejsze, że ta diagnoza nigdy nie zawodzi.“

„W takim razie proszę postawić diagnozę u mnie!“

Siadam na krześle, a pani Lintrup podnosi pręt nad moją głowę. Pręt obraca się, ale przy

ostatniej ćwierci koła ruch pręta znacznie słabnie i koło ledwo się zamyka.

„Ksiądz jest przemęczony“ — powiada — „niezupełnie zdrows.“

„Może być. Złośliwi powiedzieliby inaczej.“

Potem nastawia pręt nad ramionami. Po prawej stronie pręt obraca się prawidłowo, po lewej znowu z trudem.

„Coś tu nie w porządku.“

Przechodziłem kiedyś katar lewego szczytu i na tej stronie widocznie pewne ślady zostały.

Tak samo i z prawą ręką na podstawie pręta coś nie w porządku. Pewnie od ciągłego gryzmoienia — pomyślałem.

Doświadczenia i próby z oficerem mi towarzyszącym okazały, że zdrows jak ryba.

„Wszystko to pięknie, ładnie, a może Pani prętem leczyć?“

„Niestety, poznać chorobę mogę, leczyć nie.“

„Od kiedy służy Pani „w wojsku“?“

„Z początkiem wojny prowadziłam szpital wojskowy w Icici koło Abbacji. Kiedy jednak Włosi zaczęli szpital ostrzeliwać, zwinięto go, a wtedy na podstawie rozpraw dra Benedikta powołano mnie do pracy z moim prętem.“

Pracuję głównie w Alpach, gdzie wojsko musi walczyć na wysokości kilku tysięcy metrów, gdzie brak źródeł, brak wody. Tam żołnierze przebywają w najcięższych warunkach. Wodę nie raz można znaleźć dopiero o setki metrów poniżej i trzeba ją sprowadzać w beczkach niedostępnymi drogami. Niedawno byłam na Monte Magiore (góra, położona nad Abbacją, czyli Opatją) i wyszukałam tam kilka źródeł. Jak żoł-

nierze byli za to wdzięczni! Nie chciało mi się opuszczać chorych, ale teraz widzę, że mogę z łaski Boga, który mi dał te dziwne zdolności, wybawiać ludzi z największej biedy, bo z pragnienia. Tak samo było w Czarnogórze na Łowczenie.“

„Spotkała Pani ludzi, którzy mają podobne własności magnetyczne?“

„O tak, kilku nawet, w tem kilka kobiet. Słynny jest major Beigel, który tak samo wyszukuje wodę pod ziemię.“

„Czy działania i objawy są u nich jednokowe?“

„Nie. U jednych silniejsze, u drugich słabsze. Przypuszczam, że i tabela wahań i nachylenia się pręta wobec różnych przedmiotów zmienia się u różnych osób i wobec tego trudno będzie postawić jakąś stałą normę, formułę matematyczną.“

„Jak Pani myśli, czy to jest objaw nerwowy u Pani, czy chorobliwy?“

„Nerwowy nie. Nerwy mam w porządku. Panuję nad niemi w zupełności. Nawet przy najciężej chorych, przy umierających jestem zrównoważona i spokojna. Chorą także się nie czuję, choć mnie to męczy, kiedy robię poszukiwania lub doświadczenia.“

Myślę jednak, że chyba u każdego człowieka jest trochę magnetyzmu. U jednego mniej, u drugiego więcej. U mnie może go być przez jakiś zbieg okoliczności dużo więcej, niż u innych i dlatego wyglądam na czarodziejkę z cudownym prętem.

Ale to jest rzecz zupełnie naturalna, pochodząca od Boga, który darami Swemi obdziela

stworzenia i chce widocznie, bym użyła tych darów dla ulżenia cierpiącej ludzkości, dla dobra bliźnich w tej strasznej wojnie.“

Dęblin, 17 października 1916.

Niedawno zaprosił mnie do Maciejowic oficer niemiecki, zajmujący się konserwacją grobów poległych. Pojechałem — tem więcej, że to niedaleko koleją pruską dwie stacje od Dębina w stronę Warszawy.

Na przystanku w Sobolewie czekał wóz. Do Maciejowic godzina dobrej jazdy. Przy stacji kilka domostw murowanych z czerwonej cegły, szereg sklepów, głównie żydowskich. Wszyscy przechodnie kłaniają się, pozdrawiają. W okupacji niemieckiej pozdrawianie oficerów i urzędników obowiązuje pod karą. Jedzie się dalej przez las, a za lasem wieś Sobolew. Chałupy jedna przy drugiej, szare wszystkie jednakie, słomą kryte, ciągną się podwójnym sznurem wzdłuż drogi. W środku wsi kościół drewniany z dwiema wieżami odbija się ładnie na tle pagórkowatej okolicy. A trochę dalej świeże zgliszcza kilku chałup, spalenisko, koło którego stoi szereg kobiet, patrzących smutnie i łzawo na dopalające się resztki belek i gratów. Kilku chłopaków grzebie patykami w tlejących zgliszczach.

„Dziś w nocy się zajęło, nie wiadomo jak i spaliło się. Dzięki Bogu, że cała wieś nie spłonęła“ — tak objaśniają.

Potem wieś Oronne, tak samo zabudowana jak Sobolew, — nie tak jak śląskie wioski, gdzie chaty są zwykle rozrzucone wśród pól.

Za Oronnem Maciejowice, a właściwie ich część, zwana Podzamcze, cel jazdy. Pałac z ogromnym parkiem i szeregiem zabudowań folwarcznych. Stoi na wzgórzu nad rzeką Okrzejką.

Zajeżdżamy przed pałac. Tam kancelarje urzędników i oficerów niemieckich. Oficer, do którego przyjechałem, objaśnia, że to pałac i majątek hr. Zamoyskiego, którego Rosjanie wywieźli. Dziś zarządza majątkiem brat hrabiego, a wojskowość zajęła budynki dla swych celów.

W pokojach pałacowych i salach widać, że wojna. Szereg fotografii rodzinnych, gobeliny, obrazy, meble wspaniałe, a przy nich zwykle wojskowe łóżka, urządzenia polowe, mundury na kołkach. Psrokaczna wszędzie a nieład największy w bibliotece, która robi wrażenie składu gratów i najrozmaitszych rupieci.

Po obiedzie w salonie — na talerzach z herbami hrabiowskimi i książęcymi, bo hr. Zamoyska jest z domu księżniczką Burbon, pojechaliśmy do warsztatów, mieszczących się w zabudowaniach folwarcznych.

Przed pracownią stosy drzewa dębowego. W pracowni stolarze cywilni i wojskowi. Wszyscy pracują tu wyłącznie tylko dla poległych i zmarłych. Nie widzi się nic, coby miało jakieś praktyczne zastosowanie dla życia i jego potrzeb. Wszystko, co się tu robi, to nie dla żyjących, ale dla umarłych. Można by nad tą pracownią umieścić napis: „vivi mortuis“ — żywi umarłym. I wszystko razem nastraja zwiedzającego poważnie.

W jednej stronie pracownia krzyżów. Robi się specjalne dla niemieckich żołnierzy, inne dla

austriackich, a inne jeszcze dla żołnierzy rosyjskich, — wszystkie dębowe, trwale. Taki krzyż wytrzymuje kilkadziesiąt lat.

Inny oddział robi płoty na groby, a inny znowu trumny. O ile bowiem ktoś pochowany wśród pola, w roli, to się go ekshumuje i przenosi na miejsce odpowiedniejsze, zwykle na najbliższy cmentarz.

Napisy na krzyżach są wypalane, bo ten sposób jest najłatwiejszy i najtrwalszy. Wszelkie inne napisy, tabliczki bledną, zacierają się z biegiem czasu. Zazwyczaj już po roku nie znać napisów, zrobionych ołówkiem, choćby chemicznym.

Pojechaliśmy potem do samych Maciejowic, gdzie urządzono wzorowy cmentarz wojskowy. Są tam groby żołnierzy poległych dawniejsze i późniejsze, powstałe przez przeniesienie zwłok z lasów, pól, z bruzd, gdzie w pośpiechu pogrzebane zostały.

Jedzie się jaki kwadrans z Podzamcza. Po drodze na prawo i na lewo szeregi grobów wspólnych i pojedynczych. Wszystkie wzorowo ogrodzone, oznaczone, pokryte darnią.

Okolica Maciejowic była widownią zaciętych walk. Tam Wisła najwęższa w całej okolicy, tam najłatwiej ją przejść. Widocznie dlatego w dziejach wojen Maciejowice zawsze odgrywać będą ważną rolę.

Tam przedostała się wśród zaciekłych walk armja generała Woyrscha po zbudowaniu trzech mostów przez Wisłę na prawy brzeg, zagroziła linję kolejową z Dębłina do Warszawy i sam Dęblin od północy. A że od południa, od Lublina

szli Austriacy, więc Moskalom nie pozostało nic innego, jak opuścić Dęblin i uciec jedną jedyną jeszcze nie zagrożoną linią kolejową i drogą do Łukowa, Siedlec i Brześcia Litewskiego. To zdecydowało też o wzięciu Warszawy.

Maciejowice, to miasteczko niewielkie. Przy ulicy wjazdowej szereg domostw, głównie drewnianych. Zaraz potem rynek, w środku obszerny, prostokątny, murowany ratusz. Domy na rynku niskie, przeważnie parterowe, rzadko piętrowe. Jeden bok rynku zajmuje niewielki szpital piętrowy w ogrodzie. W ogrodzie, tuż za płotem, oddzielającym plac rynkowy od szpitala, trzy ogromne wspólne mogiły z krzyżami i napisami. Mój przewodnik oficer objaśnia, że w szpitalu były takie masy rannych, leżących po korytarzach, na placu, w ogrodzie, że nie można sobie było dać z nimi rady, a umierało ich tak dużo, że choć cmentarz niedaleko, nie było czasu ani możliwości wywozić ich i dlatego pochowano wszystkich w ogrodzie szpitalnym.

Od szpitala widać już kościół maciejowski, duży, długi, dobrze utrzymany, pomimo, że nokoło wszędzie padały kule i granaty. Kościół nie posiada wcale wieży, ani jej dawniej nie miał. Wyszło mu to tylko na dobre, bo nikt nie kusił się na ostrzeliwanie wieży, jako domniemanego zawsze stanowiska obserwacyjnego nieprzyjaciela.

Sam cmentarz robi miłe wrażenie. Znać odrazu opiekę, nietylko władz wojskowych, ale i proboszcza. W środku kapliczka — prowadzi do niej droga, obsadzona młodemi brzoza. Na prawo i na lewo różne pomniki, groby stare stuletnie i świeże. Za kapliczką część nowa, urzą-

dzona przez mego przewodnika oficera, który z dumą pokazuje swe dzieło, jeszcze niezupełnie ukończone, ale zakreślone na szeroki plan i wykonywane z zamięłowaniem, pietyzmem, konsekwencją i podziwu godną wytrwałością.

Wstąpiłem na probostwo. Proboszcz maciejowski, to w całej okolicy i diecezji szanowany bardzo i ceniony ks. kanonik Pleszczyński, autor kilku dzieł religijnych. Tego roku obchodził złoty jubileusz kapłański. Pięćdziesiąt lat kapłaństwa wśród niezwykle trudnych warunków. Długi czas pracował na Podlasiu po parafjach, gdzie katowano Unitów za wiarę, przemocą nakłaniano do prawosławia. Unici pozbawieni swych kapłanów potrzebowali pomocy duchownej. Potajemnie więc nauczał, w nocy posługi religijne wykonywał, podnosił na duchu, do wytrwania w wierze zachęcał. Za to prześladowany bez miłosierdzia, wiecznie miał sprawy i musiał znosić przykrości od rządu rosyjskiego, przepędzany z jednej posady na drugą. Mimo to w rozmowie oświadczył mi, że czuje się dziś jeszcze młodym na duchu, zdolnym do pracy i do dalszej walki. Jakaś nie-spożyta moc i siła bije od tej szlachetnej postaci czcigodnego, zasłużonego starca-kapłana, co sterał życie na pracy apostołskiej w możliwie najgorszych warunkach, pod batem i knutem rozwydrzonego prawosławia, co się napatrzył tyłu męczarniom, prześladowaniom i co sam cierpiał za wiarę!

A dziś choć parafja jego jest zmarnowana przez wojnę, zniszczona, wyzyskiwana, pasterz ten patrzy z wiarą w przyszłość i wiarę swoją i ufność stara się wpajać we wszystkich, co są

małego ducha. Pociesza wszystkich, że Pan Bóg wyprowadza ze zła dobro i że Jego woli musi służyć nawet zło i najgorsi ludzie.

Godny pasterz Maciejowic, miejsca drogiego każdemu Polakowi, gdzie rozstrzygnęły się wojny i walki kościuszkowskie — ostatnie na schyłku naszego bytu państwowego. Tu skończyły się na długo nasze nadzieje, tu kres naszej świetności, chwały. Tu ziemia przesiąkła krwią tylu szlachetnych bohaterów, krwią samego Kościuszki.

W Podzamczu rośnie przed pałacem lipa, pod którą ranny ciężko Kościuszko, otoczony ze wsząd przez wroga, bez możliwości ujęcia, pobity, miał powiedzieć słynne, ale nieprawdziwe: „finis Poloniae — koniec Polski“.

W stronie północno-wschodniej Maciejowic, w Krępie Nowej, znajduje się kopiec, usypany ku czci Kościuszki.

A kiedy porozmawiać z jakim chłopem z Maciejowic, to opowie co słyszał od starych ludzi — którzy sami od swych ojców słyszeli o tych beznadziejnych, a tak nam drogich i tylekroć w poezji i w powieściach opisywanych walkach. Zniknęły już wszelkie groby, świadki owych walk. Prócz kopca Kościuszki nie został ani jeden kurhan, ani jedna mogiła. Ziemia, trawa i lasy zasłoniły i przykryły wszystko. Czas zaciera wszystkie rany.

Tylko czasami, kiedy ludzie doły lub rowy kopią, znajdują jeszcze gdzieś niegdzie kości białe, jakieś krzyżyki, blaszki, pieniądze z owych czasów i szable rdzą zgryzione.

Dziś w Maciejowicach nowe groby, nowe mogiły, świadki wojny najstraszniejszej, jaką zie-

mia kiedykolwiek widziała. Ale i one kiedyś znikną, zarosną, zapadną się, krzyże dębowe zbudują, powalą się, zgniją. Wtedy ludzkość znowu tylko z powieści, z opowiadań znać będzie te straszne dzieje, pisane krwią ludzką po świecie całym. Opowiadać sobie będą wnuki, pokolenia przyszłe o wojnie strasznej, prowadzonej nakładem wszelkich sił i pomysłów, tak w ziemi, głęboko w skale gdzieś, jak i wśród lodowców na najwyższych górskich szczytach, lub w bagnach nieprzebytych, albo w powietrzu, lub w wodzie. Będą opowiadać, jak całymi dniami padał deszcz pocisków armatnich na tę samą przestrzeń, jak miliony stały przeciw milionom, jak granicami państw były po jednej i po drugiej stronie setki tysięcy, miliony żołnierzy, żywych ludzi, co tygodniami, miesiącami, wśród chłodu i głodu stali tam, jak mur jaki śpiżowy.

Tak sobie przyszłe pokolenia opowiadać o nas będą, gdy na ziemi nic nie pozostanie z tego, co nas dziś tak boli — pozostanie tu tylko opowieść, poemat, a tam na niebie wysoko ten sam zawsze, żywy, wieczny Bóg.

Dęblin, 7 listopada 1916.

Wojna światowa wysunęła kwestję polską na forum międzynarodowe.

Dotychczas robiono przypuszczenia, kombinacje, gubiono się w najrozmaitszych domysłach i nadziejach. Jedni liczą przytem na koalicję, drudzy na państwa centralne. Raz wraz pojawiały się różne wiadomości, że między Wiedniem a Berlinem ciągle układy w sprawie Polski, to

znowu, że układy zerwano, że z nich nic nie będzie, bo stosunki złożyły się niekorzystnie, bo samo społeczeństwo polskie przeszkadza w układach brakiem jednolitej myśli i jasnej wytycznej.

W Dęblinie najmniej było wiadomo. Dzienniki nie donosiły nic, a sfery wojskowe nie zajmowały się tem — cóż je to mogło obchodzić, co z Polską będzie?

Czwartego listopada byłem w Borowinie u Państwa Mierzejewskich. Założyli dla dzieci swej służby folwarcznej szkołę, poświęciłem ją. Pan Mierzejewski, który jeździł do Puław, przywiózł stamtąd wiadomość, że w niedzielę, 5 listopada, ma być ogłoszona proklamacja w sprawie Polski. Nie bardzo w to wierzyłem, bo już przedtem krążyły podobne wieści, wyznaczono już nawet dzień 18 sierpnia, a minęło wszystko bez proklamacji.

Dnia 5 listopada około godz. 7 rano puka do okna rotmistrz żandarmerji w Dęblinie, Węgier Lenert i woła, że Polska została ogłoszona Królestwem, że królem polskim będzie książę pruski Joachim.

Wobec takich niezwykłych wiadomości idę do kasyna oficerskiego, gdzie oficerowie siedzą przy śniadaniu, by się dowiedzieć czegoś więcej. „Ah, das ist einer vom polnischen Königreich“ — wita generał. Powiadam, że owszem chciałbym dowiedzieć się czegoś konkretnego. Okazuje się, że niewiele wiedzą, że wiadomości pochodzą od komendanta dworca w Dęblinie oberleutn. dra Szurleja, Polaka i że koło dworca i w pobliskiej Irenie mają być rozlepione afisze z proklamacją. Posłałem po jedno takie ogłoszenie.

Tymczasem omawialiśmy sprawę, opierając się na domysłach. Byłem w tem towarzystwie jedynym Polakiem. Widziałem skwaszone miny panów oficerów. Spodziewano się rychłego wyjazdu z Dęblina, po cichu dostawało się Prusakom, że chcą zająć całą Polskę, ale były też ironiczne uwagi co do samego Królestwa i polskiej w niem gospodarki.

Po długiem oczekiwaniu przyniesiono afisz — byłem tłumaczem. Okazało się, że proklamacja nie zawiera nic konkretnego, że są to zapowiedzi, obietnice i nic więcej, poręczone jedynie podpisem gubernatora lubelskiego Kuka i warszawskiego Beselera*).

*) Tekst proklamacji opiewa:

Do

Mieszkańców warszawskiego Jeneralnego Gubernatorstwa.

„Przejęci niezłomną ufnością w ostateczne zwycięstwo ich broni i życzeniem powodowani, by ziemie polskie przez waleczne ich wojska ciężkimi ofiarami rosyjskiemu panowaniu wydarte, do szczęśliwej przywieść przyszłości, Jego Cesarska Mość Cesarz Niemiecki oraz Jego Cesarska i Królewska Mość Cesarz Austrii i Apostolski Król Węgier postanowili z ziem tych utworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchją i konstytucyjnym ustrojem. Dokładniejsze oznaczenie granic Królestwa Polskiego zastrzega się. Nowe Królestwo znajdzie w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmię, potrzebną do swobodnego sił swych rozwoju. We własnej armji nadal żyć będą pełne sławy tradycje wojsk polskich dawniejszych czasów i pamięć walecznych polskich towarzyszy broni w wielkiej

Rozjaśniały się też w miarę czytania i tłumaczenia twarze moich słuchaczy. „Es ist nicht so arg“ — zawyrokował generał — „to jeszcze nie tak źle“.

Niemcy uważają widocznie, że to na razie Polakom wystarczy.

Trzeba Niemcom armji, trzeba ludzi. Tu w Polsce tylu mężczyzn. Nieraz zauważyć można niezadowolenie oficerów, że w kraju, w tak zwanym hinterlandzie, kobiety obejmują obowiązki mężczyzn, kobiety orzą, sieją, kobiety pracują w fabrykach amunicji, w biurach, na kolei, tramwajach, a tu w Polsce mężczyźni siedzą w domu, o wojnie nic nie wiedzą.

Chyba jednak proklamacja nie pociągnie chłopca polskiego dobrowolnie na wojnę. Widział ją zbliżka i ma jej dość. Jeżeli w Austrii, w Niemczech, pomimo wszczęcia wszelkimi sposobami

obecnej wojnie. Jej organizacja, wykształcenie i kierownictwo uregulowane będą we wspólnym porozumieniu.

Sprzymierzeni Monarchowie, biorąc należyty wzgląd na ogólne warunki polityczne Europy, jako też na dobro i bezpieczeństwo własnych krajów i ludów, żywią niezłomną nadzieję, że obecnie spełnią się życzenia państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego.

Wielkie zaś od zachodu z Królestwem Polskiem sąsiadujące mocarstwa z radością ujrzą u swych granic wschodnich wskrzeszenie i rozkwit wolnego, szczęśliwego i własnym narodem życiem cieszącego się państwa.

Z najwyższego rozkazu jego cesarskiej Mości Cesarza Niemieckiego

Jenerał-gubernator: v. Beseler.

mi patryjotyzmu, dziś tyle śledztw o oszustwa wojskowe, o uchylenie się od służby wojskowej, to nic dziwnego, że lud po kilkunastu miesiącach okupacyjnych rządów, które przyniosły tylko rekwizycje i tysiączne krzywdy, ograniczenia, nie będzie śpieszył do wojska, chyba tylko z konieczności, z głodu.

Zresztą trudno teraz o jakie wielkie słowo, o ideę, któraby porwała wszystkich i była w stanie oddziaływać na bierne masy.

Obrona Polski? Gdzież jej granice, gdzie jej rząd? Na kogo przysięgać? Za kogo lub za co walczyć?

Jeżeli Austriacy i Niemcy tacy silni, to sami wszystko utrzymają, — jeżeli nie mogą utrzymać, to dowód słabości. Chłop tutejszy czuje to i ze słabym nie pójdzie, on i tak Austriaków nazywa dziadami.

A przeciw Moskalom walczyć? Ci ludzie mają ogromny respekt przed siłą moskiewską, odczuwali ją zgórą sto lat.

„Austriak ani Niemiec nie nas ociec“ — powiadają — „Moskal tyz ta nie nas kum, ale poco pchać palec nie w swój interes?“

W każdym razie niezwykle dzień, co przyniesie, nie wiadomo. Początek zrobiony. Jeszcze wojna ciągle trwa, a przy układach niejedno inaczey wypadnie, niż się spodziewać można.

Odprowadziłem nabożeństwo o godz. 9 rano dla żołnierzy, potem, jak co niedzielę, poszedłem do konfesjonu, by spowiadać napływającą powoli na sumę ludność cywilną. Do spowiedzi tłumy i nieodłączne w tych stronach pchanie się i bez-

celowe tłoczenie. Powiadają tu, że jak się porządnie nie wygniecie przy spowiedzi, to to nie jest żadna spowiedź; nieraz aż im się z czupryn kurzy, tak się wymęczą wzajemnie i spocą.

Koło godziny 11 podchodzą dwaj oficerowie legjoniści z koszar z lewego brzegu Wisły, kapitan Eydziatowicz i Terlecki, wywołują z konfesjonału, proszą o chwilkę rozmowy. Prowadzę ich do zakrystji, gdzie witają się ze mną i całują — widocznie podnieceni proklamacją — i pytają, czy ogłaszać ją będę ludowi. Powiedziałem, że to trochę za mało na proklamację i nikt mnie właściwie do odczytania tejże nie upoważnił. Proklamacja to nie Ewangelja.

Jednak jakoś nie wytrzymałem — co będzie, to będzie — i po kazaniu odezwałem się wśród ogólnego napięcia:

Dzień dzisiejszy, to ważny dzień dla Polski i dla nas Polaków. Cesarz niemiecki i austriacki postanowili dać nam po stu latach wolność, swobodę i króla. Da Bóg, nie skończy się na obietnicy tylko, którą dziś ogłaszają po polskiej ziemi.

Da Bóg, skończą się czasy rzezi galicyjskich i poznańskiego bicia, katowania dzieci szkolnych, za to, że po polsku czują i po polsku się modlą, skończy się i tu knut, niewola, prześladowania za wiarę, skończy się ogłupianie ludu.

Po stu latach obcych rządów będą rządy nasze, rządy polskie, swoje!

Słyszycie ludzie? Będzie lepiej, swobodniej, inaczej!

To Bóg dobry widać lituje się nad biedną Polską, nieszczęśliwą, spojrział na jej rany, spu-

stoszenie, pożary i zgliszcza, na kraj przeorany
wzdłuż i wszerz rowami strzeleckimi, na całą
mękę wiekową, na prześladowanie za wiarę i
polskość.

Toś nam wyprosiła Ty, Panienko Jasnogór-
ska, Królowo Korony Polskiej!

To Ty roztaczasz nad Polską płaszcz Swej
opieki, bo już dość cierpień, dość krzyżów, Gol-
goty! Użycz spełnienia tego wszystkiego, weź nas
w opiekę, weź nas na nowo — Polska Królowo!

Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile,
Królowo Polski, Królowo aniołów!

Roztocz ponad nią tęczę Twej opieki,
Odwiąż jej ręce od katowskich kołów,
Bądź jej aniołem teraz i na wieki!*)

Nie miałem wcale zamiaru oddziaływania na
lud, chciałem powiedzieć o fakcie spokojnie, —
tymczasem po kilku słowach powstał taki szloch
i ogólny płacz, że wzruszenie i mnie się udzieliło.

Nie widziałem już wtedy tłumu przed sobą,
tylko falę jakąś żywą z ludzkich serc polskich,
biednych, bardzo biednych, którym zwiastowa-
łem rzecz dziwną, niezwykłą, o jakiej im jeszcze
dotąd nigdy nikt nie mówił.

Coś mnie w gardle dławiło — nie mogłem
wypowiedzieć słowa przez kilka chwil — stałem
tak przed ołtarzem w byłej cerkwi prawosławnej,
łkając razem z płaczącym, łkającym ze wzrusze-
nia ludem.

Widać ciężko nam bardzo wszystkim, widać
dusze nasze bardzo coś boli, jeżeli odrobina na-

*) Krasiński, Hymn.

dziei w lepszą przyszłość była w stanie wszystkich tak poruszyć.

Odśpiewaniem „Pod Twoją obronę“ skończyło się wszystko.

Dęblin, 14 listopada 1916.

W zeszłym tygodniu byłem w Krakowie i na Śląsku. W Krakowie trafiłem na uroczystości z powodu proklamacji. Znać było u wszystkich przy tem pewne zakłopotanie, bo obok wolnego Królestwa polskiego, którego granic nawet w przybliżeniu nie ustalono, proklamowano tego samego dnia autonomję dla Galicji. A więc Królestwo dla siebie i Galicja dla siebie. Wygląda to trochę oryginalnie. Słyszałem na ten temat powiedzenie: „Ni z tego, ni z owego, mamy Polskę na pątego.“

Realnego znaczenia wobec tej rozbieżności proklamacja mieć nie może, jednak nie jest bez znaczenia moralnego na przyszłość, gdyż stawia sprawę polską na forum międzynarodowym, bo obie strony walczące mówią już o Polsce jako osobnem państwie.

Charakterystyczne wezwanie do wzięcia udziału w nabożeństwie na Wawelu na środę, 8 listopada z racji owej proklamacji napisał książę Biskup Sapieha. Wzywa wiernych — do modlitw na grobach świętych królów i patronów polskich — „o rozum i oświecenie“.

We wtorek wieczorem przygrywały na Rynku krakowskim trzy orkiestry. Przed Mickiewiczem przemawiał poseł Marek. Koło godzi-

ny 7-mej ruszył tłum ul. Sławkowską do hotelu Saskiego, gdzie mieszkał Piłsudski. Nie czekałem jednak końca, bo i tak wśród wrzawy i różnych okrzyków nie było można nic zrozumieć.

W środę rano załały Wawel i Katedrę tysiączne tłumy, w myśl odezwy księcia Biskupa. Msza pontyfikalna bez kazania, śpiew łaciński. Po Mszy św. zaśpiewano „Boże coś Polskę“ — śpiewał cały kościół. Każdemu zdawało się, że słowa: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie“ już przez połowę wysłuchane, że zbliża się oto ich wypełnienie. Przypomniało mi się takie samo nabożeństwo w tej samej katedrze po wzięciu Warszawy w zeszłym roku.

Wieczorem poszedłem do teatru, gdzie miało się odbyć uroczyste przedstawienie. O godz. 7 przyjechał do teatru Piłsudski z Sosnkowskim. Kiedy zjawił się w loży prezydenta miasta, gdzie już siedział prezydent Leo z rodziną, podniosła się burza oklasków. Raz wraz różne panie znośiły Piłsudskiemu bukiety, same chryzantemy. Na początek odśpiewano „Boże coś Polskę“ i po prologu zagrano Fredry „Śluby panińskie“.

Kiedym następnie szedł z teatru koło Bramy Florjańskiej, zaległy na plantach znowu tłumy, środkiem biegli legjoniści w dwa rzędy, trzymając się za ręce, odprzęgli koło teatru konie i ciągnęli powóz z Piłsudskim i Sosnkowskim, odwożąc ich do hotelu.

Następnego dnia byłem w Cieszynie, a po południu pojechałem do domu do ojca. Po drodze wstąpiłem na cmentarz na grób matki i siostry.

Dęblin, 20 listopada 1916.

Obecnie wyjaśniło się, dlaczego państwa okupacyjne zdecydowały się na proklamację. Chcą stworzyć dla swoich celów armję polską. Od wczoraj funkcjonują w całej Polsce, z wyjątkiem ziemi Siedleckiej i Chełmskiej, biura werbunkowe, organizowane przez komendanta grupy Legionów pułk. Zielińskiego z Dębina, gdzie obecnie przebywają różne formacje legionowe. Zdaje się, że niewiele nawerbuja.

W niedzielę dowiedziałem się o śmierci Henryka Sienkiewicza. Wiadomość ta zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Zgon największych nawet ludzi nie robi takiego wrażenia, co śmierć Sienkiewicza, którą odczuł boleśnie cały naród.

Śliczna była dziś w dzienniku mowa Tetmajera — przyrównuje Sienkiewicza do Mojżesza, który wiódł Izraela do ziemi obiecanej, a u jej progu umarł.

A Paderewski mówi o nim:

„Wielkim naprawdę musiał być ten człowiek, skoro kraj nasz potopem krwi i łez zalany, skoro naród cały z Krzyżaków winy ogniem i mieczem tępiony tak boleśnie odczuwa jego stratę, taką głęboką i serdeczną cześć mu składa.

Nie był on królem a jednak miał w sobie powagę, godność i majestat iście królewski. Cicho i niespostrzeżenie dostały mu się berło i korona i nad sercami naszymi niepodzielna władza.

Nie był on wodzem a jednak szedł za nim naród z ufnością i ukochania posłuszeństwem.

Nie był on wysokim Kościoła dostojnikiem a jednak kapłaństwo polskie widziało w nim

wiary strażnika, Kościoła obrońcę i walecznego szermierza chrześcijaństwa.

Nie był on mężem stanu a jednak wszyscy politycy polscy przed jego mądrością, przed jego rozważą, przed jego zdaniem, kornie schylali czoła.

Bo on był, jako ten słup ognisty, wskazujący w ciemnościach niewoli prawą i prostą dla narodu drogę, bo on był, jako ten deszcz wiosenny, użyźniający naszą rodzimą ziemię, bo on był narzędnikiem Bożym, powołanym przez Stwórcę do spełnienia Jego Wszechmocnej wględem Polaków woli.

Umarł Sienkiewicz — jak mówi dalej w swej wspaniałej mowie Paderewski. — Umarł jak żył — karmiąc łaknących. Przez lat blisko 50 żywił on naród swoim polskim słowem, przez ostatnie dwa lata chlebem polskim, bo karmił wdowy i sieroty.

Za to narodu żywicielstwo, za to wdów polskich i sierot karmienie cześć Mu i chwała i przyszłych pokoleń nieskończona wdzięczność.

Nie doczekał zmartwychwstania Ojczyzny.

Dęblin, 22 listopada 1916.

Dziś rano przyszła wiadomość, że cesarz Franciszek Józef umarł wczoraj wieczorem o godzinie 9-tej.

Wiadomość jakby nieprawdopodobna — od 68 lat nie umarł żaden cesarz austriacki. Zdawało się, że ten człowiek ma coś z wieczności. Ciągłe żył i żył. Najstarsi ludzie nie pamiętali innego cesarza. Zdarzyło mi się tu w Królestwie nieraz,

że mnie ludzie pytali, czy to aby prawda, że cesarz Franciszek Józef jeszcze żyje.

Przeżył dużo, stracił brata, syna, żonę w tragiczny sposób.

Co będzie teraz, nie wiadomo, — w każdym razie nastąpi pewne odświeżenie i odmłodzenie. Wszystko miało dotąd charakter staroświecki, uporczywie konserwatywny.

Był u mnie dziś protestancki kapelan wojskowy z Lublina Kesselring, pastor zboru lwowskiego, Niemiec. Dziwił się, że duchowieństwo katolickie w Królestwie odnosi się z taką rezerwą do władz okupacyjnych i do świeżej proklamacji. Tłumaczy sobie to tem, że Kościół katolicki jest wogóle bardzo ostrożny i przezorny, a mając zawsze dokładne wiadomości, nie wierzy w zwycięstwo państw centralnych i w utrzymanie się na długo ich zarządzeń.

W istocie Kościół katolicki, powołany do życia przez Chrystusa, żyje własnem swem życiem, patrząc na wypadki z wiekowem doświadczeniem. Tyle już widział, tyle przeszedł! Nie gorączkuje się, nie śpieszy, bo ma zawsze czas, bo ma obietnicę przetrwania wszystkich i wszystkiego. Kościół wie, że co dobre, to trwa a wszystko inne oparte na gwałcie i przemocy, zmiecie samo życie i Boża Sprawiedliwość.

Napoleon stworzył tyle nowych państw, tyle wydał proklamacyj! Co z tego pozostało? Więc też Kościół nie przejmuje się dzisiejszymi Napoleonami ani ich obietnicami ni groźbami i traktuje wszystko z właściwą sobie rezerwą i godnością.

Dęblin, 3 grudnia 1916.

Mamy nowego cesarza Karola. Z racji wstąpienia na tron odbyło się uroczyste nabożeństwo wojskowe. Wzięli w niem udział także legjoniści z pułk. Zielińskim na czele. Przemawiałem w czasie nabożeństwa w czterech językach: niemieckim, polskim, czeskim i węgierskim.

Gdybym był Węgrem, nie chciałbym słyszeć tego przemówienia. Wyobrażam sobie, jak kaleczyłem język madziarski. Jednak Węgrzy, obecni na nabożeństwie, byli zadowoleni, wprost rozentuzjazmowani miłą dla nich niespodzianką.

W okupacji niemieckiej władze badają nastroje i opinię społeczeństwa. Niedawno odbyło się w Garwolinie zebranie księży z okolicy na zaproszenie szefa obwodowego — Kreischef. Zebraniem postawiono dwa pytania: Jak podziałała proklamacja na społeczeństwo i jakie stanowisko zajmuje społeczeństwo wobec akcji werbunkowej.

Zamiast odpowiedzi zebrani księża postawili żądanie utworzenia samodzielnego, niezależnego rządu polskiego.

13. Andrzej Maj, właściciel z Łodzi.
14. Józef Mikulski-Pomorski, były wójt wójtowski w Warszawie.
15. Kazimierz Natanson, inżynier.
16. Wacław Niemcewicz, inżynier z Łodzi.
17. Józef Piłsudski, pułkownik dywizji Legionów Polskich.
18. K. Prater Pruszyński z Łodzi.
19. Stanisław Pruszyński, inżynier z Łodzi.

1917

Dęblin, 17 stycznia 1917.

Wczoraj nastąpiło w Warszawie otwarcie Rady Stanu w obecności generał-gubernatora niemieckiego gen. Beselera i generał-gubernatora austriackiego gen. Kuka z Lublina. Otwarcie odbyło się w pałacu Krasińskich. Marszałkiem obrano Wacława Niemojewskiego, zastępcą — prof. Mikułowskiego-Pomorskiego.

Skład Rady Stanu jest następujący:

1. Dr. Stanisław Bukowiecki, adw. przysięgły.
2. Stanisław Dzierzbicki, ziemianin, zastępca prezesa Tow. Kredyt. Ziemskiego w Warszawie.
3. Stefan Dziewulski, adwokat przysięgły.
4. Ludwik Górski, ziemianin, inżynier.
5. Ludomir Grendyszyński, publicysta prawnik.
6. Stanisław Janicki, ziemianin.
7. Dr. Paweł Jankowski, lekarz w Lublinie.
8. Antoni Kaczorowski, inżynier.
9. Józef Kozłowski, przemysłowiec z Dąbrowy Górniczej.
10. Władysław Kunowski z Warszawy.
11. Michał Łempicki, inżynier, przemysłowiec.
12. Antoni Łuniewski, prezes Związku ziemian Król. Polskiego.

13. Andrzej Maj, włościanin z Lubelskiego.
14. Józef Mikułowski-Pomorski, dyrektor wyższych kursów rolniczych w Warszawie.
15. Kazimierz Natanson, finansista.
16. Wacław Niemojewski, ziemianin z Kaliskiego.
17. Józef Piłsudski, pozasłużbowy brygadjer Legjonów Polskich.
18. Ks. Prałat Przeździecki z Łodzi.
19. Franciszek ks. Radziwiłł, komendant milicji warszawskiej.
20. Wojciech hr. Roztworowski, ziemianin, literat.
21. Artur Śliwiński, publicysta.
22. Stanisław Sokołowski, ziemianin z Piotrkowskiego, sędzia gminny.
23. Błażej Stolarski, włościanin z Brzezińskiego.
24. Władysław Studnicki, publicysta.
25. Ks. Bolesław Sztobryn, proboszcz w Wierzbniku.

Dęblin, 12 lutego 1917.

Zaziębiłem się w kościele i zapędzono mnie do łóżka. Leżę więc i piszę po miesięcznej przerwie, by utrwalić w części ostatnie przeżycia, nastroje.

Dęblin obecnie cichy, spokojny. Tam na różnych frontach walki bezustanne, u nas właściwie praca pokojowa. O postępach wojny wiemy tylko z gazet. Czasem przyjedzie ktoś, co sam brał w tych walkach udział, więc opowiada. Każdy przedstawia rzecz z własnego punktu widzenia. Nie podobna ogarnąć ogromu zdarzeń, wypadków, szczegółów i najrozmaitszych prądów całej

zakulisowej dyplomacji. To co wiemy, to tylko pół prawdy, co cenzura wojskowa pozwala wiedzieć — wielu rzeczy trzeba się domyslać. A i te domysły, przepowiednie, kombinacje tracą wnet swe znaczenie wobec siły faktów, które idą żywiołowo jak lawina, jak nieubłagana ananke, wywracając wszystko.

Świat jest obecnie pod wrażeniem zaostnionej walki łodziami podwodnemi. Wszyscy czekają, co z tego będzie, czy Niemcy zmuszą Anglję do ustępstw czy nie, czy też Niemcy, zwyciężając ciągle na wszystkich frontach, będą dalej upominać się o pokój i jak niedawno ktoś powiedział: „zwyciężą się na śmierć” — „werden sich tot-siegen“.

W społeczeństwie polskiem rozdziwienie.

Aktywiści, głównie lewica, liczą na państwa centralne, które obiecują wskrzeszenie państwa polskiego wzamian za zorganizowanie pomocniczej armji polskiej.

Pasywiści, głównie prawica, liczą na koalicję. Twierdzą, że Niemcy gonią resztkami swych sił i dlatego nie wolno przedłużać wojny ani pomagać Niemcom przez tworzenie polskiej armji pomocniczej.

Nie wiadomo, co wybrać. A nuż jeszcze „tata wróci” — jak mówią chłopci, mając na myśli cara!

Jest Rada Stanu w Warszawie, ale rządzą w dalszym ciągu okupanci.

W zeszłym tygodniu spotkałem w Stężycy „chodzika” Polskiej Organizacji Wojskowej. Zre-sztą dotarli już i do mnie. Werbują młodzież do tajnej organizacji Piłsudskiego, obiecując, że ta

organizacja stanie się wojskiem polskim i że potem Legjony będą musiały z nią się połączyć. Wyobrażają sobie, że przejmą od Niemiec obronę Polski i będą się w imieniu Polski układać z Rosją. Na razie wszystko to nie wychodzi poza ramy roboty tajnej, konspiracyjnej.

W sobotę byłem z rewizytą u kapelana 6 pułku Legjonów w Dęblinie, ks. Konopki T. J. W bufecie oficerskim był podpułkownik Norwid-Neugebauer i szereg oficerów. Komunikowali sobie różne wersje i wiadomości, domysły, np. że cesarz Karol austriacki chce koronować się na króla polskiego, że gotów porobić nawet koncesje na rzecz Włochów, byleby przyłączyć Polskę. Niemcy wzięliby wtedy część Tyrolu i Salzburga.

Na razie legjoniści, rozmieszczeni po różnych miejscowościach w Królestwie, odbywają t. zw. „kursy przeszkolenia“ na modłę niemiecką. W Dęblinie jest obecnie aż siedm szkół wojskowych polskich, prowadzonych przez oficerów armji niemieckiej, w tem kilku Polaków, oraz przez oficerów legjonowych.

Dęblin, 20 marca 1917.

W powietrzu czuć wiosnę. Od kilku dni ciepły wiatr topi śniegi, słońce budzi wszystko do życia.

Tylko na wschodzie i na południu, we Francji i w Belgji, jakby wiosny nie było. Po chwilowym zastoju na froncie akcja ożywia się, wzmacnia, rośnie.

Czasami zdaje się, że innego życia poza wojskowem nigdzie niema, że to już tak na zawsze

zostanie, że ten stan anormalny potrwa, aż skończy się chyba jakąś ogólną katastrofą, wskutek przemęczenia, nędzy i głodu.

I chyba już zaczyna się wszędzie nędza i głód, nie tylko w Polsce, skoro z kraju krewni żołnierzy i oficerów proszą ciągle o przywożenie żywności, mąki, cukru, słoniny. I idą tego całe paczki, całe pociągi. Żołnierze wykupują co mogą, kradną, rekwirują, byleby wysłać swoim do kraju, do „hinterlandu“.

Od miesiąca już karmią nas tu obrzydliwymi, cuchnącymi rybami morskimi. Nikt tego nie chce jeść, pomimo zżymania się pana generała.

Mamy wspólną kuchnię, wspólne kasyno wojskowe. Płaciliśmy za wikt dziennie tylko dwie i pół korony. Ale na tem, cośmy jedli, była ludzka krzywda, ludzkie łzy. Kuchnię prowadził przez dłuższy czas urzędnik wojskowy Klein, przed wojną urzędnik kolei południowej — Südbahn. Człowiek bardzo zarozumiały, traktował tutejszą ludność jak bydło. Kiedy spotkał chłopca na drodze, a ten nie uklonił się, to go bez skrępowań uderzył szpicrutą. Nieraz się tem przechwalał. Wyjeżdżał na okoliczne targi i jarmarki zwykle samochodem z kilku żołnierzami. Przyjechawszy na targowisko, zabierał co się dało, rzucając zrozpaczonemu właścicielowi byle co, parę koron. Nie gardził też prosiakami, gęśmi i kurami. W ten sposób Austrijaki żywiły się polską krzywdą.

Ale wszystko na świecie się kończy, każda krzywda prędzej czy później bokiem wylezie. I tanie jaja, masło i prosięta także się skończyły.

Pewnego razu spodobał się Kleinowi na jarmarku w Michowie młody, zgrabny koń. Postanawia go kupić, naturalnie za śmiesznie niską cenę 250 K, podczas gdy koń był wart przeszło tysiąc. Chłop nie chce dać. Wtedy Klein wyjmuje rewolwer i strzela dla postrachu. Steroryzowany chłop puścił konia.

Klein przyjeżdża do Dębina i ofiaruje taniego konia w prezencie generałowi. Ten sprzedaje z kolei konia za 1000 K, nie bierze jednak nadwyżki dla siebie, lecz za krzywdę polskiego chłopca, wołającą o pomstę do nieba, kupuje biust cesarza Franciszka Józefa do pomnika w parku dębińskim.

Niedawno jednak wszystko wyszło na jaw i sąd wojskowy w Puławach, po zebraniu danych o postępках i metodach Kleina, skazał go na rok więzienia i degradację.

Dęblin, 27 marca 1917.

Dziś rano zostałem wezwany do raportu.

Co się stało? — Nie mogłem dojść przyczyny.

O godz. 11 idę w przepisany mundurze, melduję się w kancelarji i staję na bacność przed srogiem obliczem generała.

Generał bierze do ręki uroczyście gazetę niemiecką i czyta: „Die Karte liegt vor mir. Sie zeigt die ausgeschriebenen, aber etwas zitternden Schriftzüge eines betagten, von Arbeit im Dienste Gottes und des Vaterlandes aufgeriebenen Mannes. Dies ist das Bild, das ich mir vom Ścisła gemacht habe; und ich kann mir nicht anders denken, als daß es der Wahrheit entspricht

Die Karte lautete:

Ks. Dom. Ściskała

Krakau, Feld-Spital 6.

Hochgeborene Baronin!

Von der Frau v. Adamovich aus Drenovac
erfuhr ich vom rückgratkranken Ulan in Linz.
Sende für ihn diese Erinnerung an seine Heimat.
Vergelts Gott für alle Beweise Ihrer Liebe zu
den Kranken und den Polen insbesondere!*)

Kennen Sie, Herr Feldkurat, diesen Mann? —
pyta generał zawsze jeszcze w tonie urzędowym
— zna ksiądz kapelan tego człowieka?

Jawohl, Herr General — tak jest, panie ge-
nerale — odpowiadam.

To ma być ksiądz? — śmieje się generał.
— Człowiek w podeszłym wieku i zużyty? Nie! Ja
muszę wystąpić w obronie księdza! Proszę mi dać
swoją fotografię, napiszemy do p. Handel-Maz-
zetti sprostowanie, że ksiądz ma dopiero 30 lat.

Do sprostowania nie doszło naturalnie, zato
przez kilka dni mieli oficerowie temat do dowci-

*) Kartka ta leży przede mną. Wykazuje wyrobiony
ale trochę drżący charakter pisma człowieka już w pode-
szłym wieku i zużytego w pracy dla Boga i Ojczyzny.
To jest obraz, jaki sobie o ks. Ściskale wyrobiłam i nie
mogę sobie wyobrazić, by nie odpowiadał prawdzie.

Kartka była następującej treści:

Wielce Szanowna Pani Baronowo!

Od Pani v. Adamovich z Drenowacza dowiedziałem
się o ułanie w Lincu, rannym w stos pacierzowy. Przesy-
łam dla niego tę pamiątkę z jego Ojczyzny. Boże zapłać
za wszystkie dowody dobroci Pani Baronowej dla cho-
rych, a specjalnie dla Polaków.

pów i żartów, gdyż gazeta „Reichspost“ z powyższym feljetonem znanej powieściopisarki niemieckiej baronowej Handel-Mazzetti kursowała z rąk do rąk.

W czasie pobytu w Krakowie napisałem w wiedeńskiej „Reichspost“ prośbę o przysłanie chorym starych książek do nabożeństwa. Przysłano mi wtedy kilka tysięcy najrozmaitszych książek w różnych językach. Z paczkami przysyłano listy, trzeba było na nie odpowiedzieć i podziękować. Z tej racji wywiązała się w wielu wypadkach korespondencja, która trwała czas dłuższy. Przysyłano w następstwie papierosy, dewocjonalja i t. d.

Do każdej książki wkładałem kartkę korespondencyjną z adresem ofiarodawcy i polecałem chorym żołnierzom, by sami napisali i podziękowali. Obie strony miały w ten sposób dużo przyjemności i urozmaicenia w tych smutnych czasach.

Między innemi przedłużyła się korespondencja z panią Adamovich, Kroatką ze Sławonji, mającą wielkie nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej. Utrzymując stosunki z baronową Handel-Mazzetti, dowiedziała się od niej o ciężko chorym ułanie, nazwiskiem Smutniak, w szpitalu w Lincu, w Górnej Austrii.

Ponieważ pisała, że chory tęskni bardzo za domem i za polskim słowem, nie namyślając się wiele, wstąpiłem do składu obrazów i dewocjonaljów Kutrzeby w Krakowie, kupiłem obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w pięknej ramce, kilkanaście obrazków z polskimi napisa-

mi, parę książeczek ze śpiewami ludowymi, napisałem w pośpiechu ową kartkę i kazałem wysłać do nieznanej mi p. Handel-Mazzetti w Lincu.

Zapomniałem o tem jako o drobiazgu, wobec tego, co się ciągle przeżywało. Dopiero powieść p. Handel-Mazzetti, osnuta na tle historii rannego ułana Smutniaka, przypomniała mi ów szczegół.

Dęblin, 2 kwietnia 1917.

Choruję na gardło, przeziębilem się w kościele z racji spowiedzi wielkanocnej, więc, nie mając nic lepszego do roboty, piszę.

Nadszedł dalszy ciąg powieści o Smutniaku. Jest bardzo miła, przypomina mi różne przeżycia szpitalne. Korzystam z czasu i przetłumaczę choć kilka ustępów.

Smutniak marzył już dawno o obrazku M. B. Częstochowskiej i p. Mazzetti obiecała mu go.

„Kiedym robiła poszukiwania w różnych składach z dewocjonaljami w Lincu za jakim obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, by choremu sprawić niespodziankę, otrzymałam dnia 30 sierpnia paczkę, wysłaną ekspres z Krakowa. Nazwisko nadawcy — ks. Ścisłała — było mi nieznane. Otworzyłam — pełno druków i obrazków, na wierzchu obrazek zawinięty w bibułę. Odsłaniając go ostrożnie i byłam zaskoczona: ta mała, ciemnymi kolorami namalowana Madonna, z dwiema bliznami na twarzy — to właśnie ta utęskniona i ukochana Częstochowska Matka Boska. Tak, to ta Najświętsza Panienka, która osłodził śmiertelnie choremu Smutniakowi godzinę

śmierci. Z największem wzruszeniem ucałowałam wizerunek Marji, która przyszła odwiedzić najbiedniejszego z biednych, gdy obszedłszy już cały Linc, straciłam była nadzieję znalezienia Jej wizerunku.

Zapakowałam zpowrotem drogi obraz, mający na odwrotnej stronie dłuższy napis, skreślony przez ofiarodawcę w języku polskim. Do postawienia obrazka załączona była gustowna ramka z napisem: Kraków. Poza tem obrazki Serca Jezusowego i świętych dla kolegów Smutniaka, a na każdym obrazku pozdrowienie od przysyłającego. Kilka śpiewników z pieśniami polskimi „Wiązanka pieśni polskich“.

Otworzyłam jedną z napisem: „Ułan“ — „Rzy koniczek mój bułany, puście, czas już, czas, Matko, ojcie mój kochany, żegnam, żegnam was.“

Nie umiem po polsku, alem tyle zrozumiała, że to pożegnanie ułana. Biedny Smutniak, i jego godzina pożegnania się zbliża...

O Pani Częstochowska, weź go w opiekę, Ty pełna miłości i dobroci dla wszystkich! —

Poszłam do szpitala. Gdy zobaczyłam Smutniaka, przeraziłam się. Był blady jak kreda, zmieniony, oczy zapadnięte, usta na poły otwarte, wargi sine.

„Smutniak — przyniosłam wam coś pięknego — nie jesteście ciekawi?“

Spojrzał na obrazek, zakryty papierem, uśmiechnął się.

Wtedy usunąłam papier i pokazałam mu Matkę Boską. Pełna litości i dobroci Marja Częstochowska, Sama dwiema bliznami naznaczona,

spojrzała pewnie na biedaka, mówiąc: cierpiałam więcej jeszcze niż ty synu, przychodzę do ciebie, by być obecną przy końcu twych cierpień.

Smutniak wziął, a właściwie wyrwał mi wizerunek z ręki i pocałował go namiętnie całować. W oczach miał łzy i łkając, witał Matkę Najświętszą. O Matko Boska, Panienko święta — zawołał, dodając wiele dziwnych i słodkich imion, których nie rozumiałam — on, przez którego usta przechodziły dotychczas same przekleństwa.

Byliśmy wszyscy wzruszeni. A ja zrozumiałam w owej chwili, że ten, kto tak bardzo miłuje Marję, zginąć nie może, Marja poda mu rękę, jak w owej legendzie o śpiewaku „Stabat Mater“ i wprowadzi go do królestwa Swego Syna. Bo czyż ta miłość wrodzona do Matki Najświętszej, nawet w takiej biednej duszy, pozbawionej wszelkich szlachetnych porywów, czyż nie jest oznaką wybrania?...

Na odwrotnej stronie obrazka był napis, który sobie przepisałam:

„Pozdrowienia najserdeczniejsze z Krakowa z życzeniem rychłego powrotu do zdrowia za przyczyną Najśw. Panienki z Jasnej Góry!

Kraków 1915.

Ks. Dominik Ściskała, kapelan wojskowy.“

Życzy mu wyzdrowienia. Wszystko w ręku Boga.

Potem rozdałam resztę obrazków i książeczek pomiędzy Polaków i Rusinów w innych salach. Gdy roznosiłam wino, papierosy i ciastka, stawał zwykle każdy chory na bacność koło swego łóżka, a dziś pchali się jak małe dzieci

koło matki, rozdzielającej chleb. Następnie biegł każdy z nich do stołu i czytał lub sylabizował półgłosem, jak uczeń przygotowujący lekcję.

Przypatrzyłam się jeszcze raz Madonnie. Taką kochają oni wszyscy tam w Polsce. Może dla nas Niemców jest ona początkowo trochę odrażająca z czarną swą twarzą, ale im dłużej jej się przypatrywać, tem staje się piękniejszą. — Kiedyś czytałam, że to oznacza tajemnicę Jej pannieństwa i macierzyństwa równocześnie.

Kiedym miała opuścić salę, zbliżyła się do mnie siostra Julja Jaworska, mówiąc:

„Proszę Pani — Smutniak prosi, bym Pani powiedziała, że odkąd jest w szpitalu, nigdy jeszcze nie był tak szczęśliwy.“

„O, zauważyłam to, poznałam po jego oczach, ale proszę mi powiedzieć, dlaczego Smutniak, całując mnie dziś w rękę, obrócił ją i pocałunek złożył na dłoni?“

„On od dnia dzisiejszego stale tak będzie robił, ale nikomu więcej tylko Pani i księdzu. Pani przyniosła mu dziś Matkę Najświętszą, ręka Pani jest dla niego świętą, chce więc Pani specjalnie okazać tem uszanowanie i czcić ją jak kapłankę.“

Następnego dnia prosił Smutniak o księdza.

W kilka dni potem, koło godziny jedenastej w nocy, kiedy było znać, że niedługo skończą się jego cierpienia na zawsze, poklękali koledzy koło Smutniaka, a siostra Julja, zdjawszy z okna wizerunek Matki Boskiej z Jasnej Góry, trzymała go przed umierającym. Jeszcze jedno tchnienie, drugie i skończyło się wszystko. Oczy jego przestały patrzeć na obraz, za to dusza ułana Smutniaka

stała tam, gdzie już nie w obrazie, ale twarzą w twarz oglądać może Marję w Królestwie Jej Syna...”

Dęblin, 22 kwietnia 1917.

Jesteśmy pod wrażeniem rewolucji rosyjskiej i ofensywy francuskiej na zachodnim froncie.

Rewolucja rosyjska przyszła nagle i dziś mamy republikę rosyjską. Brzmi to jak paradoks jaki. A to jednak prawda. Powstała nagle wśród wojny, nie wiadomo czy się długo utrzyma. Na razie istnieje jednak, a radykalne stronnictwa biorą w niej górę: Rodzianko, Miljukow, Kierenski, Czeitidze, Lenin.

Z przewrotem tym łączy się wiele nadziei — przede wszystkim pokojowe. Wszyscy są zdania, że naród rosyjski zażąda stanowczo zakończenia wojny. Na tej podstawie Austria i Niemcy ogłosiły na nowo gotowość zawarcia pokoju z Rosją. Równocześnie socjaliści wszystkich krajów urządzają konferencję pokojową w Sztokholmie.

Dla sprawy polskiej okazuje się przeciąganie się wojny, przynajmniej na razie, korzystne. Obecnie godzi się na Polskę niepodległą i Rosja i Anglja i Francja. Obie strony wojujące zasadniczo zgodne. Mają tylko odmienne poglądy co do obszarów Polski — Niemcy marzą np. o zabraniu Polsce Zagłębia dąbrowskiego i części Kalińskiego.

Okupacja utrzymana nadal z dawnymi ograniczeniami. Jedynie w szkolnictwie widać rozwój i postęp. O Radzie Stanu wiadomo tylko z gazet, ale nie z życia. W sprawie wojska pol-

skiego niepewność. Legjony zostały oddane gen. gub. warszawskiemu Beselerowi. Stało się to nagle i zaskoczyło całą opinię. Nie oddano Legionów Radzie Stanu, lecz Beselerowi, który tem samem staje się jakby regentem Królestwa polskiego. Beseler zapowiada też rychłe tworzenie armji polskiej. Społeczeństwo czeka, co z tego wyniknie.

Po większych miastach rozruchy głodowe. Mamy teraz przednowek. Wobec zeszłorocznego nieurodzażu ciężko będzie przetrwać. Ogólnie zmniejsza się w wojsku porcje i ogranicza się wszystkim utrzymanie. Dla ludności cywilnej wprowadzono urzędy aprowizacyjne, które wydają artykuły pierwszej potrzeby tylko na kartki. Z kim się spotkać, każdy mówi teraz o je-dzeniu.

Jakoś tak czuć w powietrzu, jakby w społeczeństwach zaczynał się ferment, jak wtedy w roku 1848, zwiastujący idącą ku nam wiosnę narodów.

Rewolucja rosyjska oddziaływa na umysły. Musi chyba dojść prawie wszędzie do poważnych zmian w wewnętrznym ustroju państwowym. Wyczuł to cesarz Wilhelm i w t. zw. „liście wielkanocnym“ zapowiedział rewizję i zdemokratyzowanie ustroju państwowego. Obecnie centralne państwa są najbardziej absolutystycznymi i stają do walki z republikami o szerokich podstawach demokratycznych.

Dęblin, 16 maja 1917.

Byłem wczoraj w Kazimierzu nad Wisłą. Jest tam oddział wojska przy robotach fortyfikacyjnych, prowadzonych z Dębłina. Trzeba było dać

żołnierzom sposobność do spowiedzi wielkanocnej i odprawić nabożeństwo dla nich.

Droga pierwszorzędna, z Puław przeszło 3 mile. Nie przypuszczałem, że nad Wisłą znajdę takie śliczne krajobrazy i zakątki. Zupełnie co innego niż okolice Dęblina. Pagórki, wąwozy, wzgórza, jary.

Przed miastem mija się kilka starych, potężnych śpichlerzy zbożowych, na górze ruiny dużego kiedyś zamku, a opodal baszta okrągła z białego kamienia miejscowego.

Sam Kazimierz, dziś zupełnie podupadłe miasteczko, prawie zapomniane, był kiedyś bogatym miastem portowym nad Wisłą, w czasach, kiedy z braku kolei cały ruch transportowy koncentrował się na Wiśle. Do Kazimierza zwożono z całego kraju żyto, pszenicę, by je spławić dalej galarami do Gdańska, a stamtąd nawet do Anglii. Wszędzie też widać zabytki i świadectwa dawnego dobrobytu i świetności.

Zwracają uwagę przedewszystkiem duże kamienice na rynku, jakby przeniesione żywcem z Norymbergi lub Gdańska, o starej architekturze renesansowej z XVI wieku. To kamienice patrycjuszów kazimierzowskich — Przybyłów. Fasada posiada ładne ornamenty, reszta domów z podsieniami przypomina stare domy jabłonkowskie i bielskie.

Kościół parafjalny duży, ma bardzo ładny ołtarz główny z marmuru z srebrnymi ozdobami. Jest jeszcze i kościół franciszkański, dziś bez zakonników oczywiście. Jedna dzielnica miasta leży w gruzach, spalona w czasie wojny.

Po nabożeństwie i po wypowiedaniu żołnierzy zwiedziłem rzeczy godne widzenia w towarzystwie ks. Żółtowskiego, a potem zabrałem go wraz z ks. proboszczem Boratyńskim na samochód i pojechaliśmy w trójkę na odpust św. Zofji w Włostowicach koło Puław, gdzie miałem kazanie odpustowe u ks. kan. Słabczyńskiego.

Dęblin, 21 maja 1917.

Rewolucyjny rząd rosyjski wydał manifest do Polaków:

Polacy!

Były polityczny ustrój Rosji, źródło waszego ujarzmienia i niezgody naszej, jest już na zawsze obalony. Polacy — oswobodzeni. Rosja pośpiesza przesłać wam pozdrowienie braterskie. Powołuje was do życia i wolności.

Bracia Polacy! I dla was wybije godzina wielkiej decyzji. Wolna Rosja wzywa was do swoich szeregów do walki za wolność ludu. Lud rosyjski, który zrzucił z siebie jarzmo, uznaje i dla was, braterskiego ludu polskiego, zupełne prawo stanowienia własnymi środkami o losie swoim. Wierny umowie ze sprzymierzeńcami, wierny wspólnym planom walki z żadnym zatargów germanizmem, Rząd Tymczasowy uważa utworzenie niepodległego Państwa Polskiego, złożonego ze wszystkich tych terytorjów, których większość ludności składa się z Polaków, za rękojmię trwałego pokoju w przyszłej nowo powstającej Europie. Związane z Rosją wolną unją militarną Państwo Polskie tworzyć będzie wał mocny przeciwko

naciskowi mocarstw centralnych na narody słowiańskie. Oswobodzony i zjednoczony lud polski określi sam swój ustrój państwowy przez wyrażenie woli swojej na zebraniu konstytucyjnym, zwołanem na podstawie głosowania powszechnego do stolicy Polski.

Bracia Polacy! Ujmijcie dłoń braterską, którą wyciąga do was wolna Rosja. Wy wierni stróże wielkich tradycji przeszłości, powstańcie teraz, aby rozpocząć epokę odbudowania Polski. Niechaj przyszłą jedność państw naszych poprzedzi jedność naszych uczuć i naszych serc. Naprzód do walki! Ramię przy ramieniu, ręka w rękę za waszą i naszą wolność!

Ks. Lwow, prezes gabinetu i minister spraw wewnętrznych.
Milukow, minister spraw zewnętrznych.

Kerenskij, minister sprawiedliwości.

Niekrasow, minister komunikacji.

Konowałow, minister handlu i przemysłu.

Manuilow, minister oświaty.

Guczkow, minister wojny i marynarki.

Szyngarew, minister rolnictwa.

Tereszczenko, minister finansów.

Godniew, kontroler państwa.

Dęblin, 4 czerwca 1917.

Wróciłem z objazdu oddziałów wojskowych, zajętych fortyfikowaniem linii Wisły po jej lewym brzegu, od Dębłina przez Górę Puławską, Solec do Ciszycy i Zawichosta.

Chodziło o urządzenie w kilku punktach nabożeństw, szczególnie tam, gdzie niema kościo-

łów i o umożliwienie wszystkim oddziałom wojskowym spowiedzi wielkanocnej.

Najprostszą rzeczą byłoby zamówić łódź motorową i pojechać Wisłą. Jednak stan wody w tym roku jest tak niski, że możnaby utknąć gdzieś na mieliźnie i pozostać tam cały dzień lub też dłużej.

Trzeba było wobec tego sięść na wózek, zabrać aparaty kościelne i rozpocząć formalną podróż misyjną. Dróg bitych na lewym brzegu nie ma, jeździ się więc piaskami lub drogami polnemi.

Pierwsze nabożeństwo wyznaczyłem w Górze Puławskiej. Z Dębłina jedzie się wzdłuż Wisły do Puław 23 km, potem przez most na Wiśle, mający 680 m długości, zbudowany przez okupantów, i dojeżdża do Góry Puławskiej, leżącej naprzeciw Puław. Kościół niewielki, stoi na górze, widoczny zdaleka, nadwyrężony w czasie wojny skutkiem ostrzeliwania go granatami.

Żołnierze czekają w kościele. Najrozmaitsze wśród nich narodowości: Polacy, Niemcy, Czesi, Słowacy, Kroaci i przymusowi robotnicy cywilni z różnych powiatów Królestwa polskiego.

Wyspowiadali się prawie wszyscy. Przemówiłem do nich, starając się podnieść ich na duchu — powiedziałem im, że wszystko wskazuje na to, że wojna osiągnęła już punkt kulminacyjny i teraz musi dojść do jakiegoś rozwikłania i może dać Bóg, że fortyfikacje te będą już niepotrzebne.

Zato budujmy wytrwale fortyfikacje duchowe! Bo istnieje nieprzyjaciół, wróg, który walczy i naciera na nas nie przez trzy lata, ale przez całe życie, od kolebki aż do grobu. A walczy z nami

o najcenniejszą rzecz — o duszę naszą. Wszędzie nas niepokoi i w domu i na wojnie. Dlatego też, budując rowy, zasieki, ganki podziemne ku obronie Ojczyzny, pamiętajmy o zabezpieczeniu duszy naszej, pamiętajmy o zbawieniu! Nie wierzymy tym, co powiadają, że na wojnie wszystko wolno, że przykazań niema! Stary Bóg nie umarł, jeszcze żyje i żyć będzie, bo wieczny i każdy z nas przed Nim stanie kiedyś. Masz jedną tylko duszę, nie dwie, nie trzy, nie dopuszczaj do niej grzechu, broń się przed grzechem modlitwą, Sakramentami św. i kiedy dziś pogodziłeś się z Panem Bogiem w spowiedzi świętej, kiedy Go masz teraz w sercu swoim, to żyj z Nim w zgodzie, nie wypędzaj Go stamtąd! Bądź porządnym żołnierzem, ale i porządnym człowiekiem.

„Bo do Boga wiesz, że jedna tylko droga“*).

Po skończonem nabożeństwie zauważyłem na cmentarzu kościelnym kilka grup dzieci w wieku szkolnym. Uczyły się czegoś. Objaśniono mnie, że to nauka przed pierwszą spowiedzią i Komunią św. W każdej grupce jedno ze starszych dzieci czyta z katechizmu zdanie po zdaniu, jedną definicję czy odpowiedź za drugą i dzieci tak długo ją powtarzają, aż im utkwi w pamięci. Dopiero potem następuje egzamin. Egzaminuje ksiądz lub organista.

O jakimś metodycznym nauczaniu niema mowy. Na tem tle rozumie się dopiero, dlaczego wiadomości religijne mas ludowych są takie bar-

*) Krasieński, Psalmy przyszłości.

dzo nikłe i skąpe. Taka nauka nie podnosi ani rozumu ani woli, nie wpływa na życie, nie wiąże się z życiem i stąd w katolickim kraju brak katolickiego życia i katolickich zasad.

Po herbacie pojechałem dalej wzdłuż Wisły do miejscowości Wojszyn. Droga przeważnie piaszczysta, konie idą powoli noga za nogą, wśród gorąca i południowego skwaru. Wjeżdżamy przed niewielki dworek, otoczony ogromnym murem. Zabudowania całe, nieuszkodzone, ale splądrowane przez różne oddziały wojskowe. Od strony Wisły prześliczny widok na duży, kwitnący ogród, rozłożony na pochyłości, dochodzącej do Wisły. Po drugiej stronie rzeki w dole Kazimierz.

W poszukiwaniu odpowiedniego miejsca w ogrodzie na jutrzejszą Mszę św. polową, wszedłem na taras. Wydał mi się odpowiedni. Ludzie, stojąc na dole, będą mogli widzieć wygodnie ołtarz.

Rozglądając się, zauważyłem za szklanymi drzwiami jakąś starszą panią, obserwującą mnie nieżyczliwie. Siedziała na krześle plecionem — widocznie schorowana, słaba. Na mój ukłon ledwo skinęła głową. Zrozumiałem, że jestem w tym domu niepożądanym gościem.

Dopiero, kiedy wyjaśniło się, że jestem księdzem katolickim i gdy poprosiłem o pozwolenie odprawienia nazajutrz Mszy św. na tarasie, w jednej chwili zaszła zupełna zmiana. Staruszka, jak się okazało, sparaliżowana, ucieszyła się ogromnie, że w jej domu będzie Msza św. Może ta Msza św., może Pan Jezus przyniesie nareszcie pokój

do jej domu, który tak dużo w czasie wojny ucierpiał. W mieszkaniu zastałem przerażające pustki, łóżko zbite z desek, dwie czy trzy ławki, jakaś półka i więcej nic. Byłem szczerze wzruszony, gdy mi wieczorem przysłała poduszkę i kołdrę, bym miał na czym spać — nie mogłem jednak przyjąć, wiedząc, że musiałyby sama się ograniczać. Mnie zawsze łatwiej, niż chorej staruszce, przespać się na gołej ławie.

Rano wyszedłem do ogrodu. Widok prześliczny, wprost wymarzony. Zdaje się, że mało kto w Polsce wie, jak tu ładnie.

Patrząc na to wszystko, odtwarzałem sobie w wyobraźni czasy, kiedy tu życie tętniło, kiedy tam na dole Wisłą mknęły liczne galary, przewożące złotą pszenicę. Dziś wszystko ustało, zmieniło się. Wtedy Polska była wielka, potężna, sięgała do morza, odzyskawszy za Kazimierza Jagiellończyka Pomorze i Prusy, a głównie Gdańsk, po zwycięskich wojnach z Krzyżakami.

Cała Wisła była wtedy w polskich rękach, wolna. Dzisiaj inaczej!

Na tarasie tymczasem urządzał Andrzej ołtarz polowy, żołnierze znosili zieleni i upiększali miejsce, obrane na nabożeństwo wojskowe. Wyspowiadałem wszystkich żołnierzy, stacjonujących w okolicy Wojszyna, a o godz. 8 rozpocząłem Mszę św. przy licznym udziale ludności ze wsi i działwy szkolnej. Pogoda była prześliczna, słońce ranne opromieniało ołtarz oraz zebranych żołnierzy i lud.

Po Mszy św. zwiedziłem jeszcze szkołę, wyegzaminowałem dzieci z religii i pojechałem dalej.

Następny etap: wieś Lucima i Białobrzegi nad Wisłą.

W Lucimie zamieszkałem w chałupie chłopskiej, gdzie masy much znęcały się nade mną w czasie całego pobytu. Mszę św. z nauką odprawiłem przed chatą, w której mieszkałem, do spowiedzi przystąpili nietylko żołnierze, ale i miejscowa ludność.

W Białobrzegach nad Wisłą zakończyłem na razie marszrutę, żeby na niedzielę wrócić do Dęblina. Tam tak samo ustawiono ołtarz na skraju wsi koło drogi. Cała wieś świętowała i wzięła udział w nabożeństwie, choć z początku nie bardzo mi ufali, bo przyjechałem bez sutanny.

Po drodze zwiedziłem ruiny wspaniałego ongiś zamku w Janowcu, przedstawiające się jeszcze okazale od strony południowej, zniszczone jednak kompletnie od północnej.

W tym tygodniu byłem na odcinkach fortyfikacyjnych w Ciszycy, w Woli Pawłowskiej, w Raju i w Solcu nad Wisłą. Pomimo znużenia, połączonego z tygodniową wyprawą, jestem z niej bardzo zadowolony. Wszędzie było dużo pracy nad duszami, które już dawno nie słyszały słowa Bożego i pozbawione kontaktu z księdzem i kościołem, może nawet zdziczały trochę. Ale wystarczy trochę serca, parę serdecznych, ciepłych słów do tych biedaków, wymęczonych przez wojnę, a znowu korzą się przed Bogiem, znajdując drogę do swego Pana i Boga. Ogromna jest siła,

tkwiąca w prawdach religijnych. Wystarcza je wskazać, przypomnieć, a wraca nowe życie.

Kto ma sposobność zająrzeć nieraz w serca ludzkie, tego musi przejąć podziw nad tajemniczym działaniem łaski Bożej, która umie dostosować się do każdego człowieka, do każdej sytuacji, wykorzystać wszystko, by człowieka, choćby nie wiem jakie miał przewinienia i zaniedbania, podnieść i pojednać z Bogiem.

Kto umie patrzeć w serca ludzkie, ten widzi cudny świat tajemniczy, niezgłębiony, ozłocony promieniami Bożej dobroci i Bożego miłosierdzia. I człowiek wtedy nie wychodzi z podziwu, chciałby tylko klęczeć w zachwycie, uwielbiać i dziękować i wołać: Wielbij duszo moja Pana — Magnificat — Alleluja! Quia fecit magna, qui potens est.

Są radości w sferze duchowej, rozpierające duszę — radości, których nie można z niczem porównać, które nie dadzą się opisać. To zadatek tego, co nas czeka w wiecznem oglądaniu i radowaniu się Bogiem.

Tak i mnie po powrocie z tej pracy uciążliwej, wśród skwaru, kurzu i niewygód, wszystko w duszy gra dziwny a rzewny hymn radości i wdzięczności dla Boga za wszystko, co mnie i żołnierzom kochanym uczynił, a głównie za to, że Ty jesteś Boże, że istniejesz, żeś taki bezbrzeżnie dobry i żeś szczęście nasze związał tak ściśle z chwałą Swoją!

Dęblin, 8 sierpnia 1917.

Byłem w lipcu na urlopie. Odwiedziłem ojca, a potem spędziłem kilka dni w Wiedniu u znajomych, następnie wstąpiłem do Maria-Zell w Styrii do cudownej Matki Boskiej wysoko wśród Alp, a w drugim tygodniu pojechałem przez Salzburg, przez Berchtesgaden do Monachjum i Norymbergi.

Monachjum zwiedziłem dość pobieżnie, głównie kościoły, pinakotekę. Natomiast zrobiła na mnie wrażenie Norymberga. Ulice, domy jak obrazki z XVI wieku. Prześliczne fasady, koło miasta mury dawne, dobrze utrzymane, fosa, baszty, bramy. Taki musiał być kiedyś Kraków dawny. Tu zachowane wszystko z całym pietyzmem. Dom Dürera, utrzymany dotąd w pierwotnym stanie, wygląda jak z bajki — mieści się w nim muzeum sztychów i innych prac Dürera. Kościoły to prawdziwe muzea. Koło głównych ołtarzy w ścianie starodawne, u nas już niespotykane „domki Najśw. Sakramentu“, „Sakramentshäuschen“ z czasów, kiedy Najśw. Sakrament przechowywano nie w ołtarzach, ale w specjalnych szafkach, w ścianach obok ołtarza. Ogromnie dużo szczegółów przypomina krakowski kościół Marjacki. Bo też tu i tam pracował ten sam mistrz nad ozdabianiem kościołów — Wit Stwosz. Gdzie się ruszyć, widać jego charakter, jego rękę, jego szkołę. Kilka kościołów po reformacji zabrali protestanci. Przykre wrażenie robi taki dawny kościół katolicki z szeregiem ołtarzy, obrazów, figur zupełnie katolickich, których nie

ruszano — są np. wymalowane wszystkie tajemnice Różańca św. — a koło głównych drzwi stoi posąg marmurowy — Marcina Lutra.

Duże wrażenie robi muzeum miejskie w dawnym zamku, z osobnym działem narzędzi katowskich t. zw. „Folterkammer“. Najohydniejsze narzędzia do męczenia i katowania, do wrywania zębów, wykłuwania oczu, łamania żeber i kości, do ścinania głów, naciągania całego człowieka na walec drewniany, rozszerzania jamy ustnej.

Przykre wrażenie robi t. zw. „żelazna panna — Eiserne Jungfrau“. Postać kobiety ogromnej, zrobionej z grubej blachy. Postać składa się z dwóch części, przedniej na zawiasach, tak, że można otwierać i zamykać ją jak drzwi, a tylna nieruchoma. Na obu częściach wewnątrz są długie, ostre sztylety. Do wnętrza wstawiało się skazańca i potem gwałtownie go tam zamykano, a zamykając, przebijano wszystkimi sztyletami, które jednocześnie wchodziły w ciało z przodu i z tyłu, począwszy od głowy, oczu, szyi, piersi, na nogach skończywszy.

Człowiek patrzy i oczom własnym nie wierzy, by ludzie mogli tak się nad bliźnim pastwić i znęcać.

Są tam także beczki wewnątrz pełne ostrych gwoździ. Skazańca umieszczono w beczce i toczono ją po ziemi.

My jednak w Polsce, o ile wiem, nie mamy takiego strasznego „muzeum“. Myśmy widocznie do podobnych praktyk ohydnych nie byli zdolni. Zarzucają nam różne nadużycia, ucisk chłop-

stwa, niewolę pańszczyźnianą, ale podobnych za-
bytków i pamiątek nikt w Polsce nie odnalazł.
Obok kultury wysokiej, obok piękna w dawnej
Norymberdze — wyrafinowane barbarzyństwo i
okrucieństwo.

W atakach na Polskę, jakich tu ciągle w Dę-
blinie muszę się nasłuchać od różnych pułkowni-
ków, majorów i innych oficerów, mam obecnie
znakomitą broń. Przywiozłem sobie szereg foto-
grafij z owej „Folterkammer“ i demonstruję im
jako dowody „postępu i kultury“.

Jako uzupełnienie służy fotografia z masowej
egzekucji w Piotrkowie, gdzie powieszono obok
siebie jedenastu ludzi i bezpośrednio po egzekucji
wyfotografowano. Obok tych barbarzyństw stoi
godnie tak modne dziś zatapianie, torpedowanie
okrętów z setkami bezbronných podróżnych.

Nastroje wszędzie, gdzie byłem, nieszczęgól-
ne; w Monachjum słyszałem kilka razy słowa
ostrej krytyki państw centralnych i ich polityki.
Na frontach „zwycięstwa“, a w kraju coraz więk-
sza bieda. Brak chleba, mięsa, pomimo wprowa-
dzenia przymusowych dni bezmięsnych w Au-
strji i w Niemczech — brak cukru. powszechnie
w użyciu sacharyna. Kto nie posiada dawnych za-
pasów, temu bardzo ciężko. Wszyscy są znużeni
wojną, zaczynają ją odczuwać nietylko ci, co na
frontach walczą, ale w coraz dotkliwszy sposób
także ci, co zostali w domu.

Niechęć do wojny, niezadowolenie zatacza,
widać coraz szersze kręgi.

W tych dniach wystąpił Ojciec św. Benedykt XV z energicznym i pełnym powagi upomnieniem ojcowskiem pod adresem panujących i kierowników państw wojujących, by nierozumną wojnę stanowczo skończyli i tak uregulowali granice państw i kwestje sporne, by raz na zawsze znikła wszelka krzywda i niesprawiedliwość, wynikająca z pychy i podeptania przykazań Bożych.

Dotychczas nie wolno było nawet mówić o pokoju.

Dęblin, 27 sierpnia 1917.

Czas upływa, mijają dni, miesiące, lata — wojna trwa ciągle, jakby trwać musiała, jakby miała równie silne uzasadnienie jak pokój. Mamy już czwarty rok wojny, wbrew wszelkim przepowiedniom i obliczeniom. Czas upływa, a z nim i życie, historia narodów, ludzkości. Wszystko toczy się swoim trybem, ale odczuwa się we wszystkim jakiś pośpiech i przyspieszenie tętna dziejowego. Tygodnie przynoszą obecnie to, co zwykle przeżywa się w ciągu długich lat. Rewolucja rosyjska wywraca wszystko, przekształca całe ogromne państwo, oddziaływa na Europę, wymuszając demokratyzację wszelkich innych ustrojów państwowych.

Niebezpieczeństwo, grożące Austrii, że Niemcy w państwie wezmą górę, że odżyje stary system centralistyczny, minęło z przywróceniem parlamentaryzmu. Takich mocnych objawów żywotności poszczególnych narodów i krzyku za

sprawiedliwością, za prawem do życia i do rozwoju narodowego, nie słyszano jeszcze w Austrii nigdy.

W Niemczech dochodzi do głosu kierunek wszechniemiecki, antypolski i aneksyjny, nie zgadzający się na odstąpienie „zdobytej” Polski.

Legjony mają przejść do armji austriackiej, według rozkazu Komendy Legjonów z soboty 25 sierpnia. Tem samem okupanci zrezygnowali z tworzenia armji polskiej. Jesteśmy zatem tam, gdzieśmy byli na początku — tylko już bez iluzji, bez marzeń i złudzeń.

Dęblin, 27 sierpnia 1917.

W Legionach w Dęblinie od kilku dni silny rozłam i ferment od czasu, kiedy Komenda Legjonów, w porozumieniu z Radą Stanu, zażądała od legionistów obywateli Królestwa złożenia przysięgi.

Kilka pułków przysięgę złożyło, w innych nastąpił rozłam: część wykonała przysięgę, część odmówiła, zasłaniając się tem, że ich tekst przysięgi nie zadawalnia. Opornych zwolniono z obowiązków i internowano — oficerów w Zegrzu, żołnierzy w Szczypiornie.

Wywołało to rozgoryczenie i zaczęła się niebezpieczna w każdym wojsku agitacja. Potworzono na wzór rosyjski rady oficerskie i żołnierskie. Tam uchwała się, czy dany rozkaz przyjąć, czy nie. Tem samem Legjony znalazły się na bardzo pochyłej drodze.

Właściwem podłożem jest dążenie lewicy do opanowania Legjonów i do ich usamodzielnienia przez powierzenie Komendy Piłsudskiemu, bo jak mówią: „niema Legjonów, niema wojska, niema Polski ani nawet nieba bez naszego Dziadka“.

Komendant szóstego pułku w Dęblinie ppułk. Norwid-Neugebauer nie złożył przysięgi, został za to zwolniony z komendy. Na jego miejsce przysłano z Warszawy ppułk. Ścibor-Rylskiego, który nie był zwolennikiem Piłsudskiego i był w pułku niepopularnym.

W poniedziałek 20 sierpnia przybył do pułku na inspekcję brygadjer Haller. Wtedy pułk przez delegatów z rady żołnierskiej oświadczył Hallerowi i Rylskiemu, że im wypowiada posłuszeństwo. Na razie dało się jednak rewoltę uspokoić dzięki wpływom kapitanów Terleckiego i Popowicza. Na drugi dzień, we wtorek, odbył się przegląd wojskowy bez wszelkich trudności.

W środę wyruszył pułk na tygodniowe ćwiczenia do Krasnoglin i Moszczanki koło Dębłina. Tymczasem w czwartek koło południa pułk uchwalił wrócić do koszar. Tak samo orkiestra pułkowa bez rozkazu komendy wyszła na powitanie wracających.

Po przejściu przez most na Wiśle rozłożył się pułk na łące między koszarami a fortem Górczalkowa i wysłał deputację do komendanta z żądaniem, by komendant razem z szesnastu oficerami, niesprzyjającymi ich zapatrywaniom (t. zn. nie piszącymi się na politykę Piłsudskiego), opuścili pułk i wyjechali do Warszawy.

Pułkownik zdał raport z tych zajęć u komendanta Dębłina ekscelecji Haama i wyjechał. Z proskrybowanych oficerów pozostał tylko por. Ocetkiewicz, a rada pułku wybrała komendantem kapitana Gigla.

Następnego dnia doszło do zatargu z opornym por. Ocetkiewiczem, który oświadczył, że nie uznaje rozkazów komendantów rewolucyjnych i zostanie na miejscu, póki go Komenda Legionów z zajmowanego stanowiska nie zwolni. A że działo się to pod boki Niemców, którzy mieszkali w tym samym budynku jako instruktorzy, w obawie ekscesów zawezwali bataljon wojska niemieckiego z Warszawy. Bataljon ten, zaopatrzony w cztery karabiny maszynowe, rozlokował się koło fortu Gorczakowa w barakach, przeznaczonych dla mającej powstać polskiej armji.

Sobota zeszła na gorączkowym oczekiwaniu, co będzie dalej.

W niedzielę rano nadszedł rozkaz Komendy Legionów, że pułk szósty zostaje przeniesiony do Przemyśla, a później na front austriacki.

W sytuacji, w jakiej się znalazł pułk szósty w Dęblinie, żołnierze powitali wiadomość tę z pewną ulgą i zadowoleniem.

Jakim torem potoczą się wypadki obecnie, trudno przewidzieć.

Dęblin, 28 sierpnia 1917.

Dziś wyjeżdżają legjoniści z Dębłina. W tej chwili ładują swe bagaże, wozy, tren do wagonów kolejowych, mają wyjechać koło godziny 2-giej po południu.

Wróciłem z dworca, byłem tam, by pożegnać znajomych, z którymi zżyłem się przez czas ich pobytu w Dęblinie. Po drodze spotkałem gromadę żandarmów austriackich, rozstawionych wzdłuż toru kolejowego, dworca i lasku, przyległego do kolei.

Zupełnie niepotrzebne obawy. Wypadki z zeszłego tygodnia należą bowiem już do przeszłości.

Chciałbym wiedzieć, jak osądzi je kiedyś historia, bo dziś trudno się zorjentować w chaosie przeżyć i nastrojów.

Zwolennicy Piłsudskiego nazywają to jedyną drogą do wywalczenia czegoś i sam wyjazd z Królestwa Polskiego uważają za sukces. „Legjony pokazały, co potrafią.“

Złożyła się naturalnie na to wszystko całoroczna bezczynność pułku w Dęblinie i sytuacja, w jakiej się znalazła sprawa polska dzięki nie szczerości okupantów, oraz konspiracyjna agitacja lewicy.

Tworzyło się Legjony z takim trudem, z tylu nadziejami, a dziś ich spoistość i siła załamuje się nie na froncie, lecz we wzajemnej walce.

Dęblin, 20 września 1917.

W sobotę 15 bm. odbyła się w Warszawie i w Lublinie proklamacja patentu cesarskiego z 12 września o ustanowieniu władzy państwowej w Polsce.

Dzienniki wymieniają skład przyszłej Rady regencyjnej w osobach: ks. arcybiskupa Kakowskiego, księcia Lubomirskiego i hr. Józefa Ostrowskiego.

Planowane jest utworzenie ministerstw: sprawiedliwości, nauk, wyznań, robót publicznych, sztuk pięknych i rolnictwa.

W memorjale z 15 września do c. i k. rządu domaga się tow. Daszyński w imieniu Koła polskiego powierzenia dowództwa Legionów brygadjerowi Piłsudskiemu, „który najlepiej rozumie charakter tego wojska i który posiada w całej pełni zaufanie legionistów i narodu“.

Dęblin, 19 października 1917.

W niedzielę przeżywałem w kościele dużo radości z okazji poświęcenia nowego ołtarza i obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Od samego początku dało się odczuwać brak obrazu Matki Boskiej. Ale jakoś ciężko szło, nie było środków na urządzenie ołtarza. To samo odczuwała i ludność, biorąca w niedzielę udział w nabożeństwach i zaczęły się od dłuższego czasu na ten cel samorzutne składki, najprzód wśród młodzieży, potem wśród starszych. To umożliwiło zamówienie obrazu Matki Boskiej w Warszawie u Łopieńskich.

W niedzielę odbyło się uroczyste poświęcenie. Przybyło kilku księży z okolicy, by uświetnić ten piękny akt, i ściągnęły ogromne rzesze ludu, z dalekich nawet stron. Jedni piechotą, drudzy furmankami, inni koleją od Łukowa, od Puław, Garwolina i Kozienic. Wszystkich zgromadziło tradycyjne w Polsce przywiązanie do Matki Najświętszej. Chyba pierwszy raz oglądała dawna cytadela rosyjska takie masy ludu polskie-

go, co przysły na uroczystą intronizację Królowej Korony polskiej w dawnej świątyni rosyjskiej.

Temat do kazania na tę śliczną uroczystość sam się nasunął: Magnificat — Wielbij duszo moja Pana, za te wszystkie dziwy i cuda, jakich jesteśmy świadkami na tem miejscu w byłej cerkwi.

Pismo św. przekazało nam niewiele słów, wypowiedzianych przez Matkę Boską. Między innemi precudny hymn radości i uwielbienia Boga, wyśpiewany przez Matkę Najświętszą, kiedy wstąpiła w progi św. Elżbiety z nowiną, że została Matką Syna Bożego.

„Wielbij duszo moja Pana... iż wejrzał na pokorę służebnicy Swojej... Który uczynił mi wielkie rzeczy... złożył mocarzy ze stolicy, a podwyższył pokorne... łaknących napelnił dobrami, a bogaczy próżno odprawił.“

Magnificat, to zasadniczy ton przeczyszczonej duszy Marji i Jej stosunku do Boga.

Marja śpiewa Magnificat przy powitaniu się ze św. Elżbietą, śpiewa go potem wśród najrozmaitszych sytuacji w życiu. Czy dobrze, czy źle — „Wielbij duszo moja Pana!“

Idzie znudzona do Betleem, do miasta rodzinnego, nie może znaleźć schronienia, — mimo to z głębi duszy woła: „Wielbij duszo moja Pana!“ Potem rodzi Syna Swego w ńędzy, w stajni, jakby wydziedziczona z pośród „swoich“ i wtedy nie narzeka, ale szepce: „Magnificat“. Następnie przebywa na ucieczce w obcym kraju, w Egipcie, nie skarży się. W duszy Jej dźwięczy zawsze — „Wielbij duszo moja Pana!“ A gdy przeżywa całą mękę Swego Najświętszego Syna, wśród straszne-

go cierpienia, woła z poddaniem się woli Bożej — „Magnificat“.

Tak wygląda modlitwa Matki Najświętszej we wszystkich przejściach, we wszystkich chwilach i kryzysach Jej życia.

A czy nasze życie obecne, nasza dola nie przypomina nam życia i niedoli Matki Najświętszej?

I z pomiędzy was iluż to tułało się całemi miesiącami na obczyźnie w czasie wojny i z was niejeden, gdy wrócił do „swego“, nie zastał nic i dotąd mieszka w stajni z bydlętami. — A ilu to z was nie doczeka się synów, braci, ani ojców rodzin, bo jedni zabici, a drudzy zginęli bez wieści!

A ile to biedy w tej Polsce i ten brak chleba, bo go zabierają obcy, — czy to nie podobne do życia i krzyżów Najświętszej Panny?

Ona miała na wszystko jedną odpowiedź: „Magnificat!“

Widzisz, — naucz się i ty od Niej tej cudownej pieśni marjańskiej: Wielbij duszo moja Pana!

Przyrzeczmy Jej dziś wszyscy, w dzień Jej intronizacji w tym kościele, że przez życie całe nie odsuniemy się od Boga i Jego Najśw. Matki, ale zawsze za przykładem Marji wołać będziemy: Magnificat! Wielbij duszo moja Pana!

Wiesz, ludu kochany, co ci za to obiecuję? Oto jak Najśw. Panna przezwyciężyła wszystko, dziś wywyższona, króluje w niebie, tak przy Jej pomocy przezwycięzysz i ty te czasy obecne, dożyjesz lepszych dni w wolności i swobodzie, minie głód, minie nędza, ucisk i zaśpiewamy może nie długo wszyscy — Magnificat:

„Złożył mocarzy ze stolicy a podwyższył pokorne... łaknących napełnił dobrami, a bogaczy próżno odprawił...”

I jakby Matka Najświętsza chciała udowodnić, że króluje, że panuje w tym kościele, dała dziś dowód Swej dobroci.

Kiedys, przed kilku tygodniami, spotkałem żołnierza, dawnego oficera zdegradowanego. — W kościele nie widywałem go nigdy. Słyszałem, że pisze ładne wiersze, że poeta. Twarz jego myślała, ale znać, że ten człowiek przeszedł dużo, przecierpiał wiele i że ma coś, co go gniecie i boli, że jest nieszczęśliwy. Zaproponowałem mu, by napisał wiersz do Niepokalanej na poświęcenie naszego obrazu.

I napisał hymn do Matki Bożej, w którym złożył wszystkie swe męki duchowe, swój żal do Boga i ludzi. Przyniósł mi go przed tygodniem. Odbija się w całym utworze skołatana, biedna, bardzo nieszczęśliwa dusza.

Widziałem potem autora w kościele w czasie poświęcenia obrazu, a dziś, po wielu, wielu latach przystąpił do spowiedzi i Komunii św.

Tak wspaniałomyślnie wynagradza Marja tych nawet, co po latach zapomnienia do Niej się zwróca.

Dęblin, 25 lutego 1918.

Nie pisałem dawno. Przeżywamy takie rzeczy, że boli ich czytanie, coś dopiero opisywanie.

Przedewszystkiem traktat pokojowy państw centralnych z Ukrainą, zawarty 9 lutego w Brześciu Litewskim. Jest to czwarty rozbiór Polski. Chełmszczyzna i część Podlasia została przez Niemcy i Austrię oddane „Ukraińskiej Republice ludowej“. Linja graniczna biegnie od Galicji przez Tarnogród linją Biłgoraj-Szczebrzeszyn-Krasny-staw-Puchaczów-Radzyń - Międzyrzec - Sarnaki-Mielnik-Wysokie litewskie-Kamieniec litewski-Prużany-Jezioro wygonowskie.

Niema polskiego serca, któreby nie krwa-wiło boleśnie w poczuciu krzywdy, narodowi wyrządzonej. To, na co się w Brześciu zdecydowali v. Kühlmann i hr. Czernin, stanowi jedną z najciemniejszych kart w politycznej historii świata. Ogłoszono niepodległość narodu, rozpisywano się długo i szeroko o własnej wspaniałości, nakazywano być sobie wdzięcznym za uzyskaną wolność, deklamowano dużo o przyja-

żni, a w końcu sprzedano nas bez naszej wiedzy i woli, nie dopuszczając Polski do udziału w układach.

Przez całą Polskę przeszedł jeden krzyk oburzenia.

I to oburzenie zjednoczyło w Polsce wszystkich. Dziś pozostała jedna tylko orientacja. Wszyscy wiedzą już, czego chcieć i co robić.

W Warszawie rozpoczęły się 12 lutego demonstracje, na 14 lutego ogłoszono strajk powszechny, który stał się ogólnym strajkiem narodowym, wszystkie instytucje i sklepy zamknięto, ruch na ulicach był olbrzymi.

Rada Regencyjna wydała manifest do narodu z protestem: „piętnując akt przemocy“, „przekażemy następcom naszym, co wzięliśmy z krwi ojców, a nie uznamy pomniejszenia Ojczyzny“. Tak samo zgłosiła dymisję rada ministrów z Janem Kucharzewskim na czele.

W Lublinie podali się do dymisji gen. gubernator Szeptycki, szef rządu cywilnego Madeyski i gen. Pruszyński, spalono oblane naftą portrety cesarza Karola i Wilhelma wśród burzliwych okrzyków i manifestacyj, trwających do późnego wieczora. Równocześnie uchwalono rezolucje, domagające się zerwania stosunków z władzami okupacyjnymi i wzywające Radę Regencyjną w Warszawie do złożenia władzy w ręce narodu, który wyłoni prawowity rząd dla podjęcia walki o nasze prawa.

W Krakowie odbyła się w poniedziałek, 18 lutego wielka demonstracja narodowa, połą-

czona ze strajkiem narodowym w całej Galicji. Stały koleje, wszystkie urzędy i fabryki. Na Rynku krakowskim urządzono olbrzymi wiec wspólny i złożono wspólną przysięgę bronięcia Ojczyzny.

Byli ministrowie i posłowie zwracają cesarzowi Karolowi order i odznaczenia, przedstawicielstwo polskie w parlamencie wiedeńskim i w Izbie panów zwraca się zwartym frontem przeciw rządowi wiedeńskiemu.

I Galicja dziś w swej świadomości nie jest już prowincją austriacką, lecz częścią niepodległej Polski.

Państwa centralne przeliczyły się.

Legjoniści z Hallerem przeszli przez front austriacki na terytorjum Ukrainy, wydając tem samem wojnę Austrii i Niemcom w imieniu Polski pokrzywdzonej. Część legionistów, która nie zdołała podążyć za Hallerem, rozbrojono i umieszczono w obozie jeńców w Huszt na Węgrzech.

Taki koniec Legjonów polskich, walczących po stronie państw centralnych do chwili upadku caratu w Rosji.

Za to w Rosji tworzy się regularna armia polska z Polaków, występujących z armji rosyjskiej po wybuchu rewolucji.

Dęblin, 17 marca 1918.

Władze okupacyjne obawiają się powstania polskiego. Wszędzie zarządzono ostre pogotowie,

zdwojono posterunki, każdy cywil uchodzi za rewolucjonistę lub szpiega. Komenda wojskowa zamknęła zupełnie dostęp do cytadeli, a więc i do kościoła dla ludności z okolicy. Od lutego niema nabożeństw dla ludności cywilnej. Kto się zbliży do budynków komendy lub do cytadeli bez legitymacji, zaopatrzonej fotografią, kto przejeżdża po godzinie 8-mej wieczorem przez most, tego żandarmerja bez miłosierdzia aresztuje. Wobec tego ustał wszelki mój kontakt z ludnością tu-tejszą. Nie wolno jej przychodzić do mnie, — jestem odcięty od wszystkiego, co nie chodzi w mundurze.

Dziś rano miałem przejście z komendantem o aresztowanie nieznanych mi zresztą ludzi, których wczoraj przetrzymano w areszcie za to, że zbliżyli się do cytadeli. Powiedziałem komendantowi, co o tem myślę. Skończyło się wypuszczeniem Bogu ducha winnych ludzi, ale za to znalazłem się pod nadzorem policyjnym. Ludność tłumaczy sobie to wszystko tem, że „dziady mają stracha“.

Komendantem jest Czech major Nemansky.

Dęblin, 23 marca 1918.

Dał mi Pan Bóg teraz inną pracę.

Przed kilku tygodniami przeniesiono do Dęblina lubelski szpital dla chorych, upadłych kobiet. Protestowałem przeciwko temu wszędzie, gdzie się dało, w Lublinie, w Krakowie, w Wiedniu, gdyż uważam Dęblin za najmniej odpowiedni punkt dla tego rodzaju szpitali. Co w więk-

szem mieście znika i nie zwraca na siebie uwagi, to w takim Dęblinie musi rzucać się w oczy i działać ujemnie.

Protesty nie skutkowały i szpital założono w Dęblinie, a że jest pod zarządem wojskowym, więc siłą rzeczy jestem tego szpitala kapelanem. Liczba chorych dochodzi do 300, w tem połowa żydówek i prawosławnych.

Myślałem zawsze, że nie będę się mógł przezwyciężyć, że jedynem uczuciem przy pracy duszpasterskiej nad temi osobami będzie wstręt i obrzydzenie. Tymczasem teraz opanowuje mnie ogromna, bezbrzeżna litość, która pogłębia się jeszcze, gdy spojrzę się w te dusze aż do dna, w tę całą otchłań nędzy moralnej.

W jednym z baraków urządzono kaplicę, jest ołtarz, który same ubierają, są ławki. Co sobotę odprawiam im Mszę św., połączoną z nauką.

Najgorzej, że nie mają żadnego zajęcia. Całe dni, tygodnie siedzą beczynnie — i to demoralizuje może najwięcej. Nic dziwnego, że często powstają kłótnie, sprzeczki, że wpływają na siebie nieraz bardzo ujemnie, a nierzadko usiłują pozbawić się życia. Pełno też mają zawsze skarg i żalów.

W zeszłym tygodniu urządziłem tam rekolekcje, jako przygotowanie do spowiedzi wielkonocej.

Przygotowując te rekolekcje, byłem zaskoczony bogactwem materiału i tematów w Ewan-

gelji, odnoszących się do tego rodzaju rekolek-
tantek.

Jak one wsłuchiwały się całą duszą w opo-
wiadania o nawróconej jawno grzesznicy Marii
Magdalenie! Jak to Pan Jezus, zaproszony przez
Szymona, poszedł na ucztę, a kiedy wszyscy ze-
brani byli przy stole, otwierają się drzwi i do
sali wchodzi niewiasta młoda i piękna. Znają ją
wszyscy, wiedzą, co za jedna. Dziś dziwnie zmie-
niona, onieśmielona. Przystaje na moment, szuka
Jezusa, dostrzega Go, poznaje, przypada Mu do
nóg ze szlochem i płacze, bardzo płacze. Nic
nie mówi, tylko skulona u stóp Jezusowych zale-
wa się łzami serdecznego żalu za swe grzechy, za
zmarnowaną młodość, spędzoną w rozpuście.

Kiedyś szła ulicą. Ktoś, otoczony tłumem,
przemawiał na rynku. Zatrzymała się i wtedy
wpadło jej do duszy kilka słów takich dziwnie
dobrych, kojących, że od tego czasu coś się z nią
dzieje, czego sama określić nie umie. We dnie
i w nocy słyszy głos nieznajomego Nauczyciela.
I czuje obrzydzenie do siebie, zrzuca z siebie
wszystkie klejnoty, stroje i skruszona szuka od
tygodni owego Mistrza. Tylko On jeden będzie
mógł wyciągnąć ją z błota, w jakie zabrnęła, tyl-
ko On potrafi wskazać nową drogę.

I znalazła Go. I oto klęczy u Jego stóp, ob-
mywa te nogi łzami, a na znak wielkiego szacun-
ku namaszcza wonnemi olejkami.

Ci, co byli z Jezusem, potępiają Magdalenę,
brzydzą się nią.

Inaczej Boski Mistrz. Rozgrzesza, nie krzyczy, nie łaje, przebacza. Podnosi rękę nad żalującą grzesznicą, odpuszcza wszystko, co było, bo widzi w jej sercu szczery żal. Jemu to wystarcza, bo dobry, bo miłosierny bez granic.

Dziś i wami ludzie wzgardzili. Odepchnięto was od ludzi, zamknięto tu i otoczono strażą nokoło i drutem kolczastym, jak trędowate.

Jest jednak ktoś lepszy od ludzi, najlepszy, — jest ktoś, co i tu w tem wygnaniu mimo wszystko wyciąga do was Swe ręce i woła: „Pójdźcie do mnie wszyscy, pójdźcie i wy, biedne, bardzo biedne, nieszczęśliwe, wzgardzone!“ On was kocha więcej niż wy same siebie.

I tylko trzeba krok jeden zrobić do Niego, trzeba się zbliżyć z żalem za to, co przedtem było, a kiedy klękiesz jak Magdalena i w spowiedzi szczerzej przyrzekniesz rzucić wszystko, rozpocząć nowe życie, to Ten sam, co Magdalenę rozgrzeszył, rozgrzeszy, przebaczy i tobie, odpuści ci wiele, odpuści wszystko.

Nie jesteśmy nadludźmi ani tytanami, tylko słabemi, ułomnemi istotami. Dlatego Bóg nie dziwi się naszym upadkom, ani ich zaraz nie gromi, tylko patrzy z tęsknotą jak ojciec za zbłąkanem dzieckiem, by usłyszeć: Ojcze przebacz! i „Przepuść Panie, przepuść ludowi Twemu!“

Łzy perliły się w ich oczach i spływały po bladych, wyniszczonych twarzach. W niejednej duszy zaczynał się przewrót na wieść, że Pan Jezus taki dobry, tysiąc razy lepszy od ludzi, że nie potępia nikogo i kiedy raz odpuścił, odpuścił na zawsze i nie pamięta, nie wypomina nikomu.

Wielkie wrażenie zrobiła przypowieść o synu marnotrawnym, co to odszedł od ojca, roztrwonił wszystko, a potem pasał wieprze i karmił się tem, co wieprze dostawały. Niejedna przypomniała sobie lata dziecięce, u boku matki spędzone, swą niewinność, — jak potem zmieniło się wszystko, zasady, wyniesione z domu, poszły w kąt i zatraciło się niewinność, dobre imię, w końcu zdrowie, a dziś upadło się nawet niżej od owego pastucha wieprzów, bo on ma przynajmniej swobodę, a tu jest się otoczoną zasiekami z drutu na całe miesiące. Ale syn marnotrawny wstał, poszedł do ojca, przeprosił, naprawił wszystko. I ty możesz zawsze jeszcze wstać, wrócić do tych zasad, jakie wyniosłeś z domu, pogodzić się z Panem Bogiem, zacząć nowe życie. Ale trzeba sobie raz na zawsze stanowczo powiedzieć: „wiem, co zrobię, wstanę i pójdę do Ojca mego“. Wstań — Pan Jezus i Kościół woła — wstań i idź pogodzić się z Ojcem, a przyjmie cię i przebaczy, jeszcze zanim zaczniesz się oskarżać, bo nieskończenie dobry i miłosierny, bo to On sam tę przypowieść na pociechę ludziom opowiedział, bo On niczego tak nie lubi, jak „litować się i przebaczać“.

W ubiegły czwartek odbyła się Komunia św. generalna. W środę spowiadałem przez cały dzień do godz. 11.30 w nocy. Wyspowiadały się z niewielu wyjątkami wszystkie katoliczki.

Były między nimi takie, co spowiadały się wogóle pierwszy raz w życiu i co były pierwszy raz u Komunii św. Były takie, co w czasie spowiedzi przychodziły do kaplicy i uciekały, bojąc

się spowiedzi, nie mogąc się na spowiedź zdecydować. Łamały się z sobą, ale ostatecznie przełamały wszystko i odbyły spowiedź, uszczęśliwione potem, że się na ten krok zdecydowały.

Widziałem cuda łaski Bożej na tle bezden-
nego nieszczęścia i nauczyłem się rozumieć wiele
rzeczy. Byłem oszołomiony naocznymi dowodami
bezgranicznego miłosierdzia Bożego. Zdawało mi
się wtedy, że nie jestem na ziemi, ale gdzieś
bliżej nieba, gdzie mi Pan Bóg pozwala przypa-
trywać się zbliska Jego przedziwnym rządóm
w duszach ludzkich.

Dęblin, 7 kwietnia 1918.

Na Zachodzie nowe uderzenie niemieckie.

Urzędowo donoszą dnia 5 kwietnia:

Wczoraj zaatakowaliśmy na południe od
Sommy i po obu stronach Moreuil i wyrzucili-
śmy nieprzyjaciela z jego silnych stanowisk. An-
gielskie i francuskie rezerwy uderzyły naprzeciw
naszych wojsk. Ich uderzenie rozbiło się w na-
szym ogniu. Po twardych zapasach wzięliśmy
między Sommą a potokiem Luce Hanel, jako też
kawałki lasu na północny wschód od Villers
Bretonneux, na zachodnim brzegu Avre Castell
i Mailly. Nieprzyjaciel na całym froncie stawiał
rozpaczliwy opór. Dlatego jego krwawe straty
są niezwykle ciężkie. Wzięliśmy 1000 jeńców.

Według ukończonego stwierdzenia liczba
jeńców wziętych przez armję generała v. Hutier

w czasie od 21 do 28 marca wynosi 51.218. Zdobyliśmy 729 dział. Tem samym ogólna dotychczasowa zdobycz wzrosła na przeszło 90.000 i na przeszło 1300 dział.

W odwecie za trwające od kilku dni ostrzeliwanie naszych siedzib w Laon przez Francuzów wzięliśmy pod ogień Reims.

W Szampanji na wschodnim brzegu Mozy skuteczne uderzenia przyniosły jeńców. Pod Verdun walka ogniowa wzmożona.

Wschodni teren wojny: Na Ukrainie zabraliśmy nieprzyjacielskim bandom koło linii kolejowej Połtawa-Konstantynogród 28 wagonów kolejowych, naładowanych francuskimi karabinami i amunicją, oraz przeszło milion pocisków działowych. Wojska posuwające się w dolinie Dniepru, wzięły po walce Jekaterynosław.

Azjatycki teren wojny: Wojska niemieckie w związku z siłami tureckimi w kilkudniowych walkach wyparły ku Jordanowi angielskie brygady piechoty i kawalerji, które po przekroczeniu Jordanu posunęły się poza Es Salt i ku Arman. —

Ameryka wysyła na plac boju przeszło milion żołnierzy! Gen. Foch skoncentrował przeszło 70 dywizyj rezerwowych!

Gdyby to kiedy ludzkość skoncentrowała tyle pracy i ludzi, wysiłków i ofiar ku chwale Bożej! Jakby to inaczej, zupełnie inaczej świat wyglądał!

Dęblin, 27 kwietnia 1918.

Od połowy kwietnia przejeżdżają przez Dęblin transporty z jeńcami, wracającymi z niewoli w Rosji. Dęblin jest pierwszą stacją austriacką od Brześcia i Dynaburga, skąd powracający przejeżdżają, dlatego przyjmuje się te pociągi uroczystie, z muzyką wojskową, z delegacjami oficerów i żołnierzy. Każdy transport zatrzymuje się tu co najmniej przez dwie godziny.

Z powracających jedni są zupełnie zdrowi, drudzy chorzy, czasem nawet obłożnie. Ci pozostają w Dęblinie w szpitalu, póki nie nabiorą sił do dalszej jazdy. A niejeden już skończył swą drogę powrotną na cmentarzu dęblińskim.

Kto jednak może, wychodzi z pociągu, następuje rozmowa, powitania, opowiadanie. Ciekawe są te dorywcze opisy niewoli w najrozmaitszych miejscowościach i warunkach.

Jak to inaczej teraz wygląda wszystko, niż owe pierwsze transporty wojskowe, jadące w sierpniu 1914 w stronę Galicji! Ile tam było zapалу, krzyków, pewności siebie! Dziś wracają do domu, po czterech latach ci sami ludzie, ale jacyż inni, zupełnie inni!

Wczoraj przygotowałem na śmierć chorą w szpitalu dla kobiet. Nie ma jeszcze 20 lat. Kończyła pensję, pochodzi z większego miasta w Królestwie. Zmarnowane życie. Gnije za życia. Z ust gnijących rozchodzi się straszna woń, od której mdło się robi. A spowiedź trwa długo, bo nieszczęśliwa chce powiedzieć szczerze wszystko, a co kilka słów płynie cuchnąca flegma.

Kończy młode życie w męczarniach. W pogoni za złudnem szczęściem, za użyciem, stoczyła się na same dno nędzy.

Oby przynajmniej dusza została uratowana! Dla duszy, póki życia stać, nigdy za późno. To całe szczęście nasze i całe szczęście takich biednych, jak ona. Zgodziła się ofiarować swą mękę i konanie Sercu Jezusowemu za nawrócenie innych, podobnych do siebie zbłąkanych istot.

Dzienniki donoszą o bombardowaniu Paryża przez dalekonośne działa niemieckie. Dworce paryskie przepełnione uciekającymi. Pociski padały co siedem minut z odległości 120 km!

Dęblin, 2 maja 1918.

Wezwano mnie dziś do szpitala na dworcu, bym zaopatrzył ciężko rannych.

Przyjechał transport inwalidów, żołnierzy austriackich, prosto z Petersburga.

Ten, do którego zostałem wezwany, to tylko cień człowieka. Na pierwszy rzut oka widać, że suchoty toczą jego organizm. Błady, chudy, wycieńczony, skóra na nim wprost przeźroczysta, oddycha z trudem. Ma nadto w boku wielką ranę od szrapnela, ciekącą ciągle i otwartą. Jest to Bośniak, katolik, od roku 1915 w niewoli. Teraz po trzech latach nareszcie między swoimi, już na wolności, a jednak kto wie, czy wróci do matki. Zdaje się, że tu u wrót swej ziemi rodzinnej zakończy życie.

Obok niego młody człowiek, nieźle wygląda, powiadają, że ślepy. Zbliżam się do jego łóżka

— istotnie na obu oczach chorego bielmo. Pochodzi z Galicji, z Sanoka, ma 23 lata. W domu pozostali rodzice i siostry. Jako jeniec pracował w cukrowni rosyjskiej. W fabryce był często upały, a baraki zimne, nieopalone. Nabawił się szalonych bólów głowy, potem róży, a że nikt się nim w chorobie nie zajął, stracił wzrok zupełnie.

Drugi również ślepy, to Wiedeńczyk. Kula przeszła z boku przez obydwa oczy i nos. Pokazał mi ranę pod opatrunkiem. Twarz zeszpecona strasznie, a zamiast oczu okropne, krwawe oczodoły. Opowiadał mi, jak z początku zawsze płakał, kiedy sobie uprzytomnił, że ślepy — obecnie już pogodził się z wolą Bożą.

Dalej leży Czech, lat może 40, sparaliżowane ma obie nogi. Dostał się do niewoli koło Równego w 1916 roku. Jako ranny przebył cały czas w szpitalach, zjeździł w ten sposób całą Rosję i Syberję. Z jednego szpitala posyłano go do drugiego. W Omsku, jak opowiadał, zmarło w szpitalach w czasie zimy na tyfus i cholereę do pięciu tysięcy jeńców. Warunki sanitarne były fatalne, obchodzenie się z jeńcami nieludzkie. Z początku dawano nawet nieźle jeść, ale od wybuchu rewolucji coraz gorzej. W końcu wydzielano w Petersburgu tylko ćwierć funta chleba dziennie i zupełną ryb. Wiadomości z domu otrzymał dwa razy, choć sam wysłał do domu, jak mówił, przeszło dwieście kartek i listów. W domu jest siedmioro drobnych dzieci, a o żonie napisała siostra, że odeszła z domu i poszła nie wiadomo dokąd.

Największe wrażenie zrobił na mnie inwalida Niemiec z zachodnich Węgier, Żonaty, ma troje

dzieci. Kompletnie sparaliżowany, powykręcany, pokrzywiony w okropny sposób. Usta, oczy, nos, ręce, tułów wykrzywione. Mówi, a raczej szepleni z wielką trudnością. Pracował na Wołdze na różnych statkach, ciągle nad wodą i w wodzie. Nie mając porządnego ubrania, zaziębił się kilka razy i doszedł do takiej okropnej ruiny całego organizmu.

Dęblin, 3 maja 1918.

Z żołnierzami wraca także sporo oficerów. Tygodniowo przyjeżdża trzy, cztery pociągi. Z dawnego munduru wojskowego niewiele zostało. Większość ubrana po cywilnemu, w rosyjskich czapkach i baranicach kozackich.

Opowiadania oficerów i żołnierzy, odmienne naturalnie w szczegółach, pozwalają naogół wytworzyć sobie obraz stosunków obecnych w Rosji.

Z początku nie było jeńcom źle, ani oficerom, ani żołnierzom. Zależało to przeważnie od komendanta obozu — różni różnie traktowali jeńców. W każdym razie można było wytrzymać, bo najważniejsza dla każdego jeńca rzecz — wikt — nie był zły, a swobody było także względnie dość dużo. Nawet za rządów Kiereńskiego było jeszcze co jeść. Obecnie od czasu, kiedy bolszewicy objęli rządy, jest w Rosji bieda i wielka nędza. Dużo jeńców umiera z głodu, o ile nie chcą rozbijać i kraść. Wielu jeńców, nie mając innego wyjścia, wstępuje do czerwonej gwardji bolszewickiej i bierze udział w walkach, napaściach i okrucieństwach bolszewickich. Miesięcznie

dostaje się za to trzysta rubli, mundur, wikt, karabin i ładunków ile trzeba.

Pokazywano mi chleb, przywieziony z Moskwy. Jest czarny, ma tę zaletę, że nie ma żadnych domieszek. Ale też bochenek trzyfuntowy kosztuje 40 rubli, czyli 120 koron. Tylko w Syberji jest jeszcze względnie tanio.

W szpitalach rosyjskich żywią chorych jeńców głównie kapustą, kaszą jaglaną i zupą z kapusty lub ryb. Bolszewicy dali żołnierzom-jeńcom swobodę. Przez jakiś czas wolno im było jeździć kolejami, tramwajami zupełnie bezpłatnie, dokąd kto chciał. Od miesiąca trzeba kupować bilet jazdy, ale kontroli niema żadnej. Tem tłumaczy się masowe przechodzenie jeńców przez front rosyjski od stycznia 1918 roku.

Po stronie austriackiej i niemieckiej spotyka ich jednak przykre rozczarowanie. Nie wolno im bowiem wracać wprost do domu. Są rejestrowani i trzymani w obozach we Lwowie, w Kowlu i w Białej. Zaś Polaków z wojska rosyjskiego, wracających do Królestwa, przetrzymują Austriacy w barakach we Lwowie, a Niemcy w Skalmierzycach w Poznańskim, tworzą z nich oddziały robotnicze i wysyłają w głąb Austrii względnie Niemiec.

W Rosji rządzi czerwona gwardja bolszewicka, a właściwie motłoch z kilkunastu sprytnymi żydami „jewrejami“ na czele, i jeńcy, którzy do tej gwardji wstąpili. Lud wiejski ma na rządy „żołniersko-włościańskie i robotnicze“ mały wpływ, ale i on rozagitowany i podniecony nadzieją podziału ziemi, niszczy, morduje i grabi w jakimś obłędzie i masowym szale bezrozum-

nym. Wygląda to wszystko jakby jakaś straszna kara Boża dotknęła ten kraj. Niedość im było wojny, niszczą i zabijają siebie samych.

Najwięcej wraca z Rosji obecnie Węgrów i Niemców austriackich. Widocznie zaopiekowano się nimi najbardziej i im przedewszystkiem władze bolszewickie, w zamian za pokój brzeski, ułatwiają powrót. Naogół wszyscy zadowoleni, że jadą do kraju — wszyscy jednak pytają: co będzie dalej?

Dęblin, 7 maja 1918.

Dzienniki donoszą o ohydnych morderstwach, dokonanych w Mohylowie na osobie dziekana rzymsko-katolickiego ks. Eugenjusza księcia Świątopełk-Mirskiego: Mohylowski prezes komisarzy Goldman postanowił oddać ś. p. dziekana pod sąd trybunału rewolucyjnego za sprzyjanie wojsku polskiemu i ukrywanie legionistów. Przed dostawieniem oskarżonego przewodniczący trybunału oświadczył, iż wobec otrzymania przez sąd nowych oskarżeń, obciążających ks. Mirskiego, sprawę odkłada. Zebrana publiczność zaczęła się rozchodzić, gdy w tej samej chwili przed gmach sądu przywieziono w samochodzie opancerzonym ks. dziekana pod strażą czerwonej gwardji. Wprowadzono go do sali, a za nim napłynął zpowrotem tłum publiczności. Powstał tumult, odzywały się głosy, żądające uwolnienia podsądnego. Wtem jeden z gwardzistów, wrogo usposobiony wobec ks. Mirskiego, zmierzył do niego z karabinu. Naczelnik konwoju podbił karabin. Strzał ten wszakże wywołał popłoch wśród pu-

bliczności i strzelaninę ze strony reszty gwardzystów.

Podczas strzelaniny w lokalu sądu raniono kilka osób, które potem zmarły. Oficer polski Morawski i służący ks. Mirskiego odnieśli lżejsze rany. Obecni rozbiegli się i nie można ustalić, jaki był dalszy los ofiary. Na drugi dzień znaleziono zwłoki ks. Mirskiego za miastem porzucone i okryte ranami. Stwierdzono na ciele 5 ran postrzałowych, a cztery pchnięcia bagnetem, głowę rozbitą i ręce połamane.

Dęblin, 9maja 1918.

Jak różnie traktowano jeńców w różnych okolicach i obozach w Rosji, tego dowodem fakt, że mieszkali często w marnych domach poza miastem, okna były zakratowane i zaopatrzone drutem kolczastym i nie wolno było stamtąd ani na krok się ruszyć bez „karaulnego“ żołnierza z karabinem. Tak było np. w Stawropolu.

Ks. Stan. Gawęł, kapelan wojskowy, wzięty do niewoli rosyjskiej w 1914 r., został zesłany do Atbazar w Syberji. Przed jego mieszkaniem stał stale żołnierz z najeżonym karabinem, nie wolno było z nikim rozmawiać. Na przechadzkę pozwolono ks. Gawłowi wychodzić tylko na godzinę dziennie i to jedynie w towarzystwie żołnierza. Przez pięć miesięcy nie miał możliwości odprawienia Mszy św., jak pisze w sprawozdaniu do biskupa połowego. W Kokczetawie wtrącono ks. Gawła do więzienia, gdzie przesiedział trzy miesiące w jednej celi z bandytami i zbrodniarzami kryminalnymi. Wszelkie protesty nic nie poma-

gały, dopiero rewolucja przyniosła ulgę i odesłano go jako inwalidę przez Petersburg i Szwecję do domu.

Z drugiej strony słyszałem opowiadanie oficera, który dostał się do jednego z miast koło Uralu. — Piszę tak jak mi opowiadał. — Pułkownik komendant obozu i baraków, których wcale nie było, przywitał jeńców bardzo sympatycznie i zażądał od nich, aby wybrali co wolą, czy zamieszkać w barakach, któreby trzeba dopiero wybudować, czy też osobno w mieście, w swobodnie wynajętych mieszkaniach. W takim razie otrzymaliby co miesiąc po 8 rubli na mieszkanie, prócz 50 rubli gaży, która im się jako jeńcom należy. Wszyscy oświadczyli się za mieszkaniem w mieście. Po trzech miesiącach oświadczył pułkownik, że nie będzie wypłacał po osiem rubli za mieszkanie, a komu się to nie podoba, pójdzie do baraków. Cóż mieli jeńcy robić? Płacili mieszkanie z własnych funduszów.

Wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak w Rosji kradł każdy na prawo i na lewo.

Nic też dziwnego, że ostatecznie doszło w Rosji do takich przewrotów, jakich jesteśmy dziś świadkami. Bo wszędzie, gdzie wszystko jest sprzedajne, nieuczciwe, tam rewolucja musi przyjąć się szybko i łatwo i musi prowadzić do ogólnej katastrofy.

To stało się powodem klęsk militarnych Rosji, pomimo pierwszorzędnego materiału ludzkiego, pomimo stanowczej przewagi liczebnej nad nieprzyjacielem. To powoduje w rezultacie dzisiejszy szybki rozkład Rosji.

Tak dzieje się wszędzie, gdzie każdemu odczyną jest kieszeń i własny żołądek, gdzie myśli się tylko o sobie, gdzie o przekonaniach decyduje żłób.

Materjalizm, egoizm będzie zawsze i wszędzie wrogiem państwa i Ojczyzny.

Dęblin, 11 maja 1918.

Nareszcie udało mi się spotkać kilku powracających z niewoli rosyjskiej oficerów-Polaków.

To, co ci wracający jeńcy opowiadają, przypomina mocno rewolucję francuską z przed 120 lat.

Lenin zniósł w Rosji wszelkie prawo. Tam dziś wszystko wolno. Wolno grabić, zabijać, mordować.

Pewnego dnia prowadziło dwóch żołnierzy byłego szefa sztabu generalnego Januszkiewicza na śledztwo. Nazajutrz pojawił się w gazecie komunikat, że go musiano w drodze zastrzelić, bo Januszkiewicz chciał uciec. Dochodzeń nie było żadnych.

Pułkownika Mościckiego męczyli bolszewicy w zwierzęcy sposób. Powoli, z wyrafinowaniem, przebijano go i przybijano bagnetami do ziemi, póki nie umarł w strasznej męce.

Darcie z oficerów skóry pasami zdarza się dość często. Złapano jakiegoś generała, osądzono w jednej chwili na śmierć. Musiał zdjąć ubranie, potem natłuczono szkła i kamieni i kazano boso chodzić po szkłe, do tego uderzać mocno stopami, jak w czasie defilady.

Jeden z powracających opowiadał, że widział, jak wyższego oficera tłum rozdzierał żywcem wśród niehumanitarnego, straszego ryku męczzonego,

ryku, który trudno zapomnieć, taki był przerażający, tak wpił się w mózg i słuch.

A marynarze przywiązywali oficerom do nóg granaty i rzucali w morze.

Najwięcej prześladowaną kastą w Rosji są oficerowie, urzędują na nich formalne polowania.

Daje się to we znaki i oficerom jeńcom. Muszą kryć się z tem, że są oficerami, a ponieważ nie mają co jeść, sprzedają po ulicach gazety, zapalki i z tego się utrzymują. Często się zdarza, że żołnierze-jeńcy, spotkawszy na ulicy oficera, z którym mają dawne porachunki, denuncjują go w miejscowych komitetach rewolucyjnych. Komisarzem jest żołnierz zwykły lub bandyta, nożownik, kryminalista. Trudno u niego szukać sprawiedliwości i poczucia ludzkości. I taki oficer oczywiście stracony.

Żołnierzy nie napastuje nikt. To uprzywilejowana kasta, a o ile przyniesie poświadczenie jakieś, że jest „internacional“, to ma dostęp do wszystkich godności bolszewickich.

Rosja stacza się w przepaść. Przed nią widmo głodu, zapasów niema, a lud, czekając na podział ziemi, nie chce uprawiać roli.

Dziwna rzecz: taki wielki naród, a taki bierny! Nie wykazał ani odrobiny energii, ni woli w przełomowej chwili i pozwolił ujarzmić się grupce fanatyków, doktrynerów. Naród niewolników, za który myślał i działał car, a kiedy cara zabrakło, nie umie zjednoczyć się ku obronie własnej godności.

Wszyscy pytają, jak długo to jeszcze potrwa? Dużo nadziei pokładano w Korniłowie

i Aleksiejewie, ale obecnie obaj doszczętnie rozbić. Narazie niema nadziei wyrwania Rosji ze straszego kataklizmu. Zrównać, zburzyć łatwo, odbudować ciężko. Wszyscy lepiej myślący w Rosji uginają się pod terorem motłochu rewolucyjnego i powiadają, że im wszystko jedno, kto przyjdzie robić porządek, Niemcy, Francuzi czy Anglicy, byleby skończyła się ta wieczna obawa o własne życie.

My Polacy przecierpieliśmy dużo, przeszliśmy całą Golgotę za sprawą Rosji, w ciągu 150 lat ostatnich. Nie było u nas nigdy ani miłości, ani nawet szacunku wobec tego państwa, co brutalnie deptało nasze uczucia katolickie i polskie, a jednak dziś mimowoli budzi się pewnego rodzaju litość nad narodem, na którym tak dotkliwie i bezprzykładnie mszczą się błędy i krzywdy dziejowe.

Jeżeli kiedy, to dziś, patrząc na Rosję, musimy uznać, że jest mimo wszystko sprawiedliwość dziejowa, mająca swe źródło w Sprawiedliwości Bożej.

I dziękujemy Bogu za to! To nasza siła w bezsilności obecnej, ale i przestroga na przyszłość.

Dęblin, 12 maja 1918.

Dziś po obiedzie telefonują ze szpitala dla kobiet, bym natychmiast przyszedł, bo jakaś prawosławna popełniła samobójstwo, żyje jeszcze, ale nie wiadomo, co z nią dalej będzie.

Nie moja „parafjanka“, ale idę.

Na sali zbiegowisko. Wszyscy tłoczą się koło łóżka, na którym leży blada i pokrwawiona, niedoszła samobójczyni.

Pytam się, co się stało, jak to było.

Wtedy opowiadają historję, która świadczy najlepiej o pobudkach, jakimi te osoby nieraz w życiu się kierują.

Zaczęło się od gry w karty; grają często dla zabicia czasu. Niedoszła samobójczyni nie miała dziś szczęścia i przegrała kilka razy. Podrażniona tem, powiada: „To coś znaczy, pewno mnie spotyka jakieś nieszczęście.“

„Wiesz co — odpowiada druga na to — ja ci poradzę — idź powieś się, albo poderżnij się!“

W jakie pół godziny później znajdują biedną koło studni zemdloną, zbroczoną krwią. Okazało się, że istotnie pod wpływem słów, powiedzianych zresztą żartem, wzięła w desperacji zwykły kozik i poderżnęła sobie gardło, jednak niezbyt głęboko, bo nóż był tępy, a ona z powodu bólu nie dokończywszy operacji, zemdląa. Przecięte miejsce lekarze zeszyli odrazu, obandażowali i pewno na tem cała historia się skończy.

Ten fakt ilustruje najlepiej psychologję tych nieszczęśliwych istot i zupełny u nich zanik, a raczej chorobę woli.

Jeżeli nie chcemy, by nam społeczeństwo nasze, naród nasz zjadła i zgangrenowała rozpusta, trzeba wyrabiać i kształcić w Polsce u wszystkich silną wolą i oprzeć wychowanie na silnych, przekonywujących pobudkach i podstawach, jakie daje jedynie religja i wiara. Bo jednak duszą wszelkiego wychowania jest wychowanie duszy.

Dęblin, 13 maja 1918.

Przyniesiono wczoraj ze szpitala niewielką kartkę z napisem: „Todesfalleingabe — zawiadomienie o śmierci“.

Prosta kartka, a jak wymowna, ile zawiera tragizmu! Umarł powracający z Rosji inwalida. Na kartce napisane, że nazywa się Jan Husak, pochodzi z Niska, urodzony w r. 1876, żonaty, rolnik i że umarł na gruźlicę, której nabawił się w niewoli rosyjskiej. Krótkie daty, a jak wymowne!

Dziś odbył się pogrzeb przed południem.

Tam z góry słońce cudnie przyświeca i grzeje, śle jasne skry promienne na budzącą się do życia ziemię. Droga sucha, równa, a wokoło, gdzie okiem rzucić, życie na nowo się budzi. Na łąkach przydrożnych i polach zieleń przecudna zdobywa sobie prawo do życia, otula sobą drzewa, listki z pączków rozwijając. Wszędzie w powietrzu czuć odradzające się życie. Jednostajna zresztą i nieciekawa płaszczyzna, równina polska, dotychczas rozpaczliwie szara, nabiera życia w blasku wiosennego słońca, zdaje się wprost uśmiechać do każdego, kto umie i chce patrzeć i widzieć.

Wiosna! wiosna w całej swej pełni, ze swemi kwiatami i świeżością barw. Czuć już ciepło, które zdaje się podnosić z ziemi i wibrować nad świeżutką zielenią.

A tam drogą z dworca na cmentarz wojskowy — pogrzeb powoli zdąża.

Na przedzie idzie żołnierz. Niesie prosty krzyż czarny. Za nim oddział wojska, potem orkiestra wojskowa z Lublina, ksiądz, tuż przed

wozem z czarną trumną. Za trumną niema z rodziny nikogo. Oni pewno o niczem jeszcze nie wiedzą, a choćby wiedzieli, to przyjechać tak trudno! Tylko kilku oficerów z Dęblina i lekarze. To cały orszak pogrzebowy powracającego z niewoli rosyjskiej jeńca.

Pogrzeb opromieniony radosnem ciepłem ranego słońca w maju.

A ten w trumnie już nic nie widzi, o niczem nie wie. Skończyły się jego cierpienia, niewygody, bóle, skończyła się niewola. Wszystko, wszystko już poza nim. Minęło na zawsze — przeszło i więcej nie wróci.

Był na froncie, pełnił twardą służbę żołnierską, dostał się do niewoli. Gnany z jednego miejsca w drugie, ciągle strzeżony, pędzony z jednej pracy do drugiej, przetrzymał wszystko wśród niewygód najstraszniejszych przez całe dwa lata, zdala od kraju, ojczyzny, od żony i dzieci.

Nareszcie wolny! Jakże mu serce biło na myśl, że ten pociąg, zdążający ku domowi, unosi go codzień, co godzinę bliżej i bliżej, że zawiezie go wnet do swoich! Wprawdzie w czasie jazdy dokuczał mu kaszel, duszność — wielkie osłabienie, ale to nic — on wraca po tylu miesiącach do ojczyzny, do wioski rodzinnej, pod rodzinną strzechę! Jeszcze dzień, dwa, a dojedzie. Potem pójdzie, pobiegnie raczej tą znajomą ścieżyną i miedzą do swej chaty, przytulonej do lipy, z bijącym sercem zapuka do drzwi, otworzy je i po tylu latach powie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Boże, co to potem będzie! Zacznie się witać, ścisnąć, całować dzieci, żonę, rodzinę, za którą

tyle się natęsknił i tyle namodlił! Chyba się popłaczą wszyscy z radości. Tak w myśli wszystko już naprzód przeżywa i widzi już teraz, jak będzie.

Tylko jeszcze dwa, trzy dni przetrwać. Trzy króciutkie dni. Troszkę więcej jak pięćdziesiąt godzin. Żeby tylko za Kraków dojechać.

Ale inaczej Bóg dopuścił. Zupełnie inaczej.

Śmierć bezlitosna, nieubłagana stanęła wpoprzek drogi. Dotąd — ani kroku dalej! I tu znalazł ojczyznę, tu znalazł przytułek i ostatnie mieszkanie. Tu w Dęblinie skończyły się marzenia wszystkie, wizje, nadzieje.

I mimowoli pyta się człowiek samego siebie: poco tyle nadziei, poco tyle wiary, czy tylko dlatego, by wszystko miało znaleźć swe zakończenie tragiczne w grobie, w dalekiej ziemi?

Odczuwa się rosnący głęboko w duszy bunt i współczucie głębokie, odczuwa się całą tragedję biedaka zmarłego u progu szczęścia, lepszej doli.

I staje tu w całej pełni i grozie przed nami stary jak świat, jak ludzkość, problem zła i cierpienia. Poco człowiek tyle cierpi, jakże Bóg może na to pozwolić?

Ale na to pytanie nie znajdzie człowiek jasnej odpowiedzi tu na świecie, tylko tam w świetle i jasności pozagrobowego świata, tam, dokąd odszedł ten, co leży dziś na wozie, w tej czarnej, prostej trumnie.

Tam zrozumie każdy, poco i naco go los bić zował tyle i tak boleśnie smagał, poco i naco przeniósł, przecierpiał tyle tęsknoty niezaspokojonej nigdy, tyle obaw, krzywd, ciosów, kalectwa,

niedostatku i głodu w czasie tej strasznej wojny obecnej.

Światło tego świata za słabe, za nikłe, by mogło wyświecić wszystko zupełnie jasno. Trzeba na to światłości wiekuistej, tej, do której przeszedł nasz biedny jeniec.

On tam już poszedł po nagrodę za wszystko, co tu przeżył, przeboleł, przecierpiał, po nagrodę za wszystkie niespełnione tutaj nadzieje, za mękę całego życia. On rozumiał już słowa Ducha św.*): „bo moje myśli nie są myślami waszemi, a moje drogi nie są drogami waszemi; o ile niebo wyższe jest od ziemi, o tyle myśli moje są ponad myślami waszemi.“

I my też już powoli zaczynamy wszyscy rozumieć te głębokie słowa. Inaczej przedstawialiśmy sobie przed czterema laty wojnę; inaczej — zupełnie inaczej ona dziś wygląda, innemi drogami poszła. Nie mieliśmy pojęcia, co nam przynieść może, nie spodziewaliśmy się, że potrwa tak długo, że ogarnie cały świat, że będzie taka straszna. Inaczej roilo się nam wszystko, a inaczej się teraz układa. Jakże inaczej szli na wojnę ci, co dziś z niewoli wracają! Wszystko inaczej, inaczej, „bo moje myśli nie są myślami waszemi, a moje drogi nie są drogami waszemi“.

I ten biedny zmarły jeniec czego innego się spodziewał do ostatniej chwili. Za to tam — za grobem, nic się już nie zmienia, tam wszystko na wieki niezmiennie, zawsze pewne, zawsze stałe.

*) Izajasz 55, 8.

W tem nasza pociecha i otucha, gdy nam źle i ciężko, gdy przychodzą zawody, osobiste lub narodowe i ogólne, gdy widzimy, że wszystko idzie wpoprzek nadziejom, myślom i planom.

I tym, co nas dziś krzywdzą i nam samym, zawsze i wszędzie przypomina Bóg: „o ile niebo wyższe jest od ziemi, o tyle myśli moje są ponad myślami waszemi“.

Szczęście, dobrodziejstwa Boże idą do nas zwykle inną drogą — nie tą, którą im wyznacza krótkowidzący człowiek.

Dęblin, 25 maja 1918.

Kończy się maj — był nadzwyczaj gorący. Od świąt wielkanocnych, czyli od pierwszych dni kwietnia, nie było deszczu. Posucha, brak wody, trawa spalona, zasiewy nieszczęśliwie wyglądają. Wszędzie modlono się o deszcz.

Obecnie umysły zajęte „pogłębianiem przymierza austriacko-niemieckiego“. Reakcja coraz większa. Niemcy podnoszą daleko idące żądania. Urządza się liczne zgromadzenia, domagające się ukrócenia swawoli słowiańskiej, praw wyjątkowych i przyłączenia Austrii do Niemiec.

Zwycięstwa niemieckie na zachodzie, posuwanie się Niemców ku Amiens, zdobywanie równocześnie ogromnych obszarów w Rosji, owładnięcie Jekaterynosławia, Rostowa i Krymu, pokój świeżo podpisany z Rumunją, to wszystko dodaje Niemcom niebywałego tupetu i pewności siebie, sądzą, że zawładną połową Europy. O Polsce już nie myślą — zresztą dla Polski niema już miejsca, bo na mapie, gdzie okiem rzucić, będzie tylko

wszędzie Deutschland, Deutschland über alles. Na Ukrainie rozbijono drugi korpus polski gen. Osińskiego, a chodzą słuchy w Warszawie, że Niemcy chcą rozbroić także korpus Dowbora Muśnickiego. Zaprzeczają tym pogłoskom, ale łatwo zrozumieć, że Niemcom ten korpus bardzo nie na rękę. Narazie załatwiają się z grupami mniejszemi.

Przed kilku dniami rozmawiałem w Dęblinie na stacji z oficerem z korpusu Muśnickiego. Przejeżdżają dość często przez Dęblin. Krój munduru rosyjski, płaszcz długi brązowy, na lewem ramieniu skośny pasek srebrny, czapki płaskie okolone amarantową przepaską, na czapce orzeł polski, szable długie rosyjskie, spodnie z czerwonymi lampasami.

Opowiadał ów oficer, że dyscyplina u nich wzorowa. Muśnicki trzyma wszystko swoim osobistym autorytetem, jest popularny i lubiany. Bolszewizmu w korpusie niema. Korpus zajmuje i zarządza obszarem, równającym się jednej trzeciej Królestwa. Nazywają to Dowborją i są przekonani, że ten obszar, wbrew układom w Brześciu, będzie należał do Polski. Główna kwatera korpusu znajduje się w Bobrujsku.

Dęblin, 30 maja 1918.

Dziś Boże Ciało. W Dęblinie nabożeństwo jak w zwykłe niedziele i święta, bez procesji, bo brak potrzebnych urządzeń. Drugą Mszę św. odprawilem w szpitalu dla kobiet. Obecnie strajk drukarski w Krakowie i w Warszawie, polskich

gazet widzi się mało, przychodzą w niewielkiej liczbie cieszyńskie i lubelskie.

Zdaje się, że zaczęła się nowa ofensywa niemiecka, zdobyto na froncie zachodnim Chemin des Dames, wzięto coś 13.000 żołnierzy do niewoli. Przeważa zdanie, że to najpotężniejszy wysiłek ze strony Niemców, by jeszcze przed nadejściem poważniejszych sił amerykańskich rozbić armję angielską i francuską. Tak samo zaczyna się większy ruch na froncie włoskim nad Piawą.

W niedzielę zostałem wezwany do Łukowa, w okupacji niemieckiej, by pogrzebać żołnierza z armji austriackiej, zmarłego w drodze powrotnej z Rosji. W Łukowie jest siedziba gubernatora, generała niemieckiego. Przesadzano się w grzeczności dla mnie, aż się nieprzyjemnie robiło, bo to nieszczerze, znają mnie z Dęblina, wiedzą, żem Polak.

W poniedziałek rano po odprawieniu Mszy św. w kościele parafjalnym zwiedziłem miasto z adjutantem gubernatora. Miasto jak wszystkie polskie prowincjonalne, kamienic niewiele, większość domów drewnianych. Jest sporo ogrodów, co nadaje miastu miły wygląd. Bruki nieszczególne, sklepy żydowskie, jeden obok drugiego. Dwa kościoły, parafjalny i po-bernardyński, a w stroonie dworca niewielka cerkiew prawosławna.

Po pogrzebie, w którym wzięło udział dużo oficerów i kilka oddziałów wojska pruskiego z orkiestrą, pokazał mi gubernator oryginalny pomnik zbiorowy dla poległych na terytorjum gubernji, mianowicie sporą kaplicę, której ściany wyłożono od góry do dołu tabliczkami z nazwiskami poległych.

Dęblin, 8 czerwca 1918.

W sobotę zapowiedziano transport inwalidów z Petersburga, na kwadrans przed pierwszą po południu.

Wychodzimy gremjalnie na dworzec. Budynki udekorowane chorągwiami i zielenią. Oddział wojska z karabinami jako deputacja honorowa. Dalej orkiestra wojskowa, umyślnie sprowadzona z Radomia.

Za drutami, otaczającymi dworzec, pełno żydów. Jest szabas, świętują i pchają się tłumnie na dworzec na wiadomość, że przyjeżdża pociąg prosto z Rosji.

Dość silny wiatr trzepocze chorągwiami, podryzując zielenie i podnosi pył czarny z placu poprzecinanego szynami, zmiata śmiecie i brud niesłychany na prymitywnie urządzonym dworcu dęblńskim. Z boku dolatuje krzykliwy szwargot żydowski i wzajemne nawoływanie się różnych Rifke, Mojsze i Szmulów.

Punktualnie w oznaczonym czasie zajeżdża od granicy okupacji niemieckiej pociąg osobowy, ozdobiony chorągiewkami austriackimi i węgierskimi. Słysząc komendę: „Habt acht! Links schaut!“ Równocześnie kapelmistrz daje znak i orkiestra gra hymn państwowy austriacki.

Wszyscy salutują nadjeżdżający pociąg, póki nie umilkną dźwięki hymnu.

Potem wychodzi z pociągu najstarszy rangą oficer, wracający z niewoli, generał lub jakiś sztabowiec, za nim inni, — następuje wzajemne przedstawianie się, witanie i rozmowa. Tymczasem muzyka gra różne pieśni, a równocześnie

wynoszą z pociągu bardziej słabych i chorych do szpitala na dworcu, t. zw. „Krankenhaltstation“. Kto może, pisze do domu, lub depeszuje, że wraca, a potem wypytuje się o wiadomości z „Hinterlandu“ oraz opowiada, co przeszedł i przecierpiał w Rosji.

W sobotę przybyło koło stu oficerów, przeważnie Węgrów, a do tysiąca żołnierzy. Poubierani rozmaicie, najdziwaczniejsze kombinacje mundurów rosyjskich i austriackich. Zwracają uwagę zielone ubrania sportowe z bardzo porządnego sukna. Jest to sukno, przemycane z Chin przez jeńców, którzy przebywali w Syberji, na granicy chińskiej.

Z transportem sobotnim przyjechał młody jeszcze lekarz wojskowy z okolic Lincu. Był w niewoli przeszło dwa lata. Suchoty w ostatniem stadium — uosobiona śmierć. Dziwna rzecz, że przetrzymał taką podróż. Jechał z nim bardzo sympatyczny lekarz z Budapesztu, także inwalida, oraz pielęgniarka Rosjanka. O doktorze opowiadano, że dzięki swej niezwyklej energii wydobył schorowanego swego kolegę z Irkucka i od tego czasu, przez sześć miesięcy, nie odstępował go na krok. A pielęgniarka, która ma sama syna 20-letniego, postanowiła za wszelką cenę dowieźć chorego do domu, do rodziców, by potem wrócić znowu do Rosji.

Byłem u chorego — leżał jeszcze na noszach w pokoju, który mu przeznaczono. Wymęczony do ostatnich granic, mówił tylko szeptem. Podszedłem do niego z pewną troską i obawą, czy uda mi się go wypowiadać i przygotować na wszelkie ewentualności. Z doktorami zawsze cięż-

ko idzie w takich razach, bo albo bagatelizują swą chorobę, albo popadają w rozpacz i zupełną depresję.

Poszło jednak wszystko nadspodziewanie. Ten człowiek nie łudził się wcale co do swego stanu.

W pierwszej chwili wziął mnie za doktora. Powiedziałem, że moja specjalność, to dusze, bo jestem księdzem. Wtedy bez jakiegokolwiek zachęty z mej strony polecił obecnym wyjść z pokoju i zaczął się spowiadać.

Po spowiedzi rozmawiałem z towarzyszącym mu doktorem i pielęgniarką. Oboje twierdzili, że nie pojmują, skąd w tym człowieku tyle siły i odporności. Przypisywali to zgodnie tej gorączkowej, silnej woli zobaczenia choćby raz jeszcze swej ojczyzny, swego domu rodzicielskiego, ojca i matki. Tylko to jedno go podtrzymuje i ożywia.

Duch opanowuje schorowane ciało i każe mu czekać, przetrwać i żyć.

Kiedym wracał do domu, rozmyślałem nad tem dziwnem zjawiskiem, dlaczego jednym tak łatwo pojednać się z Bogiem, a innych niepodobna wprost nakłonić do Sakramentów św.

Pewno, że to w pierwszym rzędzie tajemnica współdziałania łaski Bożej z wolną wolą. „Duch tchnie, gdzie chce.“ Ile razy jednak zdarzyło mi się napotkać człowieka, u którego widoczne było niezwykle działanie Bożej łaski, to zawsze mogłem stwierdzić, że to był człowiek, co bliźnim dobrze czynił i wytrwale codzien choćby króciutką tylko modlitwę do Boskiego Serca lub Matki Najświętszej odmawiał i choć w ten sposób kontakt z Bogiem podtrzymywał.

Dęblin, 20 czerwca 1918.

Przed trzema dniami przywieziono do szpitala jeńca-legjonistę z drugiego pułku ułanów. Był przeszło dwa lata w niewoli na Uralu. Słuchacz praw Uniwersytetu krakowskiego. Dziś tylko ruina — leży apatyczny, bez ruchu, patrzy wciąż przed siebie jakby nieprzytomny. Nie obchodzi go nic, co się dzieje koło niego i kto do niego przychodzi. Każde pytanie trzeba mu powtarzać po kilka razy, nim zrozumie, nim coś szeptem odpowie.

Wychudzony, wynędzniały — znać suchoty i skorbut, podobny zupełnie do trądu. U obu rąk palce pokrzywione, poodpadały częściowo tak, że wyzierają z nich tylko białe kosteczki.

Tak wygląda dziś legjonista polski, wracający z niewoli!

Ostatecznie z czasem przyzwyczajają się człowiek do różnych chorób i rozmaitego kalectwa i ran, a jednak na widok takiego nieszczęścia przygniatającego, stałem długo cały wzruszony, stałem bez słów, przybity grozą nędzy i okropnego kalectwa.

Młody, inteligentny człowiek, lat 24, rokujący najlepsze nadzieje dla rodziców i Ojczyzny.

Poszedł za wspólnym porywem i zapalem, jakiego ogarnął wówczas na początku wojny całe społeczeństwo, w owe pamiętne dni ogólnego zapалу, co wstrząsnął nami wszystkimi, przeleciał przez cały naród, odbił się tysięcznym echem po wsiach i miastach, ujął w swą moc czarodziejską wszystko, co żyło i czuło, jak donośny, czarowny głos złotego rogu, co do czynu wzywał i budził.

Poszedł pod sztandar Orła Białego, by wywalczyć Ojczyźnie wolność i prawo do życia, do bytu.

Poszedł z tysiącami innych, zniósł tyle biedy i niewygód, głodu i nędzy!

Myślał, że za swój czyn ofiarny doczeka się zapłaty, nagrody dla Polski. Chciał widzieć Polskę wolną, niepodległą, zmartwychwstałą, wiedział, że trzeba tu ofiar, trzeba czynu, bo bez nich nie będzie nic, nie będzie cudu.

A dziś — dziś dogorywa, umiera o parę kroków od nowej granicy, jaką zwycięskie mocarstwa przedzieliły całą Polskę, stwarzając w obu częściach własny swój porządek. A ci, co z nim byli, z nim walczyli lata całe, ci, których nie pożarła niewola, ani głód, ani mróz, ci daleko poza Polską — w Huszt i w Marmarosz Sziget, sądzeni jako buntownicy, zbrodniarze, trzymani od miesięcy za drutami i po więzieniach, lub internowani na równi z jeńcami w Łomży, Szczypiornie. Inni jeszcze rozpierzchli się po stepach i dzikich polach Ukrainy, wyłapywani i mordowani przez rozbestwione chłopstwo.

Miałaby to być likwidacja „czynu“, związanego z tylu ofiarami i z tak mocną wiarą?

Nie, to niemożliwe! „Kto w poświęceń zmarł godzinie, ten się przelał w drugich tylko.“*)

Każdy kamyczek maleńki, rzucony na płaszczyznę wód, wytwarza koła i fale.

Każda modlitwa wywołuje w Sercu Bożem oddźwięk i skutek.

*) Krasieński, Przedświt.

Każda ofiara, do tego ofiara z życia, młodości, zdrowia, musi przynieść prędzej czy później wynik, odpowiadający wielkości złożonej ofiary.

Czyż Ten na niebie, co rządzi światem, Ten, „który nas uczynił, i jest Panem i Bogiem naszym“, czyż miałby nie widzieć, nie wysłuchać naszych prośb i „jęku krwi bratniej“?

Miałoby tyle cierpień i bólu przebrzmieć bez echa w dziejach, utopić się w jakiejś nirwanie? Miałyby te wszystkie porywy szlachetne duszy ludzkiej być bez celu i sensu?

Nie, to niemożliwe! Tylko chyba jeszcze „nie nadszedł czas“.

I zdawało mi się, że jestem w jakiejś przegromnej świątyni cierpienia.

I ukląknę koło jeńca-legjonisty i modliłem się z głębi duszy, ofiarując go Bogu jako ofiarę za Polskę — jeńca-legjonistę, co umierał z głodu, w młodości, co wysechł z niedostatku, co mu ciało z palców poodpadało, obnażając straszne kości.

Jeżeli już, Panie, nie chcesz patrzeć na nasze do Ciebie wzniesione grzeszne dłonie, to patrz, spojrzij przynajmniej na te męczeńskie ręce, wołające o Twoją dobroć, Panie, i sprawiedliwość dla Ojczyzny naszej; popatrz na te do Ciebie zwrócone obnażone straszne kości umierającego jeńca-legjonisty!

Dęblin, 27 czerwca 1918.

Odwiedzając dziś chorych w pociągu, wracającym z Rosji, znalazłem w dwóch wagonach żołnierzy warjatów. Zwarjowali w Rosji.

Stałem u wejścia do wagonu. Jedni chichotali, śmiali się, inni krzyczeli, darli się na głos lub bili pięścią o ściany. Kilku miało związane ręce i nogi, leżeli bezsilni, widocznie po ataku furji. Oczy nieprzytomne, lśniące jakimś dziwnym blaskiem. Twarze mizerne, u niektórych zupełnie żółte.

Kiedy mnie zauważyli, jedni zaczęli się śmiać, inni płakać, ktoś zerwał się, krzycząc: nie bić, nie bić! Jeden zaś rzucił się na ziemię, ujął za nogi i zaczął z furją gryźć moje buty.

Wyszedłem z uczuciem wielkiego smutku i przygnębienia. Dla tych, jako ksiądz, prócz modlitwy i błogosławieństwa, nic nie mam. Tym biedakom nic pomóc, w niczem ulżyć nie można.

To chyba najbiedniejsi z biednych. Wegetują tylko — nie żyją.

Dęblin, 10 lipca 1918.

Wczoraj przeżyliśmy na dworcu wzruszającą scenę. Przy jednym z oddziałów wojskowych w Dęblinie był starszy już żołnierz, Węgier, zajęty tam jako szewc. Skarżył się, że wszyscy wracają, wszyscy jadą, a jego syn, zabrany jeszcze przed czterema laty do niewoli, ciągle tam gdzieś daleko i nie wiadomo, czy wogóle żyje. Pocięszalem biedaka jak mogłem, poleciłem mu odprowadzić Nowennę do Matki Najświętszej.

Byłem wzruszony wytrwałością, z jaką ten biedny żołnierz codziennie wychodził na dworzec szukać syna między powracającymi. Nie przypuszczałem, że nadzieje ojca tak prędko się ziszczą.

Dziś stoimy na placu kolejowym, muzyka gra, zajeżdża długi pociąg. Naraz słyszymy w węgierskim języku głośnie: atya, atya! ojcz, ojcz! — Z wagonu wyskakuje młody jeszcze, ale bardzo wymizerowany żołnierz i rzuca się na szyję swemu ojcu, memu znajomemu Węgrowi.

Płakali obaj z radości. To patrzyli na siebie, to rzucali się wzajemnie w objęcia i ściskali się po długiej tułaczce, rozłące. Pożegnali się tam gdzieś na Węgrzech przed kilku laty, a spotykają się w Dęblinie, obaj oszołomieni wprost nagłem szczęściem i radością.

Po wielu jeńcach, szczególnie oficerach, znać z rozmowy, że cierpią na rozstrój nerwowy, że z nimi źle. Brak zajęcia, mieszkanie gromadne, jednostajność i niepewność co będzie jutro, kiedy się to skończy, denerwuje szalenie i wyprowadza z równowagi. Są chwile, kiedy każdy ruch sprawia przykrość i boli.

Bo człowiek, choć może znieść dużo, znosi wszystko, tylko w miarę: i pracę i wysiłek i życie ogromnie czynne, albo zupełny brak zajęcia, spokój, bezczynność. Nadmiar jednego lub drugiego zawsze szkodzić musi — szarpie nerwy i w końcu zabija.

O przewrocie rewolucyjnym w Rosji te same hiobowe wieści. Coraz więcej dokucza wszystkim głód. Ukraina, skąd Rosja czerpała dawniej zapasy, jest obecnie z woli Austrii i Niemiec osobnym państwem i nie dostarcza Rosji niczego. Ziemia ukraińska żyzna, urodzajna, ale dziś zniszczona; zresztą Niemcy zabierają co tylko mogą. Dwory, folwarki poniszczone, zapasy, inwentarz zmarnowane, rozkradzione — niema czem pola

obrobić, ani co zasiać. A chłopci uprawiają tyle tylko, ile im samym potrzeba, byle z głodu nie umrzeć i byle starczyło na wódkę. Pijaństwo grasuje na Ukrainie w zastraszający sposób. Piją wszyscy — młodzi i starzy, godni potomkowie dawnej czerni hajdamackiej.

Smutne warunki życiowe w Rosji i na Ukrainie odbijają się przedewszystkiem na jeńcach, którzy nie mogli sami ani pracować, ani postarać się o żywność, tylko skazani byli na leżenie w szpitalach. Błogosławia też wszyscy wspaniałomyślną inicjatywę Ojca św. Benedykta XV, prawdziwego ojca krwawiącej dziś ludzkości, który nie mogąc nic wskórać w kierunku wzajemnych ustępstw i zakończenia wojny, stara się ocierać łzy najnieszczęśliwszym ofiarom wojny.

Akcja wymienna inwalidów wojennych, to dzieło Ojca św. Wiedzą o tem jeńcy i są za to dzieło samarytańskie Ojcu św. bardzo wdzięczni i wystosowali niedawno do niego adres dziękczynny.

Doniosłość akcji chrześcijańskiej Benedykta XV można najlepiej ocenić, przyglądając się pociągom, zawierającym tylu cierpiących — tym cierpieniom ulżyć może tylko miłość i opieka w ojczyźnie, serca najbliższych, kochana ręka matki, żony lub dziecka.

Wszystkich trawi gruźlica i skorbut. Czasem ciało pokryte wrzodami od stóp do głów. Dziąsła nabrzmiałe, ciemnoczerwone; dotknąć się zębów, to ruszają się jak klawisze.

Dziś pogrzebaliśmy aż siedmiu naraz, siedmiu biedaków, co przecierpieli tam w niewoli

wszystko, a umarli tutaj u progu wolności, na drodze do domu. Siedem trumien czarnych, ubranych polnem kwieciami.

Każda z nich to osobna, zamknięta już historia życia tragicznego, smutnego nad wyraz. Jak to przykro, kiedy oni, umierając, marzą jeszcze o swym domu i pytają, czy prędko dojadą, czy to jeszcze daleko. W domu tęsknią za nimi, a oni tu umierają, obcy między obcymi.

Spoczęli wszyscy w jednej mogile. Jak cierpieli razem, tak i razem legli. Jak złączyła ich śmierć do jednego wspólnego pogrzebu, tak wzniosła się nad nimi jedna mogiła, jeden wielki krzyż, symbol ich i naszego życia.

Ile to już takich trumien, ile mogił posiadała ta wojna!

Gdzie okiem rzucić, gdzie pojechać, pełno grobów, pełno cmentarzy wojennych.

A każda mogiła, to wielka krzywda, wyrządzona matce, dzieciom. O każdą połało się tyle łez, tam gdzieś w domu, o każdą tyle bólu bezsilnego i rozpaczliwego!

Jeszcze nigdy nie wił się świat w takich mękach, nigdy nie pławił się tak we łzach i krwi. Jakby ktoś dobijał ten świat cały i ludzkość, jakby ktoś miał tylko ten cel, by ją zniszczyć do szczętnie. A końca mimo wszystko nie widać. Owszem, rany coraz głębsze, coraz krwawsze, sposób uśmiercania coraz bardziej wyrafinowany.

Chwała Bogu, że wśród tego morza łez i krwi możemy my z krainy mogił i krzyżów klęknąć i dziękować Panu Bogu, żeśmy się do tych krzywd i rzezi nie przyczynili, żeśmy nie sfabry-

kowali ani jednej kuli, żadnego pocisku, żeśmy nie umorzyli głodem ani jednego jeńca, nie zabrali nikomu ani jednej kromki chleba, ani jednej morgi ziemi, żeśmy prześladowanymi a nie prześladowcami. „Szata Polski nieskalana, przenajczystsza i świetlana.“

Nie mówimy tego, Panie, by się wynosić nad drugich, lecz by przyspieszyć Twoje nad nami zmiłowanie!

Dęblin, 21 lipca 1918.

Na zachodnim froncie ruszyli Niemcy, po kilkutygodniowej przerwie, do ataku i to w trzech kierunkach. Obliczone były te gwałtowne ataki przy pomocy gazów trujących i płomieni ognistych na skruszenie frontu francuskiego i posunięcie się na całej długości frontu, nie tylko w kierunku Paryża, ale i Reims, Chalons i Verdun.

Tymczasem Francuzi rozpoczęli między Aisną i Marną kontratak. Przy pomocy tanków wdarli się do linii niemieckich, wobec czego wojsko niemieckie, które już po raz drugi w tej wojnie przekroczyło rzekę Marnę, wycofano na wschód od Marny i od Chateau-Thierry.

Komunikat francuski donosi, że oddziały francuskie, wspólnie z wojskami amerykańskimi, zaatakowały front niemiecki na przestrzeni 45 km, odzyskały więcej niż 20 wsi, wzięły 20.000 jeńców i znaczną zdobycz, między innymi ponad czterysta dział.

Na froncie zachodnim skoncentrowały obie strony przeszło 11 milionów żołnierzy!

Dęblin, 27 lipca 1918.

Praca w Dęblinie skończona. Otrzymałem z Lublina zawiadomienie o przeniesieniu mnie z dniem 1 sierpnia do Radomia na stanowisko kapelana komendy powiatowej — Kreiskommando.

Każda zmiana trudna, przywiązuję się do miejsca, do ludzi, do pracy, przywykłem do Dębina, znam tu każdą drogę, każdą ścieżkę, nieledwie każdy kamień, przeżyłem tu dużo chwil miłych i najboleśniejszą — śmierć matki — mam tu dużo serc życzliwych, szczególnie w Borowinie u pp. Mierzejewskich, ale wobec ciągłych dysonansów z komendą tutejszą, wobec utrudnień, jakie mam od pewnego czasu w pracy duszpasterskiej, pożegnaj Dęblin z zadowoleniem. Zresztą Radom niedaleko.

R a d o m, 18 sierpnia 1918.

Sądziłem, że mi będzie ciężko wyjeżdżać z Dębina i opuszczać miejsce przeszło trzechletniej pracy. Jednak poszło wszystko nadspodziewanie łatwo. Na dworcu pożegnali mnie koledzy oficerowie. Przybyło też dużo dobrych, życzliwych ludzi z okolicy, żegnali bardzo serdecznie.

Do Radomia przyjechałem 8 sierpnia wieczorem.

Wszedłem w środowisko zupełnie obce, nieznane. Nie byłem nigdy przedtem w Radomiu, nie znam tu nikogo.

Wyznaczono mi kwaterę tymczasową w Hotelu Rzymskim, w małym pokoiku od podwórza.

Tak mieszkać nie było można. Trzeba było pomyśleć o jakimś odpowiedniejszym mieszkaniu tem więcej, że w charakterze kapelana prowadzę sprawy metrykalne wszystkich wojskowych powiatu radomskiego i ruch zapowiadał się duży.

Dotychczas niewiele mogłem zrobić, bo całe dni schodziły mi na poszukiwaniu mieszkania. Nie łatwa to rzecz. Zraża wszystkich mój austriacki mundur, a serca im przecież pokazać nie mogę. Do tego dołącza się ogólny brak mieszkań, bo wszystko zarekwirowane oddawna przez władze wojskowe i przez powracających z Rosji „bieżeńców“.

Ostatecznie udało mi się wynająć mieszkanie przy ul. Lubelskiej 50 u pp. Klimerów.

W czasie codziennych wędrówek po różnych ulicach Radomia szukałem śladów przeszłości, zapoznając się równocześnie z historją miasta, dawniej gubernjalnego, liczącego koło 80 tysięcy mieszkańców.

Niewiele dotąd o Radomiu słyszałem. Z czasów przedwojennych przypominam sobie kilkakrotne wzmianki w gazetach o zamachach przy pomocy bomb na różnych rosyjskich dygnitarzy, później zaś widywałem Radom z pociągu na drodze do Dębli.

Radom nie posiada prawie żadnych pamiątek z dawnych czasów. Jedynym zabytkiem, posiadającym patynę przeszłości, jest kościół i klasztor po-bernardyński. Poza tem zatarto wszelkie ślady bądź co bądź niepośledniej historii miasta.

Radom znany jest już w XIII wieku. Kazimierz Wielki bywał często w Radomiu, a Jagiełło gościł tu co roku w zamku królewskim, tak samo Kazimierz Jagiellończyk. W połowie XV wieku odbywają się tu sejmy, w r. 1481 i 1482 mieszkał tu św. Kazimierz, później Zygmunt I, Barbara Radziwiłłówna, Zygmunt August, później August II. W r. 1505 sejm w Radomiu uchwała za Aleksandra Jagiellończyka „Nihil novi” i zatwierdza statut Łaskiego. Tu odbywały się trybunały od r. 1613, które trwały do 1764. Tu przebywał Pułaski, potem Kościuszkowski w 1794 roku. Od r. 1844 był Radom stolicą gubernji.

Kościółów ma Radom tylko trzy: Farny, pobernardyński i nowy Marjacki*). Jest i cerkiew prawosławna, wybudowana na pierwszorzędnym placu, dziś zamknięta. Jest jeszcze opuszczony kościół św. Trójcy, bliski zupełnej ruiny i są ślady kościoła na Starem Mieście, św. Wacława, zamienionego na szpital epidemiczny.

Principałą ulicą jest ul. Lubelska, przecinająca miasto na dwie mniej więcej równe części.

Na pierwszy rzut oka brak miastu jakiegoś wyraźnego charakteru. I domy i ulice mogłyby być częścią innego miasta, niekoniecznie Radomia — są szablonowe bez wszelkiej odrębności.

Zdaje się, że to samo można powiedzieć o mieszkańcach miasta Radomia. Niema typów specjalnie radomskich. Rzuca się w oczy waleśnienie się bezczynne i wystawanie ludzi na rogach ulic.

*) obecnie siedem.

Stosunki służbowe możliwe. Komendantem powiatu jest Polak, generał Kwiatkowski, robi wrażenie człowieka rozumnego. Skład grona oficerskiego i urzędników wojskowych typowy austriacki. Nie brak chyba żadnej narodowości. Mój stosunek do wojskowości naogół bardzo luźny.

Wczoraj mieliśmy tu uroczystości z racji urodzin cesarza Karola. Nabożeństwo w kościele Marjackim, potem obiad w gmachu gubernjalnym. Proszeni byli przedstawiciele ludności cywilnej. Nie przyszli jednak wszyscy. Zwracała uwagę nieobecność ks. prałata Górskiego, proboszcza radomskiego. Zato był rabin tutejszy, co wszystkich niemile raziło. Przyniósł sobie swój talerz i swoje nakrycie.

Podczas obiadu szalała nad Radomiem burza z błyskawicami i piorunami, która spotęgowała się w czasie przemówienia gen. Kwiatkowskiego i toastu na cześć cesarza. Zrobiło się wtedy zupełnie ciemno, a ulewa wzmogła się do tego stopnia, że woda płynęła całą szerokością ulicy.

Wogóle dzień wczorajszy był feralny, bo pod koniec obiadu doniesiono, że na podwórzu budynku gubernjalnego, w którym siedzieliśmy, utopił się, a raczej udusił gazami w studni jakiś chłopak. Rzeczywiście po jakimś czasie wydobyto kilkunastoletniego chłopca, który nie wiadomo poco zszedł po rurach wodociągowych w głęboko sklepioną studnię i tam się udusił.

Zepsuło to do reszty nastrój dnia. Nie mogły nawet popołudniowe i wieczorne zabawy, urządzone przez żołnierzy w parku na Zamłyniu.

R a d o m, 12 września 1918.

Obecnie przybył mi nowy dział duszpasterstwa — mianowicie duszpasterstwo więzienne. W dawnym klasztorze SS. Benedyktynek, przy ul. Warszawskiej, istnieje więzienie, pozostające pod zarządem wojskowym. Tam w więzieniu przebywa kilkaset moich „parafjan“.

Poszedłem do nich z nabożeństwem. U bramy od ulicy posterunek. Klucze od drzwi, prowadzących do wnętrza, nosi przy sobie stale jeden ze straży wojskowej. Za drzwiami ciężka brama z grubych sztab żelaznych. Tu dopiero pojmuje się, co to jest swoboda, wolność, a co więzienie i pozbawienie wolności.

Wzdłuż długich korytarzy cele więzienne. Każda zaopatrzona w silne, mocne drzwi, w drzwiach małe okienko, zasuwane od strony korytarza. Przez to okienko bada dozorca więzienny, co więzień robi, co się w celi dzieje. Cele bez umeblowania, jedynym „meblem“ to łóżko, a właściwie pryczka, zbita z kilku desek.

Na końcu korytarza niewielka kaplica, w niej ołtarz, stół, szafa, konfesjonał. Więźniowie słuchają Mszy św., stojąc na korytarzu.

Niezmiernie przykre wrażenie czyni to wszystko a w szczególności przykrem i przynębiającem jest schodzenie się więźniów na nabożeństwo.

Ze wszystkich stron, z parteru, piętra, korytarza, schodów słychać brzęk kajdan na nogach, wleczonych przez więźniów. Większość ma skute i ręce i nogi. Żeby w czasie chodzenia kajdany nie zdierały skóry z nóg i nie raniły ciała, pod-

trzymują je sobie więźniowie sznurkiem, trzymanym w ręku.

Za każdym krokiem więźnia, za każdym ruchem dzwonią kajdany tak przykro i złowrogo, nieludzko, że aż boli słuchać.

Są rzeczy, w które trudno się wsłuchać i przyzwyczaić. Do takich należy stuk i brzęk kajdan w czasie schodzenia się więźniów na nabożeństwo więzienne, na Mszę św.

Wielu z tych parafjan więziennych czeka wyrok śmierci, wielu z nich skazanych na dożywotnie więzienie.

Co do takich mówić, jak do nich przemawiać?

Chciałoby się wydobyć wszyściuteńko z duszy, wszystkie argumenty, całą gamę uczuć, by trafić do serca każdego.

Może są i ofiary przypadku, nieporozumienia jakiegoś, ludzie bez winy, ale stanowcza większość ma na sumieniu krzywdę, a często i życie ludzkie, ma ręce zbrczone krwią. U takich drzwi do duszy zatarasowane, wrzeczadze zardzewiałe od lat wielu. A jeżeli tam przedostanie się promień łaski Bożej, to załamuje się i rozbija o chorą wolę, o oswojenie się z grzeszeniem i zbrodnią.

Ile to przyczyn na to się składa, że kogoś słusznie zakuwają w kajdany!

Nikt nie rodzi się z kajdanami na rękach, nikt nie rodzi się zbrodniarzem. Człowiek sam w sobie nie jest złym. Dopiero staje się nim wskutek warunków, w jakich żyje, przez to, że pozwolił rozrósć się złemu w swej duszy, nie nauczył się nigdy przeciwstawiać złu, stracił wolę i władzę nad sobą.

I ci moi parafjanie nie byli odrazu zbrodniarzami. I oni byli kiedyś dziećmi, byli dobrymi i mieli możność stać się ludźmi pożytecznymi dla społeczeństwa — dziś są wyrzutkami, dziś wzbudzają u wszystkich lęk i bojaźń, strach.

I oni mieli w swem życiu niejeden okres jasny, piękny. I do tych chwil chętnie teraz w swoich wspomnieniach wracają, wspomnieniami temi żyją i bronią się niemi przed pamięcią o tych kilku momentach czarnych, ponurych, które spowodowały odosobnienie ich od reszty ludzi i spowodowały tutaj za kratę więzienną.

I zawsze wtedy, gdy przemawiając do nich, poruszam te dawne ich wspomnienia z lat dziecięcych, lata pierwszej młodości niewinnej, gdy wspomnę im o matce, o pierwszym pacierzu, to widać w niejednym oku łzy. Uspakają się wtedy i cichną, skupiają nawet tacy, co z całym cynizmem, pomrukiwaniem i nawpół głośnemi rozmowami i potrząsaniem kajdan nieraz umyślnie w nabożeństwie przeszkadzali.

Po nabożeństwie zatrzymuję więźniów i śpiewam z nimi. Umieją już sporo pieśni i patryjotycznych i kościelnych. W czasie Mszy św. śpiewają „Godzinki“.

W ubiegłą niedzielę zabieram się po Mszy św. jak zwykle do śpiewania — tymczasem śpiewa tylko kilku, reszta uśmiecha się dziwnie i ani drgnie. Pytam dlaczego, odpowiadają, że im wczoraj zmniejszono porcję chleba, że im się chce jeść i nie mogą śpiewać.

Zwróciłem im uwagę, że strajk skierowali pod fałszywym adresem, bo to nie moje zarządzenie, ani ja tej nadwyżki chleba nie zjadam i że

mi ich śpiew do szczęścia wcale niepotrzebny, a czas spędzony z nimi w więzieniu mogę zużyć gdzie indziej na coś lepszego. Skończyło się na tem, że mnie przeprosili, wycalowali po rękach i śpiewali pomimo głodu jak nigdy dotąd, aż rozlegało się i huczało na całe więzienie.

R a d o m, 29 września 1918.

Od dwóch tygodni udzielam nauki religji w szkole niemieckiej przy kościele protestanckim w Radomiu. Uczęszcza tam sporo dzieci oficerów i urzędników austriackich katolickich, zebranych z najrozmaitszych stron Austrii. Naogół dzieci rozwinięte, jednak zaniedbane w czasie wojny, wskutek ciągłego przerywania nauki i przenoszenia się z miejsca na miejsce.

U nas w każdym razie lepiej im niż w kraju, bo tu mimo wszystko niema tak przykrych ograniczeń aprowizacyjnych, jak w Austrii, gdzie wszystko i chleb i cukier i kartofle i tłuszcze wydaje się na kartki, w ilościach ściśle określonych przez urzędy aprowizacyjne przy gminach. To też kto może jedzie do Polski, by się trochę pożywić i odżywić.

Nie przypuszczałem nigdy, że wypadnie mi w Polsce, tuż pod Warszawą, uczyć po niemiecku.

Praca ta daje mi jednak sposobność zbliżenia się do rodziców moich przygodnych uczniów i uczennic. Rodzice ci, znalazłszy się w obcym sobie środowisku, nie związani niczem ani z miejscem pobytu, ani z księdzem, odzwyczaili się po większej części od kościoła i życia religijnego. W takiej sytuacji dzieci są prawdziwie opatrzo-

ściowym łącznikiem i pomocą w oddziaływaniu na wojskowych parafjan.

Wstąpiłem w tym tygodniu do Dębłina w przejeździe koleją do Lublina.

Po drodze spotykałem znajomych, witali przyjaźnie.

Jednak dziwnie mi tam jakoś smutno było, jakaś tęsknota wielka owładnęła całą duszą i żal, że to, co się tam przeżywało, już minęło, już przeszło i że należy już tylko do przeszłości, do wspomnień.

Kiedy przechodzi tydzień po tygodniu i człowiek czeka na tydzień nowy, nie docenia wcale teraźniejszości, nie przywiązuje do niej wagi, nie traktuje jej poważnie, lecz śpieszy ciągle naprzód, biegnie myślą, planami, marzeniami w dal, w przyszłość tajemniczą.

Dopiero kiedy tam coś się załame lub zmieni nagle, kiedy człowiek znajdzie się w innych warunkach, wtedy orientuje się, że chwile, których nie doceniał, bo je miał, że to były chwile prze-drogie, o niesłychanej wartości i cenie.

I było mi żal, że to wszystko już było, minęło, że tego już niema.

Przypuszczam, że tak właśnie każdemu z nas przy końcu życia żal będzie niejednej chwili, którą należało sobie bardziej cenić i czemś wielkiem zapełnić, a tymczasem przeszła niedoceniona, zmarnowana.

Tam w Dęblinie znam każdą ścieżkę, nieledwie każde drzewo, każdy szczegół. Dopiero teraz poznałem, jak mi to wszystko wrosło w duszę przez te trzy lata.

Poszedłem na cmentarz, o którym mogę śmiało powiedzieć, że to moje dzieło: od alei, od drzewek, które kazałem tam posadzić, ogrodzenia do napisów na mogiłach. A w mogiłach iluż znajomych, iluż takich, z którymi zbliżyliśmy się w czasie cierpienia i choroby śmiertelnej, takich, którym byłem powiernikiem duszy, którym zamknąłem powieki na grobowy spoczynek!

I byłbym tam nie wiem, jak długo błędził wśród tych krzyżów i mogił, gdyby nie zmierzch i konieczność powrócenia tam, gdzie życie, gdzie nowy obowiązek, nowa praca.

R a d o m, 5 października 1918.

W tych dniach zaszły pierwszorzędne wypadki polityczne.

Bułgarja złożyła w zeszłym tygodniu broń.

Po klęsce pod Wardarem, gdzie armja bułgarska została rozbita i rozerwana na kilka części, a cały materiał wojenny dostał się w ręce koalicji, zażądał premier bułgarski Malinow warunków zawieszenia broni. Warunki postawiono twarde. Pozbawiają one w zupełności Bułgarję terenów przez nią obsadzonych w wojnie obecnej i terenów, uzyskanych w poprzednich wojnach bałkańskich. Jednak Bułgarja warunki te przyjęła, oddając się na łaskę i niełaskę koalicji.

Tem samem z chwilą zwinięcia frontu bułgarskiego nastąpił na zwartym i jednolitym dotychczas froncie państw centralnych poważny i decydujący wyłom.

Zrozumiano w całym świecie, że to wypadek pierwszorzędny, decydujący. O ile przedtem, po-

mimo nadzwyczajnych sukcesów koalicji na zachodzie od sześciu tygodni, głównie przy pomocy tanków, można było jeszcze ciągle wątpić w pomyslny wynik wojny, to teraz zrozumiał każdy, że Bułgarja zadała ostateczny cios państwom centralnym, że ostateczne zwycięstwo koalicji jest kwestją niedalekiej przyszłości.

Przycichły momentalnie buńczuczne mowy i domagania się aneksji przez Niemców. Mieli przecież zamiar przyłączyć do Niemiec Zagłębie dąbrowieckie i część Kaliskiego. Widać, że tak jak u ludzi poszczególnych, tak samo i u narodów, u państw, pycha poprzedza ostateczny upadek.

W parlamencie wiedeńskim toczą się obrady pod wrażeniem wypadków bułgarskich i niesłychanie silnej ofensywy wojsk belgijskich, francuskich, angielskich i amerykańskich na froncie zachodnim koło Reims, St. Quentin i Lille, od morza po Verdun, gdzie Niemcy zaczynają się cofać wśród rozpaczliwych walk o każdą piędź ziemi.

Posłowie polscy w parlamencie wiedeńskim złożyli wniosek, zdążający do utworzenia na międzynarodowym kongresie wolnej, niepodległej Polski.

„Uważamy podział Polski — tak opiewa wniosek — za akt gwałtu, dokonany na narodzie polskim. Domagamy się przywrócenia niezawisłego z wszystkich polskich części złożonego państwa polskiego, a więc z właściwem wybrzeżem, jako też z obszarów, zamieszkałych przeważnie przez ludność polską, zwłaszcza Śląska. — Odrzucamy wszelkie jednostronne rozwiązanie kwestji polskiej. Domagamy się udziału przedstawicieli na-

rodu polskiego w kongresie pokojowym świata, który ma sprawę Polski rozwiązać.“

R a d o m, 7 października 1918.

Dziś przyniosły gazety tekst depeszy rządów: austriackiego, niemieckiego, tureckiego do Wilsona, prezydenta Stanów Zjednoczonych, w której za pośrednictwem rządu szwedzkiego proponują dyskusję pokojową na zasadzie 14 punktów Wilsona z 8 stycznia 1918*), określających

*) Zawarte w orędziu Wilsona z 8 stycznia 1918 warunki pokoju w liczbie 14 brzmią w streszczeniu:

1. Wszystkie traktaty pokojowe muszą być jawnie powzięte z wykluczeniem tajnej dyplomacji.
2. Wolność żeglugi na wszystkich morzach.
3. Możliwe usunięcie ograniczeń handlowych i równość państw w tej dziedzinie.
4. Ograniczenie zbrojeń do minimum.
5. Załagodzenie sporów kolonialnych z uwzględnieniem interesów tubylców.
6. Opróżnienie obszaru całej Rosji i nieprzeszkadzanie w sposobach jej wewnętrznego urządzenia się.
7. Ewakuacja i restauracja Belgji przy uszanowaniu jej suwerenności.
8. Zwrot Alzacji i Lotaryngji.
9. Uregulowanie granic z Włochami w myśl sprawiedliwości narodowej.
10. Nadanie ludom Austro-Węgier możności samorządnego rozwoju.
11. Ewakuacja i restauracja Rumunii, Serbji i Czarnogóry. Wolny dostęp do morza dla Serbji. Międzynarodowe ustalenie stosunków wzajemnych między państwami bałkańskimi.
12. Samodzielność dla części cesarstwa osmańskiego, zamieszkałej przez Turków. Autonomia dla innych narodowości Turcję zamieszkujących. Wolny przejazd przez Dardanele.

prawa samostanowienia narodów, które to punkty wysunął Wilson jako podstawę do nowego uporządkowania Europy.

Jest to już konkretne zabieganie o pokój i ogromny postęp w kierunku zakończenia wojny, demoralizującej całą ludzkość, postęp w stosunku do 1916 roku, kiedy nie wolno było nic pisać o pokoju i konfiskowano nawet widokówki z napisem: pax — pokój.

Nie przeszkadza to jednak państwom centralnym w rozwijaniu w wojsku i w kraju agitacji za dziesiątą już pożyczką wojenną i zmuszaniu różnemi sposobami do oddawania ostatniego grosza na rzecz wojny. Są wszędzie specjaliści oficerowie, którzy nic nie robią, tylko agitują za pożyczkami — Kriegsanleihe.

Niemcy są oczywiście przekonani, że Wilson odpowie na propozycję pokojową przychylnie i że wojna potem odrazu się skończy. Jednak z dzienników widać, że już dziś nakręcają owe punkty na swoją korzyść. Sprawę samostanowienia, podniesioną przez Wilsona, pojmują tak, że narody będą stanowić o sobie, ale w ramach istniejących dziś państw, a więc o zmianach obecnych granic nie może być mowy.

Sytuacja militarna przedstawia się dla państw centralnych fatalnie. Trudno uwierzyć, by koali-

13. Niezawisła Polska, obejmująca terytorja niewątpliwie przez Polaków zaludnioną, ma mieć dostęp do morza.

14. Założenie związku narodów celem wzajemnej poręki tych zasad.

cja nie zechciała wykorzystać tej sytuacji i upokorzyć do ostatka państwa centralne teraz, kiedy po tylu upokorzeniach i klęskach, po ciągłym cofaniu się wojna wzięła nareszcie tak pomyślny dla koalicji obrót.

Obecnie droga przez Serbję na Węgry otwarta, wskutek czego front włoski i albański zagrożony. Mówi się o bliskiem przystąpieniu do koalicji Rumunji, niezadowolonej z pokoju, zawartego przedtem z Niemcami i Austrią w Bukareszcie, wskutek czego Niemcy musieliby zwinąć swój front na Ukrainie.

Cambrai, St. Quentin, Lens zdobyte. Armje koalicyjne prą z żelazną energją i konsekwencją pod wspólnem dowództwem marszałka Focha ku granicom niemieckim. Wszystko co trzymało się od czterech lat jak jaka silna, żelazna, niespożyta twierdza, zaczyna coraz wyraźniej i widoczniej trzeszczeć i pękać.

Pod wpływem tych wypadków następują zmiany w rządach, tak w Niemczech jak i w Austrii. W Niemczech weszło do rządu siedmiu socjalistów. Widocznie sfery rządzące chcą zapobiec grożącej rewolucji ze strony mas robotniczych, najwięcej niezadowolonych i oprzeć na nich rząd wraz z odpowiedzialnością za losy państwa. — W Austrii pojawiają się daleko idące plany przebudowy państwa jako federacji różnych narodów, wchodzących w skład monarchji.

Czesi zwołują do Pragi na dziś i na dzień jutrzejszy konstytuante z wszystkich czeskich posłów parlamentarnych, sejmowych, oraz burmistrzów z Czech, Moraw i Śląska. Przestali już li-

czyć się i pertraktować z rządem austriackim. Są bowiem przekonani, że wszystko wnet się rozleci i że nie warto podtrzymywać walącej się, sztucznej budowy cesarstwa Habsburgów.

Od szeregu miesięcy nie było takiego ogólnego podniecenia i zainteresowania wypadkami, jak obecnie.

Wobec tego bledną zupełnie wypadki w Rosji, terror uprawiany przez bolszewików, którzy mimo wszystko utrzymują się przy rządach i zatapiają we krwi wszystkie próby kontrrewolucji. Równocześnie armje: angielska od północy z Rumunia, kozackie od Uralu, czecho-słowacka i japońska ze Syberji walczą z bolszewikami, starając się koncentrycznym atakiem dotrzeć do Petersburga i Moskwy.

Dzienniki omawiają już zupełnie swobodnie kwestję bliskiego opróżnienia Polski przez obecne władze okupacyjne niemieckie i austriackie i zalecają zorganizowanie służby bezpieczeństwa na czas przejściowy. Narazie władze okupacyjne są zajęte sądzeniem i karaniem różnych objawów protestu społeczeństwa za haniebnny pokój brzeski. Zato patrzą przez palce na cichą i planową agitację różnych agitatorów bolszewickich, którzy wracają razem z „bieżeńcami“, zalewają Polskę i przy pomocy „bundystów“ żydowskich przyszczepiają na tutejszy grunt idee komunistyczne. Nadużycia władz okupacyjnych, zubożenie kraju, bezrobocie, drożyzna stworzyły dużo fermentu i niezadowolenia oraz podatny grunt pod wszelkiego rodzaju przewrutową agitację. A tymczasem Niemcy ciążą twardo na Polsce, odrzucają i unie-

możliwiają obecnie wszelką myśl o tworzeniu większej armji polskiej na swych tyłach, z tych samych powodów, dla których rozbroili dnia 22 maja b. r. korpus Dowbora-Muśnickiego.

R a d o m, 10 października 1918.

Wczoraj przyniosły dzienniki odezwę Rady Regencyjnej, zamieszczoną w „Monitorze Polskim“. Rada Regencyjna rozwiązuje dotychczasową Radę Stanu i zwołuje zgromadzenie reprezentantów całego narodu, które ma opracować jak najprędzej konstytucję dla wolnej Polski i zwołać potem Sejm celem urządzenia zwierzchniej władzy państwowej.

Równocześnie zgłasza Rada Regencyjna prawo do nienaruszalności i niepodległości wszystkich ziem i terytorjów, zamieszkanych przez lud rdzennie polski, z dostępem do morza.

Odpowiedzi na depeszę państw centralnych do Wilsona dotychczas niema. Powoli zaczynają się ludzie domyślać, że wojna może potrwać jeszcze długo, bo ani Niemcy, ani Austrija nie okazują na razie gotowości wyciągnięcia konsekwencyj z punktów Wilsona. Ciężko im zrozumieć, że to, co od szeregu lat uważają za dobre, jest złem i nieszczęściem dla Europy i ludzkości.

R a d o m, 11 października 1918.

Od dwóch dni chodzę wieczorami do kościoła po-bernardyńskiego. Na propozycję Rektora

tego kościoła ks. kan. Rokosznego*) odprawiam nabożeństwa różańcowe, połączone z naukami.

Mówię o „Zdrowaś Marjo“.

Rozpocząłem od zwrócenia uwagi, jak to cały miesiąc różańcowy, październik, pozostaje pod znakiem „Zdrowasia“.

I w domu i w kościele i w okopach i w szpitalach, po jednej i po drugiej stronie tylu różnych frontów, tyle milionów ust i serc szepce teraz — Zdrowaś Marjo!

I może nigdy świat nie wymawiał tych słów wśród tylu cierpień i łez, co teraz w piątym roku wojny. Ale też pewno nigdy nie szeptano słów tych z taką wiarą i ufnością jak obecnie. — Wszelkie hasła, idee i myśli, zrodzone tu na krwawiącej się ziemi, zawiodły, poznano się na nich. Dlatego odzyskały znowu swą pierwotną wartość słowa, zrodzone w niebie.

Ave Maria! Zdrowaś Marjo! Słowa poczęte w niebie zanosi na tę ziemię wysłannik Boży, archanioł. On je głosi pierwszy, a po aniele powtarza je cała ludzkość poprzez wieki.

Kiedy idziesz drogą, pozdrowisz kogo, to ci odpowie na pozdrowienie. Kiedy ktoś drogi przyśle z frontu lub z niewoli kartkę z pozdrowieniem, czy nie odpisujemy jak najprędzej?

A gdy pozdrowisz Marję, gdy powiesz Jej — Zdrowaś Marjo! — czyż to miałoby pozostać bez echa, bez odpowiedzi z nieba?

*) Ks. Józef Rokosznny, prałat kapituły Sandomierskiej, wizytator szkół, członek Akademji Umiejętności, autor wielu dzieł, dyrektor semin. naucz. w Radomiu, umarł 30 listopada 1931 w Rzymie.

To niemożliwe!

Więc też, kiedy wszystko w Polsce dziś zawodzi, wszelkie obliczenia i nadzieje, gdy nas głodzą, chleb wydzielają, gdy nas depcą, nienawidzą, my jako naród zostanmy wierni naszej Królowej. Przypominajmy się Jej, pozdrawiamy Ją, a da Bóg doczekamy się wreszcie — odpowiedzi!

Wczoraj liczba biorących udział w nabożeństwie różańcowem była znacznie większa. Uprzedzenie do kapelana austriackiego znika.

Mówiłem o znaczeniu imienia: Marja. Miriam — gwiazda, jasność, gwiazda morza, według której rozbitek biedny prostuje swą drogę.

Wyobraźmy sobie z Albanem Stolzem, że jednego wieczoru zaszło słońce i nastala noc. I ludzie wszyscy oczekują rana, świtu, brzasku, a tymczasem zamiast poświaty — ciągle noc i noc, przedłużająca się rozpaczliwie na całe dni, tygodnie! Pewnoby życie zamarło, wszystkoby zlodowaciało.

A gdyby tak potem nagle wśród tej strasznej nocy, hen tam na wschodzie zajaśniał jeden mały promyczek, punkcik jakiś jaśniejszy i rósłby potem powolutku i rósł i niósł ze sobą nadzieję, ratunek, zbawienie — co by to była za radość bezmierna, jakby to ludzie wszyscy witali na kolanach to światelko, gwiazdę, zwiastującą ratunek!

Po tysiącach lat beznadziejnej tęsknoty — Marja — to ten pierwszy promyczek, gwiazda, co zwiastuje zbawienie — Miriam. Z Nią przychodzi odkupienie i zbawienie.

W Polsce dziś podobna noc beznadziejna, bez światła, noc dłuższa nad wszelkie tęsknoty

i oczekiwania. Któż nam będzie tym jasnym promyczkiem wśród braku wszelkiej nadziei? Chyba tylko Ta, co była nam ostoją w chwilach największych nieszczęść dziejowych: Marja — Miriam! Ty to zrobisz Marjo, że „dnia trzeciego się rozwidni i na wieki będzie rano!“*)

R a d o m, 15 października 1918.

W Warszawie odbywają się narady nad utworzeniem rządu polskiego, nad przejściem od okupantów administracji kraju i nad utworzeniem własnego wojska.

Rada Regencyjna wzywa posłów Koła polskiego w Wiedniu i w Berlinie do wydelegowania przedstawicieli na narady w Warszawie, mające na celu utworzenie Rady Narodowej i rządu koalicyjnego. Zamierzone jest zwołanie konstanty trójdzielnicowej, Sejmu, który będzie miał prawo urzędzenia i powołania zwierzchniej władzy państwowej. Z chwilą powstania tej władzy chce Rada Regencyjna ustąpić.

W Krakowie uchwalili kolejarze wprowadzenie języka polskiego, urzędowego, w miejsce języka niemieckiego, począwszy od północy z 13-go na 14 października.

Jako chłopiec przesiadywałem często nad linią kolejową węgierską Koszyce-Bogumin i obserwowałem pociągi różne, zdążające to w jedną lub w drugą stronę. Kolej ta łączyła Niemcy z Bałkanem i Bagdadem. Widziało się różnego

*) Krasiński, Przedświt.

rodzaju parowozy i wagony, napisy na wagonach we wszystkich językach. Wypatrywałem wciąż choćby jednego polskiego napisu! Cobym był dał wtedy zato, by móc zobaczyć choć jeden polski wagon! Dziś marzenie staje się faktem.

R a d o m, 16 października 1918.

W kościele wieczorem coraz więcej ludzi.

Mówilem na temat: „Łaskiś pełna, Pan z Tobą“. Łaska to nie abstrakcja, ale coś realnego, to dusza duszy naszej, to bytność Boga w nas.

Cały świat dzieli się na tych, co żyją w łasce Bożej, są przyjaciółmi Boga, i takich, co wskutek dobrowolnych upadków ciężkich wyzbyli się łaski Bożej i żyją z Bogiem w niezgodzie i w wojnie.

Kiedy popatrzeć naokoło, kiedy spojrzeć na to, co wśród ludzi się dzieje, to zło zdaje się zalewać świat cały. Zamiast chwały Bożej płyną z ziemi zbrodnie i krzywda i przemoc.

Wobec tego wszystkiego dusza ludzka, miłująca Boga, stoi bezradna. Co pomogą tu moje szepty, wołania, modlitwy?

Tę trudność rozwiązuje łaska Boża. Bo oto wszystkie te obrzydliwości i zbrodnie, wołające nieraz o pomstę do nieba, przysłania w oczach Bożych to, co czynią ludzie, żyjący z Bogiem w przyjaźni, w łasce Bożej. Wtedy Duch św., który w nich przebywa, stwarza rzeczy większe, aniżeli wszelkie zło na ziemi.

Dla pięciu sprawiedliwych Pan Bóg był gotów przebaczyć tysiącom, oszczędzić całe miasta i kraje.

Jest ktoś, o kim mówi wysłannik Boży — Archanioł — łaskiś pełna! To Matka Najświętsza. Jakże wielką musi być w oczach Bożych! Ile to złego Bóg dla Niej przebaczyć gotów!

Jeżeli w Polsce jest dziś tak jak jest, to dlatego, żeśmy w większości zerwali z życiem łaski, żeśmy stanęli do walki z Bogiem przez grzechy i upadki, żeśmy Boga sami wygnali z duszy i z Ojczyzny.

„Pan z Tobą!“ Bóg z Marją. A z nami?

Nieraz zdaje się nam, że Bóg z nami, czujemy się tacy bliscy Boga, zdaje nam się, że nas nic już od Niego nie rozdzieli — jesteśmy silni, mocarni — a potem jedna słaba chwila, czyjkolwiek wpływ ujemny, nastrój jakiś, już znowu Boga przy nas niema. Wyzbywamy się Go sami.

A jest Bóg z nami jako z narodem?

Wszystko naokoło wygląda tak, jakby Bóg był od nas daleko, bośmy, prawdę mówiąc, nie zawsze z Nim w porządku. Ileśmy to razy w ciągu wieków zapominali o Nim i zaniedbywali Go? A jeżeli Go kiedy chwalimy, to tylko ustami, a tak rzadko czynami i życiem katolickiem.

Ty nam Go przybliź, Marjo i zbliź do nas! Ty łaski pełna! Zbliź Go do Polski Marjo, Ty łaski pełna, „do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony, są jak odwieczne Chrystusa wyznanie: „Bądź pochwalony“(!*)

R a d o m, 17 października 1918.

We Flandrji na zachodzie nowe walki. Niemcy przyznają w swych biuletynach urzędo-

*) Cyprjan Norwid.

wych sukcesy wojsk koalicyjnych, które konsekwentnie idą naprzód. W Serbji wojska francuskie zajęły Nisz i pędzą przed sobą armję austriacką. Ludność serbska prowadzi z okupantami partyzantkę, pomagając wojskom francuskim. Durazzo, ważny port na Adriatyku, w rękach włoskich.

W odpowiedzi na notę Niemiec żąda Wilson zmiany rządu w Niemczech. Nota amerykańska z 12 b. m., podpisana przez Lansinga, stwierdza co następuje: „W tym samym czasie, w którym rząd niemiecki wystąpił wobec rządu Stanów Zjednoczonych z propozycjami pokojowemi, łodzie podwodne niemieckie zatapiają na morzu okręty pasażerskie i to nietylko okręty, ale i łodzie, w których podróżni i załoga próbuje się ratować. Armja niemiecka w swoim obecnym odwróceniu z Flandrji i Francji, do którego ją zmuszono, kroczy po drodze samowolnego zniszczenia, co zawsze uważane było za bezpośrednie naruszenie reguł i zwyczajów cywilizowanego prowadzenia wojny. Miasta i wioski, o ile nie ulegają zniszczeniu, ogoławane są ze wszystkiego, co tylko w nich się mieści, ba nawet niekiedy i z mieszkańców. Nie można oczekiwać, aby rządy, związane sojuszem przeciw Niemcom, zgodziły się na zawieszenie broni, jak długo trwać będą nieludzkie czyny, rabunki i spustoszenia, na które one słusznie patrzą z przerażeniem i z oburzeniem w sercu.“

Dalej cytuje nota jeden z punktów Wilsona, domagający się: „wytępienia wszędzie wszelkiej samowolnej władzy, która sama dla siebie i według własnego upodobania może zamącić pokój światowy“, czyli żąda usunięcia cesarza Wilhelma.

Tak mocno i twardo chyba jeszcze nikt z Niemcami nie rozmawiał. Musi Wilhelm mieć rzadką minę, inną niż miał ongiś na Wawelu.

Mówi się już jako o rzeczy zupełnie pewnej, stwierdził to zresztą w oficjalnej przemowie minister austriacki hr. Burian, że Austria wycofa wkrótce swe wojsko i urzędy okupacyjne z Królestwa, a przekaże władzę rządowi polskiemu.

Niestety z Warszawy brak dotąd jakiegoś zdecydowanego słowa czy czynu. Układy o tymczasowy rząd koalicyjny przeciągają się jakoś w sposób niepokojący, opóźniając wszystko i marnując jeden dzień za drugim. Kiedy trzeba czynów, to wtedy my mamy zawsze tylko powódź słów, chyba dlatego, że jesteśmy Słowianami. A teraz każdy dzień stwarza z zawrotną szybkością nowe sytuacje i warunki. Pewno, że każdy początek ciężki i trudny, ale czas nagli. Tu chodzi o wielkie rzeczy. To może się odbić na całej naszej przyszłości.

Trzeba przejmować administrację, odbierać skarb, tworzyć wojsko, ułożyć się co do objęcia kolei, a nie robi się nic.

Przyczyną jest walka między stronnictwami, niesnaski między dwiema wielkimi grupami politycznymi, t. zw. Kołem międzypartyjnym, a lewicą. Jedna drugiej nie życzy władzy. Po polsku! Powiedział o nas jakiś Anglik, że mamy więcej odcisków od gadania na języku niż na rękach od rzetelnej pracy.

R a d o m, 20 października 1918.

Na nabożeństwie różańcowem wyjaśniałem dziś słowa: „Błogosławionaś Ty między niewiastami“.

Błogosławiony znaczy tyle, co szczęśliwy, taki, któremu się dobrze dzieje. Anioł nazywa Marję błogosławioną; tak samo potem nazywa Ją natchnioną Duchem prawdy św. Elżbieta. Więc chyba musi być Marja naprawdę błogosławioną, szczęśliwą, wyróżnioną wobec innych niewiast.

Przypatrzmy się Jej życiu! Przypomnijmy sobie choćby bardzo pobieżnie szczegóły różne! Warunki, w jakich idzie do Betleem, miasta rodzinnego, do swoich, którzy Jej nie przyjęli. Idzie na noc do stajni za miastem, rodzi Syna w nędzy największej, potem Egipt, tułaczka na obczyźnie, emigracja, później w domu szara praca codzienna, następnie rosnąca nienawiść ludzka do Jej Syna, wreszcie Jego śmierć na krzyżu.

I to wszystko przechodzi Ta, którą nazwano „błogosławioną między niewiastami!“ Czyż to nie wygląda dziwnie?

W oczach ludzi dzisiejszych, którzy za całe szczęście i błogosławieństwo uważają majątek, dobrobyt, którzy sądzą, że błogosławiony jest ten, kto nie ma żadnych zmartwień, przykrości ani cierpień — w ich oczach nazwanie Matki Najświętszej błogosławioną może rzeczywiście wyglądać na jakieś wielkie nieporozumienie, a nawet na ironję...

Ale to tylko nasz ziemski, krótkowzroczny punkt widzenia.

Pan Bóg mierzy ludzi i ich sprawy miarą Swoją, a nie naszą.

Musi mieć dziwny jakiś urok w oczach Bożych cierpienie i ból, prześladowanie, niedostatek i ubóstwo, — jeżeli Ta, którą Bóg wywyższył ponad wszystkie niewiasty, którą w imieniu Boga ogłasza anioł za błogosławioną, przechodzi w Swem życiu tyle cierpień i upokorzeń, tyle męki i bólu, jeżeli sam Syn Boży obraca się przez całe Swe życie w warunkach, w którychby nam samym było bardzo ciężko i bardzo źle.

Czy nie powinno to być bodźcem do rewizji naszych poglądów na warunki i stosunki naszego życia? Czy przypadkiem to, na co dziś tak głośno się skarżymy i narzekamy, nie jest może naszym błogosławieństwem i dobrem?

Ot, choćby ta wojna. Cięży nam, dokucza, krwawi cały kraj, a jednak wszyscy wierzymy, że to jest ta wojna, o którą modlił się Mickiewicz i jesteśmy pewni, że przy Bożej pomocy przyniesie nam rychło błogosławieństwo Boże, że po stuletnich cierpieniach i męce doczekamy się wkrótce — zmartwychwstania, odrodzenia Ojczyzny, daj Boże i odrodzenia ducha całego Narodu!

R a d o m, 22 października 1918.

Wróciłem z Lublina, z kursów, urządzonych dla t. zw. referentów oświatowych przy różnych komendach wojskowych. Myślą przewodnią kursów była obrona przed idącym z Rosji bolszewizmem, który, pochlebając najniższym instynktom tłumu bezkrytycznego, szerzy się i toczy jak rak obecny ustrój społeczny i grozi wszędzie

zniszczeniem dzisiejszej struktury społeczeństwa, opartej na rodzinie i porządku państwowym.

Wykłady oczywiście w języku niemieckim. Z dyskusji na kursach dawało się wyraźnie wy-czuć, że cement, łączący różne austriackie naro-dowości, mocno już zwietrzał. Nikt już nie chce mówić o dynastji, o Habsburgach, jak to zawsze dotąd w wojsku było w modzie. Zato mówi się otwarcie o jakiejś unji państw narodowościowych w obrębie austriacko-węgierskiej monarchji, mo-że w połączeniu z Polską, której byt i powstanie dzięki punktom Wilsona są zdecydowane i nie ulegają dyskusji.

Wszyscy zdają sobie sprawę, że wojna ma się ku końcowi. Jaki będzie koniec, kiedy przyjdzie, tego nie umie nikt nawet w przybliżeniu określić.

Mianowany z ramienia rządu polskiego, wła-ściwie Rady Regencyjnej, komisarz generalny na całą okupację J. Zdanowski, rozpoczął w Lubli-nie rejestrację wojskowych i urzędników-Pola-ków, którzy chcą wstąpić do wojska polskiego, lub pracować w urzędach polskich.

W Cieszynie została utworzona w sobotę, 19 października Rada Narodowa jako reprezen-tacja ludności polskiej na Śląsku. Ma ona strzec interesów ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim do chwili ostatecznego przeprowadzenia nowych porządków na polskich obszarach Austrii, w myśl manifestu cesarza Karola o przekształceniu Au-strji na „związek państw narodowych“ i w myśl warunków Wilsona.

Radę Narodową tworzy 21 przedstawicieli miejscowej ludności, po siedmiu z trzech istnie-jących na Śląsku stronnictw politycznych: Związ-

ku śl. katolików, istniejącego od 35 lat, Partji socjalistycznej i Stronnictwa ludowego. — Prezydjum tworzą posłowie: ks. Londzin, Reger i dr. Michejda*).

Dnia 15 października odbyło się na rynku w Orłowej koło Bogumina olbrzymie manifestacyjne zebranie ludności polskiej z zagłębia ostrawsko-karwińskiego**), na którem zapadła uchwała: „My Polacy Księstwa Cieszyńskiego uznajemy bezwarunkową przynależność naszą i naszej ziemi do Polski i uważamy się odtąd za obywateli wolnej, zjednoczonej i niepodległej Polski. Tej Polsce winniśmy wierność, posłuszeństwo, mienie i krew naszą i nie uznajemy żadnych więzów tym najświętszym obowiązkom przeciwnych.“

*) Pełny skład Rady Narodowej:

1. przedstawiciele Związku śląskich katolików: ks. poseł Józef Londzin; Franciszek Halfar, burmistrz w Porębie; dr. Wacław Olszak, lekarz w Karwinie; Franciszek Tomiczek, budowniczy w Bobrku; dr. Leon Wolf, adwokat we Frysztacie; ks. Eugenjusz Brzуска, profesor w Orłowej; Marja Sojkowa, wł. realności w Oldrzychowicach;

2. przedstawiciele Polskiej Partji Socjalno-Demokratycznej: poseł Tadeusz Reger w Cieszynie; dr. Ryszard Kunicki, lekarz w Frysztacie; Emanuel Chobot, kierownik hurtowni w Morawskiej Ostrawie; Jerzy Kantor, przewodn. II. grupy stow. górników w Cieszynie; Piotr Kornuta, kier. Domu robotn. w Trzyńcu; Franciszek Czyż, górnik w Datyniach; Dora Kłuszyńska, żona lekarza w Boguminie;

3. przedstawiciele Polskiego Zjednoczenia Narodowego: poseł dr. Jan Michejda, adwokat w Cieszynie; Kazimierz Piątkowski, dyr. gimnazjum w Orłowej; Jan Jaś, rolnik w Lesznej Dolnej; Rudolf Kolaczek, wójt w Zebrzydowicach; Jan Kotas, naucz. wydz. w Dąbrowej; Zofja Kiedroniowa, żona inżyniera w Dąbrowej; Paweł Bobek, nauczyciel szkoły ćwiczeń w Bobrku.

**) Dziś po czeskiej stronie.

A więc nie poszła na marne tyloletnia praca dla polskości na zagrożonym Śląsku, nie poszło na marne syzyfowe zmaganie się z systematyczną germanizacją, renegactwem i czechizacją. Najśmielsze, tajone nadzieje i marzenia przyoblekają się w rzeczywistość. Praca Stalmachów, Świeżych, Londzinów przynosi oto plon.

Dzięki Ci Boże za to, że jest Polska, a jeszcze więcej za to, że jest, nie gdzieś tam daleko, ale że jest i na Śląsku!

Dzięki Ci Panie za to, że tam każda ścieżka, każda drożyna, którą pamiętam z lat dziecięcych, każde drzewo i plusk fał Olzy, nad którą się ba-wilem i gdzie uczyłem się patrzeć w świat i Ciebie kochać, znajdzie się w Polsce, że tam będzie Polska!*)

R a d o m, 23 października 1918.

W nocie, wystosowanej do Austrii, odpowiada Wilson, że nie może już pertraktować z Austrią o Czecho-Słowacji i o Jugosłowianach, bo uważa je za wyodrębnione z Austrii. Tem samem proklamuje Wilson niepodległość tych państw.

We Flandrji dalszy odwrót Niemców do kanału Sambre-et-Oise. Anglicy donoszą o postępach swych wojsk na frontach w Mezopotamji, w Palestynie i na Murmaniu.

Austrjackie władze okupacyjne otrzymały rozkaz z Wiednia, by wszelkie formacje wojsko-

*) Dziś po czeskiej stronie, wskutek decyzji Rady Ambasadorów z 28 lipca 1920, spowodowanej układem w Spa w czasie najazdu bolszewickiego.

we i zarząd wojskowy okupacji austriackiej t. zw. generał-gubernatorstwa lubelskiego były przygotowane do opuszczenia okupacji. Po tygodniu mają rozpocząć planowe opróżnianie Polski.

Zato Niemcy w okupacji niemieckiej nie zdradzają wcale zamiarów przyjaznych dla przyszłego państwa polskiego, a w Poznańskim wytoczył obecnie rząd pruski proces o zdradę stanu wszystkim Polakom, podpisanym na deklaracji zaboru pruskiego z 12 b. m., oświadczającej się w sprawie zjednoczonej i niepodległej Polski na zasadzie 14 punktów Wilsona.

W Radomiu daje się wyczuwać podniecenie wśród ludności, głównie wśród młodzieży, która nie mogąc doczekać się wyjścia „dziadów“, chce to wyjście przyspieszyć. Gdyby ta młodzież przysłuchała się rozmowom żołnierzy i oficerów, dowiedziałaby się ze zdziwieniem, że oni wszyscy teraz tylko o tem myślą, jakby najprędzej znaleźć się w domu, a trwają na stanowiskach w przekonaniu, że to i tak już niedługo potrwa, bo przecież każdy dziś już widzi, że wszystko się chwieje i lada chwila runie.

Dziś aresztowała żandarmerja wojskowa kilkunastu chłopców, zdaje się z Polskiej Organizacji Wojskowej. Wybrali się w nocy na zdobycie na Austriakach budynków fabrycznych w Firleju pod Radomiem. Bez oddania wystrzału, na komendę: „ręce do góry“ — podnieśli wszyscy ręce wraz z rewolwerami, jakie z sobą mieli.

Bez chwały zwycięstwa powędrowali do kozy i narobili swą dziecinną wyprawą sporo kłopotu, bo wszystkie mamusie, ciocie aresztowanych

bohaterów, wśród spazmów i łez, proszą o interwencję i pomoc, bo ich tam podobno biją i katuja, by wymusić zeznania.

R a d o m, 24 października 1918.

Dziś w kościele uspokoiłem opinię publiczną, podnieconą aresztowaniem chłopców: powiedziałem, że byłem u nich, widziałem się z nimi, że wiadomości, kursujące po mieście, są mocno przesadzone i przejaszczane.

Przy tej sposobności wezwałem zebranych do oddziaływania wszędzie w tym kierunku, by nieodpowiedzialne a zapalne czynniki nie robiły nierozważnych kroków. To już i tak wszystko niedługo potrwa, przecież i okupanci sami rwą się do domu. Trzeba opanować nerwy, skupić się, zespolic, oszczędzać siły, by wtedy, gdy przyjdzie czas, gdy odezwie się „złoty róg“, działać rozumnie i podeprzeć ramionami powstającą z gruzów Polskę.

Potem mówiłem o imieniu Jezus, wyjaśniając w dalszym ciągu Zdrowaś Marjo.

Jezus — to hasło, po którem się wszyscy poznajemy, to oś całej ekonomji zbawczej chrystjanizmu.

Św. Jan Ewangelista, któremu było dane jeszcze na ziemi spojrzeć w niebo, maluje w Apokalipsie*) obraz strasznej wojny. Podczas modlitwy słyszy głos donośny: veni et vide — chodź i patrz! I poszedł i zobaczył, jak z obłoków niebieskich wypada na ziemię rumak, czerwony jak

*) Apok. 6.

ogień. A ten, co na nim siedzi, nazywa się wojna... w ręku miecz, by nim zabrać z ziemi pokój, a wzniecić walkę wśród narodów. — Przyjdź i patrz! Drugi rumak rzuca się ku ziemi — czarny jak noc. A ten, co na nim siedzi — to głód. Trzyma w ręku wagę, by wymierzać i ważyć żywność i kromki chleba. Chodź i patrz! Trzeci rumak — blady, siny jak trup. A ten, co na nim siedzi — to śmierć. A to, co za nim, to piekło i zniszczenie, bo ma moc nad czterema krańcami świata nieść wszędzie śmierć i głód i zarazy.

Czy to nie wizja naszych czasów?

Śmierć, głód i wojna już od pięciu lat! A końca wciąż nie widać, choć tyle razy już zdawał się tak bliski.

Kiedy się to skończy, skąd przyjdzie koniec, skąd przyjdzie nam pomoc — *levavi oculos meos in montem unde veniet auxilium mihi*?

I oto odpowiedź! Odpowiedź psalmisty: *auxilium nostrum in nomine Domini, adiutorium nostrum in nomine Domini***) — pomoc od Pana! Wspomożenie nasze w Imieniu Pańskim, w Imieniu Jezusa, pomoc nasza w Chrystusie!

Nie wystarczy jednak oczekiwać i wyglądać tej pomocy bezczynnie i biernie. Trzeba samemu zbliżyć się do Chrystusa, trzeba wyjść z rezerwy wobec Niego, trzeba zapoznać się z Nim bliżej. Nie stać zdala sceptycznie! Sceptycyzm, racjonalizm pozostawmy drugim — Polakowi, Polce z nim nie do twarzy!

*) Ps. 120, 1.

Trzeba ożywić wiarę, wprowadzić ją w życie codzienne, w program życiowy, w zajęcia nasze, zapatrywania i przekonania, w rozmowy, a przede wszystkim w czyny nasze! Jezus musi stać się ośrodkiem życia naszego, alfą i omegą naszych pragnień i dążeń. Polska wiarą stoi, bez wiary upada, wiarą się znowu podniesie.

„Z wiary waszej — wola wasza, z woli waszej czyn wasz będzie.“*)

Przedewszystkiem zacznijmy się wszyscy w Polsce modlić! Trzeba nauczyć się znowu zginać kolana. Tak czynili wielcy Polacy i Polki, rozumni i mądrzy i nam to nie ubliży. Człowiek jest tak wielki jak wielką jest jego myśl. Przy modlitwie sięga myśl do nieba. Dlatego nigdy człowiek nie jest tak wielkim jak wtedy, gdy się modli.

Rozszerzmy serca nasze, przekształćmy ducha naszego, a doczekamy się chyba już niedługo że *auxilium nostrum in nomine Domini*, że pomoc nasza w Imieniu Pańskim!

A nam tej pomocy dziś bardzo potrzeba.

R a d o m, 25 października 1918.

Po długich pertraktacjach powstał w Warszawie pierwszy trójdzielnicowy rząd polski w następującym składzie:

prezydent ministrów: Józef Świeżyński;
minister spraw zewn. Stan. Głabiński;
„ spraw wewn. Zygmunt Chrzanowski;

*) Krasieński: Psalm nadziei.

minister rolnictwa Władysław Grabski;
„ komunikacji Wacław Paszkowski;
„ aprowizacji Antoni Minkiewicz;
„ pracy i ochrony społ. Józef Wołczyński;
„ przemysłu i handlu Andrzej Wierzbicki;
„ oświaty Antoni Ponikowski;
„ sprawiedliwości Stanisław Higersberger;
„ obrony kraj. Józef Piłsudski, więziony
przez Niemców w Magdeburgu.

Od udziału w rządzie odsunęła się lewica, która w tej przełomowej chwili nie chce przystąpić do wspólnej, realnej pracy nad organizowaniem państwa polskiego. Widocznie chce tę pracę zrobić sama, według metod, zalecanych przez Marxa i Bebla, a wprowadzanych w czyn przez Trockiego i Lenina.

Senat Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie uznał już niepodległość zjednoczonego państwa polskiego i ofiaruje swą pomoc dla Polski.

Anglja uznaje Polskę za stronę wojującą, a Komitet polski w Paryżu pod przewodnictwem Romana Dmowskiego za uprawniony do rokowań pokojowych na równi z innemi państwami.

W dziennikach warszawskich zamieścił niemiecki wydział prasowy w tych dniach taki komunikat: „Niemieckie władze okupacyjne spotykają się często z zapatrywaniem ludności jenerał-gubernatorstwa, jakoby wszelkie rekwizycje i dostawy przymusowe zostały już zniesione. Przypuszczenia te są błędne. Władze niemieckie rozpoczęły co prawda już ulżenie ciężarom okupacyjnym, jak tego dowodzi np. zniesienie przepustek, ponieważ jednak dotychczas ani nie doszło do zawieszenia broni, ani nie rozpoczęto rokowań po-

kojowych, nie można znieść odrazu i bezpośrednio związanych z wojną ciężarów okupacyjnych.“

Tymczasem na froncie zachodnim odwrót niemiecki w Belgii zakreśla coraz szersze kręgi. Linja bojowa zbliża się obecnie ku Gandawie i zaczyna północnym swym odcinkiem odchyłać się coraz bardziej ku Antwerpii. W ten sposób utworzył się wielki łuk, którego boki coraz bardziej napierane przez wojska koalicji, zaczynają się chwiać. Front bojowy, który na ziemi francuskiej miał około 800 km długości, skrócił się obecnie na 350 km, a pas ziemi francuskiej, pozostający w rękach niemieckich, wynosi w najszerszym miejscu około 40 km, podczas gdy w czasie największego rozpostarcia się ofensywy w roku 1918 na wiosnę wynosił około 130 km. Przeszło trzy czwarte obszaru, zdobytego przez Niemcy na Francji, zostało już zpowrotem odebrane, zaś Belgja będzie mogła lada dzień wprowadzić swego króla Alberta zpowrotem do stolicy.

Austrjacy wycofują się z pośpiechem z Serbji i Czarnogóry na linję Dunaju.

Na froncie włoskim nowa ofensywa włoska nad Piawą. W Kijowie wykonano zamach na dowódcę wojsk niemieckich gen. Rohrbacha, w Wilnie przyszło do starcia między wojskiem niemieckim i publicznością.

R a d o m, 26 października 1918.

Kościół po-bernardyński okazuje się za szczupły na pomieszczenie tłumów, schodzących się na nabożeństwa różańcowe. Mówilem dziś o nieprzyjacielu Chrystusa i ludzkości — o szatanie.

W naturze widać pewne stopniowanie: minerały, rośliny, zwierzęta, człowiek. Na czele świata widomego stoi człowiek, który, mając ciało i duszę, jest łącznikiem między światem materialnym i światem duchów.

Pismo św.*) i Tradycja**) rozróżnia aż dziewięć stopni duchów nadziemskich, zwanych zwykle aniołami. To upoważnia nas do twierdzenia, że w świecie duchowym istnieje pewna gradacja, że istoty duchowe, obdarzone nadzwyczajnym rozumem, bystrością, zdolnościami, przewyższającymi niesłychanie zdolności człowieka, różnią się znacznie między sobą.

Wyobraźmy sobie na samym szczycie ducha anioła, najdoskonalszego, jakiego Bóg stworzył, jaśniejącego i cudnego jak zjawisko, jak światło samo, jak słońce — Lucifer.

Pan Bóg zostawia każdemu rozumnemu stworzeniu wolną wolę, by stworzenie dobrowolnym aktem swej woli zasłużyło sobie na szczęście i nagrodę.

Pismo św. mówi, że duch ów najdoskonalszy, stojący na samym szczycie, najbliżej Boga, czując się podobnym Bogu, powiedział: — „jestem Bogiem.*) — I pisze św. Jan w Apokalipsie:**) „I stała się wielka bitwa na niebie. Michał i aniołowie jego walczyli ze smokiem. I zrzucony jest

*) Efez. 1, 21; Apok. 5, 11, Kol. 1, 16.

**) Św. Cyryl Jer., św. Grzegorz W. hom 34.

*) Ezechiel 28, 2, Iz. 14, 12.

**) Apok. 12, 7—9.

on smok wielki wąż starodawny, którego zowią djablem i szatanem, który zwodzi wszystek świat.“
A z Lucyferem jego zwolennicy.

Pozostały tym istotom ich dawne zdolności i przymioty, ale zaczęły działać w kierunku ujemnym. Powstaje armja duchów, obdarzonych nadzwyczajną inteligencją i siłą, ale i całą otchłanią przewrotności i złości. I odtąd zaznacza się w dziejach ustawiczne przeszkadzanie Bogu w Jego zamiarach i planach.

Bóg tworzy Swoje Królestwo — szatan małpuje Boga i zakłada swoje.

Stworzył Bóg ku Swej chwale ludzi, — szatan przeciąga ich przez grzech na swoją stronę, psuje Bogu plan. Bóg naprawia spaczne dzieło, posyła na pomoc ludzkości Swego Syna. Szatan organizuje całą koalicję wrogów, nie waha się wprzągnąć w swe szatańskie dzieło nawet jednego z apostołów, doprowadza do chwilowego triumfu swego — do śmierci Syna Bożego.

Śmierć ta jednak staje się ciosem największym dla szatana, bo tym, który mocniejszy, tym, który zwycięża — był, jest i będzie zawsze wszechmogący Bóg. — Chrystus zmartwychwstaje, Chrystus zwycięża, Chrystus panuje.

Chrystus zakłada Swój Kościół — Swe Królestwo na ziemi. Szatan chce mieć także swoje, więc psuje dzieło Boże, prześladowuje z całą nienawiścią, odszczepieństwem, herezjami i ciągłą, nieustanną, systematyczną walką, w której łączą się stale wszystkie męty — to, co świat ma najgorszego. „W każdym nieszczęściu ludzkim moje

pchnięcie, W każdej łzie ludzkiej jest moja trucizna“*).

Ta nieubłagana walka widoczna w każdej duszy poszczególnej, widoczna i w dziejach ludzkości, w dziejach Kościoła św.

W historii świata, w historii powszechnej istnieje dużo ciemnych kart, których niepodobna przypisać samemu tylko człowiekowi. Bo człowiek sam przez się nie jest złym. I kiedy mamy przed sobą fakta, potworne zbrodnie, popełnione w ciągu wieków w różnych czasach, rewolucję francuską, rzeź galicyjską w r. 1846, dzisiejszą straszną, przyniatającą swym ogromem i nieszczęściem wojnę, bolszewicką, czerezwyczałkę rosyjską ze swemi mrozącemi krew okrucieństwami, to stanowczo nie sam człowiek temu winien. Człowiek nie taki zły. Tego nie mógł sam człowiek zrobić. Inaczej trzebaby zwątpić w ludzkość i człowieczeństwo. To zrobił ktoś poza człowiekiem, ktoś straszny w swej szatańskości i złości, ktoś zły sam w sobie, a takim jest tylko — szatan.

W maju 1911, będąc wikarjuszem w Dziezicach na Śląsku, poszedłem na przechadzkę w stronę Żebraczy, gdzie znajduje się kopalnia węgla. Pod olszyną widzę zbiegowisko — podchodzę — na ziemi leży człowiek twarzą do ziemi, a plecy ma skrwawione, zrąbane siekierą jak kłoda drzewa. Gdy spał, podszedł go sąsiad i śpiącego formalnie zarąbał.

*) Słowacki, Samuel Zborowski.

Przyszedł lekarz żyd i sam przerażony nadmiarem złości i zbrodni, pyta: „Księżu, czy to jeszcze ludzie?”

Trudno uwierzyć, by sam człowiek mógł się zdobyć na podobną ohydę, gdyby nie popchnęła go do tego jakaś poza człowiekiem stojąca, piekielnie zła i przewrotna w swej złości siła.

Dlatego też wbrew wszystkiemu, co się dziś złego dzieje, zbliźmy się wszyscy do Boga! Podnieśmy ducha, zjednoczmy i skupmy swe siły na stworzenie z Polski Królestwa Chrystusowego, Królestwa Marji, gdy wolność przyjdzie, gdy pękną kajdany!

„Niech zło nad nami nie panuje!”

R a d o m, 27 października 1918.

Radom nie gustuje w kazaniach o szatanie. Otrzymałem dziś kilka anonimów z racji wczorajszego przemówienia na nabożeństwie różańcowem. Nie podobało się. Nie wiedzą jeszcze w Radomiu, że kazanie, które wszystkim przypada do gustu, nie zawsze bywa dobre i nie o to chodzi w kazaniach, by się podobały, lecz o to, by podziałały na dusze i trwałym swoim wpływem silny nacisk na wolę słuchaczy wywarły.

Zdaje się, że najbardziej nie podobało się ono szatanowi. Lubi, kiedy ludzie jego istnieniu zaprzeczają, a wszelkie rozmowy na temat szatana za naiwne straszenie dzieci i wymysł księży uważają.

Zapomina się, że są w Polsce i poza Polską ludzie, uważający się za bardzo „oświeconych” -- jak Żuławski, Ewers i t. zw. lucyperjanie, sa-

taniści, którzy nietylko wierzą w istnienie szatana, lecz szerzą jego kult i dają wyraz swej przewrotnej religiji satanistycznej w swych dziełach w literaturze i w obrzędach.

Stary Bóg, Bóg pokoju i spokoju, Bóg przykazań, ograniczających swobodę i wolność człowieka, winien według nich ustąpić miejsca szatanowi, duchowi wiecznego protestu walki i rewolucji. Na cześć szatana pisze się hymny i najobrzydliwsze wytwory schorzałej, zdegenerowanej fantazji.

Wcale się nie dziwię, że specjalnie w Radomiu ma szatan, ten duch negacji i rewolucji, sporo sympatyków.

R a d o m, 31 października 1918.

Codzień nowe wieści, wprost nieprawdopodobne. Dostaje się formalnie zawrotu głowy. Europa w ruchu.

W nocy z 28 października oświadcza rząd austriacki wobec żądań Wilsona, że zgadza się na wszystkie jego warunki, na samodzielne państwo czeskie i jugosłowiańskie i prosi o zawieszenie broni na wszystkich frontach. Niemcy oczywiście oburzeni na ten samodzielny krok sojusznika i „zdradę wspólnej sprawy“, chcą wojnę prowadzić dalej.

Po nadejściu do Pragi powyższego oświadczenia rządu austriackiego, objął rządy w Czechach Narodni Vybor. Z gmachów rządowych pozrywano orły austriackie i powrzucono je do Węłtawy. Na ulicach odbywają się manifestacje, publiczność zrywa wojskowym rozety czyli „bączki“ austriackie z czapek i przypina kokar-

dy narodowe. Wydano już pierwsze prawo, stanowiące, że w nowem państwie będzie zachowany dawny ustrój, że wszystkie prawa i rozporządzenia nadal są ważne.

Tak samo południowi Słowianie ogłosili się w sejmie w Zagrzebiu niezależnem państwem. Niemcy w niemieckich krajach austriackich utworzyli państwo narodowościowe ze stolicą w Wiedniu.

Austrii już niema. Rozpadła się.

Gdzie się podziało — Tu felix Austria, — Oesterreich wird ewig stehen?

Na zakończenie nauk różańcowych omówiłem słowo „t e r a z“. Módl się za nami grzesznymi teraz!

Bardzo zwykłe, pospolite, bardzo często używane słówko, niepokażne, a w Zdrowasiu takie nadzwyczaj ważne!

„Teraz“ jedna chwilka — często tak króciutka jak sam wyraz. I z tych chwilek króciusienkich, z tych „teraz“ składa się czas, składa się dzień, tydzień, miesiąc, lata całe, życie nasze.

Mickiewicz mówi: „Trudniej dzień jeden dobrze przeżyć, niż napisać księgę.“

Nic dziwnego, że i Kościół św. każe nam każdą chwilę oddać Matce Najświętszej i modlić się codziennie raz i drugi i dziesiąty na koronce, na różańcu: — módl się za nami grzesznymi teraz, bo wie, jak to ciężko przeżyć dobrze dzień każdy, przejść dobrze przez życie, by nam to życie nasze nie było kiedyś wyrzutem, by nie było chwil, do których kiedyś nie chcielibyśmy się przyznać.

Módl się za nami Marjo teraz, by każde „teraz“ było dobre, jasne, boże!

Módl się za nami Marjo teraz, w chwili obecnej, kiedy kończymy te cudne wieczory, spędzone tu ku chwale Twojej!

Módl się za nami Marjo teraz, kiedy nam wszystkim tak ciężko, kiedy mimo wszystko jeszcze w niewoli trwamy, — teraz, kiedy nam wszystkim dobrej woli i ducha jedności trzeba do pracy zgodnej w powstającej z grobu nowej, odrodzonej Ojczyźnie! Teraz, gdy „oto idzie moc zwycięska, panujący idzie Pan!“*)

Módl się za nami teraz!

R a d o m, 1 listopada 1918.

Dziś wieczorem przy kolacji w kasynie przeczytał nam gen. Kwiatkowski rozkaz szefa sztabu generalnego w Warszawie generała Rozwadowskiego, wystosowany wprost do Komendy: „Wojska polskie winny być natychmiast uroczystie zaprzysiężone, ludność należy przez plakaty, przy użyciu wszystkich środków zawezwać do spokoju i porządku, każdą niepolską narodowość tak długo uważać za zaprzyjaźnioną, dopóki utrzymuje spokój.

Austrjacko-węgierskie wojska i ewentualnie niemieckie oddziały traktować należy jak neutralne. Ich wymarsz nastąpi po zupełnem uregulowaniu stosunków. Przejeżdżające transporty tych wojsk winny być, o ile możliwości, przepuszczone.

Wojska Polskie noszą mundur b. Korpusu Posiłkowego, gdzie nie da się to przeprowadzić, przynajmniej polskiego orła na czapkach.

*) Krasiński: Psalm przeszłości.

Ewentualne oddziały ukraińskie należy uważać jako zaprzyjaźnione, o ile zachowają zupełną neutralność. Należy unikać wszelkich wybryków, przestępstwa bezwzględnie karać, beznaganne działanie wszystkich urzędów państwowych zapewnić, o dostateczne zaprowiantowanie szczególnie większych miast się starać, wszelki materiał, jak zakłady i zapasy, zabezpieczyć. Sabotaż albo grabież karać według prawa doraźnego.“

Podczas czytania rozkazu przy stole — cisza, że słyszeć można było bicie własnego serca.

Wszyscy czują, wszyscy wiedzą, że to Polska się odzywa, że to pierwsze słowo Zmartwychwstającej Polski, że Polska już jest naprawdę, że „ta chwila już do nas należy“.

Wszystkim bez różnicy narodowości udziela się niesłychane wprost podniecenie. Bo to chwile, o jakich nie śniło się nikomu. Jesteśmy już w Polsce, z polskimi żołnierzami i urzędami. Tak nagle, tak zawrotnie szybko! Choć każdy czuł, że się to zbliża, przychodzi, przyjść musi, jednak rzeczywistość jest zupełnie inna niż oczekiwanie.

Wstrząsnęło to mną do głębi — wprost boję się, że mogę się powstaniem Polski — przecieszyć, bo zawsze łatwiej nad czemś boleć niż się całą duszą radować. A moja radość jest w tej chwili przeogromna.

Te Deum laudamus!

To z Twej ręki Panie, z Twej dobroci, toś Ty sprawił, Ty, który trzymasz w ręku losy świata i narodów! „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!“*)

*) Krasinśki, Psalm dobrej woli.

Chciałbym Panie, by dziękował Ci za to każdy listeczek, każda trawka, co rośnie i rosnać będzie w Polsce, każda kropla wody, chciałbym, by każde pojedyncze uderzenie serc ludzkich w Polsce było hymnem ku Twojej chwale, akordem tak wielkim, jakim jest wzajemna miłość Ojca, Syna i Ducha św.! Confitebuntur coeli mirabilia Tua Domine — i niech do dziękczynienia tego dołączy się całe niebo!

Polska moja — Polska będzie!*)
Dzięki wszystkim i wszystkiemu,
W wieki wieków dzięki wszędzie
Bogu — duchom — ludziom — tobie —
I poległym dzięki w grobie
I każdemu, kto jest żywy,
Temu światu wszechcałemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!
I powietrzu powiem: „Panie,
Dzięki Tobie — bom szczęśliwy!“

Mamy Polskę — jest Polska!

Ci, co urodzą się w wolnej Polsce, nie będą mieli nawet wyobrażenia, co to znaczy nie mieć Ojczyzny, tęsknić za nią, kochać ją wtedy, gdy jej niema. Nie rozumieją nas i naszej egzaltacji, nie rozumieją całej literatury mesjanistycznej. Obawiam się, że Polska wolna utraci ten dziwny nimb i urok, jaki miała Polska „w ciernistej koronie“, że przestanie być tą „wielką rzeczą“, która zapalała całe pokolenia do czynu i pracy i brońa przed marazmem i zepsuciem. Dziś trzeba będzie dać nowym pokoleniom nową myśl przewo-

*) Krasiński, Przedświt.

dnia. Od wielkości i wartości tej myśli zależeć będzie wielkość i wartość tych, co po nas przyjdą.

Po odczytaniu rozkazu wniósł generał Kwiatkowski okrzyk na cześć powstającego nowego państwa polskiego. Wszyscy powtórzyli go z zapalem.

Obok generała siedział pułkownik austriacki Braun. Ten człowiek płakał, kiedy sobie uświadomił, że Austrii, której tak długo służył, już nie ma. Nic dziwnego. To tak wszystko dziwnie brzmi, takie nieprawdopodobne jak w bajce.

Jesteśmy świadkami chwil niezwykłych. Wielka wojna, wielkie skutki. Stary porządek, oparty na bezprawiu i gwałcie, podtrzymywany przez setki lat pięścią, perfidją i siłą, rozpada się w naszych oczach. Okazuje się, że etyka i sprawiedliwość, choć bezbronne, są jednak w stanie prędzej czy później upomnieć się o swoje prawa, wytrącić milionom żołnierzy broń z ręki i poddyktować swą wolę. Nowe państwa tworzą się same na innych niż dotąd podstawach, przez dziwnie logiczny imperatyw Sprawiedliwości wiecznej.

Takich dni chyba niewiele w ciągu wieków. Gazety dzisiejsze przyniosły wiadomość o zawieszeniu broni na froncie włoskim. Część armji opuściła front i każdy zdąży na swoją rękę do domu. W Lublanie są już Anglicy. Pola i Triest obsadzone przez wojska amerykańskie. Tisza, drugi Bismarck węgierski, zastrzelony.

W Warszawie robota organizacyjna idzie raźniej. Brużdzą tylko stronnictwa lewicowe. Chcia-

łyby wywołać zamieszanie, ferment, by wśród niego objąć rządu. Nie chodzi im o Polskę — tylko o siebie.

R a d o m, 2 listopada 1918.

Żyjemy w ciągłym naprężeniu.

Zachodzą zmiany tak radykalne, tak daleko idące, że nie chce się wierzyć, by to była rzeczywistość.

Dziś dzień zaduszny. Odprawilem rano trzy Msze św. w kościele Marjackim, potem spowiadałem do godz. 11. Idę z kościoła do komendy przez park Kościuszki. Zdaleka widać pod komendą tłumy ludu, oddział byłych Dowborczyków i uczniów szkół średnich z bronią w ręku. Z budynku zdjęto napis: K. u. k. Kreiskommando, c. i k. Komenda powiatowa.

Wchodzę na pierwsze piętro, tam ruch niezwykle, ożywienie. Powiadają, że to oddanie komendy delegatom Rządu polskiego. W kancelarii generała Kwiatkowskiego natrafiłem właśnie na chwilę, kiedy generał Kwiatkowski oświadcza, że oddaje władzę delegatowi rządowemu inż. Słomińskiemu. Następnie przeszli wszyscy obecni na balkon, skąd wywieszono biało-amarantową chorągiew. Cała publiczność przyjęła to oklaskami i okrzykami. Orkiestra strażacka zagrała: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Nastąpiło ogłoszenie objęcia komendy powiatowej przez inż. Słomińskiego, a komendy wojskowej przez podporucznika Marjańskiego.

Dziwny moment niezwykle, wprost przyniatający swą wielkością. Zmiany oszołamiające.

— Nastrój w mieście niezwykle, pełen podniecenia.

Po obiedzie poszedłem do parku Kościuszki, gdzie w dni słoneczne siadywaliśmy zwykle w trójkę z komisarzem skarbowym dr. Staromiejskim i komisarzem policji Bartą.

Zdaleka słyhać było jakieś okrzyki i śpiewy. Okazało się, że to socjaliści sformowali pochód przed swój lokal związkowy. Poszedłem tam. Wygłaszano szereg przemówień z balkonu w domu na rogu ul. Marjackiej i Wysokiej. Mowy te były w wysokim stopniu podburzające. Ich treść mniej więcej taka: Rządy w komendzie objęła burżuazja, a należą się proletarjatowi. To musi się zmienić, musi dojść do rewolucji. Precz z hasłami burżuazyjnemi o wojsku polskiem, precz z Radą Regencyjną, precz z Białym Orłem! Jakiś student zaprotestował przeciw temu. Wnet utworzył się koło niego wir, zakłębiło się, zakotłowało, zaczęto go bić laskami. Wreszcie czterech ludzi z partji, z opaskami czerwonymi na ręku, wyrwało go z pomiędzy tłumu i odprowadziło do lokalu socjalistycznego. Biedny chłopiec był blady jak ściana.

I to niespełna w trzy godziny po objęciu rządów i komendy przez Polaków!

Zrobiło to wprost fatalne wrażenie, oziębiło bardzo mój entuzjazm.

Incydent ten jest najlepszym dowodem, że obecny porządek jest poważnie zagrożony przez elementy niepatriotyczne, wywrotowe.

Byłem potem w komendzie. Tam przewrót niebywały. W kancelarji starosty rozlokowała się komisja do przejęcia władzy z rąk okupantów, po

korytarzach i schodach pełno uczniów szkół średnich i ludzi młodych z różnych sfer. Znoszą i wybierają sobie karabiny. Kto przyjdzie, dostaje karabin. W przedpokoju komendanta skrzynia z amunicją, naboje karabinowe porozrzucane w nieładzie na podłodze, tuż obok beczka od piwa, chleb, cukier, skóry na podeszwy.

Równocześnie przejmują młodzież, zebrana dorywczo, magazyny wojskowe po mieście, usuwa austriackie warty i pełni służbę w miejsce dotychczasowych oddziałów austriackich. Zamieszanie rośnie, wszystko ma charakter dorywczy.

Wieczorem pojawiła się następująca odezwa komisarza rządowego:

„Rodacy! Chwila dziejowa nadeszła! Dziś o godz. 12 w południe rządy w Radomiu i jego powiecie objęła Władza Polska.

To, o czym marzyliśmy, to za co tyle krwi niewinnej przelano — za co poniosło śmierć męczeńską tylu synów Ojczyzny — ziściło się.

Wzywamy was do spokoju!

Na was opierając się, wierzymy, iż bez wstrząśnień, bez zaburzeń i nieporządków władza polska utrwali swe podstawy.

Z chwilą obecną ustają niezwłocznie wszelkie rekwizycje rządów okupacyjnych — życie jednak winno płynąć normalnie, by władza mogła spokojnie pracować.

Mamy nadzieję, iż dojrzałość polityczna narodu polskiego, której wyrazem jest zupełna i zgodna wspólna działalność społeczeństwa Radomia, będzie najlepszą rękojmią, iż władza nasza, idąc ręką w rękę z ludem, zapewni Państwu Polskiemu trwałe podwaliny.

Obejmując z ramienia Rządu Polskiego władzę w Radomiu i powiecie, mam nadzieję, że społeczeństwo swoją postawą ułatwi mi spełnienie włożonego na mnie obowiązku.

Komisarz rządowy powiatu Radomskiego — Z. Słomiński.

Komisja do przejęcia władzy z rąk okupantów: Dr. Stanisław Kelles-Krauz, Wacław Dębowski, Roman Szczawiński, Aleksy Rzewski (Jankowski), Jan Wigura.“

Nadto opublikowano dwa rozkazy:

„Podporucznikowi Józefowi Marjańskiemu polecamy, zgodnie z rozkazem Szefa Sztabu, jen. Rozwadowskiego z dnia 1 b. m. objąć komendę nad wszystkimi znajdującymi się w Radomiu i w powiecie oddziałami żołnierzy Polaków.

Jednocześnie polecamy obsadzić warty po mieście, na kolei, przy składach i na rogatkach.

Obywateli wzywa się do spokojnego i godnego zachowania się i we wszystkim spełniania rozporządzeń władzy wojskowej.“

Drugi rozkaz brzmi: „Od dnia dzisiejszego od godziny 12 w południe ustają wszelkie rekwizycje i pobory czynszowe przez władze okupacyjne.

Wszelkie zapasy dawnego rządu okupacyjnego przeszły na rzecz Rządu Polskiego.

Uprzedzamy, iż wszelkie kupna i sprzedaże tych rzeczy będą karane z całą surowością.

Zabramiamy wywozu wszelkich artykułów spożywczych, jak również rąbania i kradzieży lasów rządowych.

Żandarmerję austriacką kasuje się. Na gminach leży obowiązek niezwłocznego zorganizowa-

nia milicji gminnej. W razie niemożności zorganizowania milicji własnymi siłami gminy mogą zwracać się do Komisarza powiatu Radomskiego o przysłanie instruktorów.

Komisarz rządowy powiatowy Z. Słomiński, Komisja do objęcia władzy z rąk okupantów — Aleksy Rzewski (Jankowski), Dr. Kelles-Krauz, Wacław Dębowski, Jan Wigura, Roman Szczawiński.“

To pierwsze polskie zarządzenia na terenie Radomia.

„Ta chwila już do nas należy!“

R a d o m, 3 listopada 1918.

Od dziś jestem polskim żołnierzem, polskim kapłanem.

Dziś w niedzielę od samego rana panował w mieście uroczysty nastrój. Przed południem odbyła się przysięga żołnierzy, oficerów i urzędników-Polaków z wojska austriackiego. O godz. 9 nabożeństwo w kościele marjackim, Mszę św. celebrował przysłany przed kilku dniami do szpitala epidemicznego, kapłan Mitiska. Po Mszy poszedłem na ambonę.

Kościół przepełniony, choć jest ogromny i może pomieścić tysiące ludzi. Gdzie okiem rzucić, masy, tłumy zbite, głowa przy głowie!

Coś się ze mną działo dziwnego — miałem poczucie, że ciąży na mnie przygniatająca odpowiedzialność przed Bogiem za te serca ludzkie, za tych dusz tysiące, co słów moich słuchają i po jakieś wielkie hasło na nowe życie w zmartwychwstałej Ojczyźnie przyszli.

Mówilem, nawołując do zgody i jedności w budowaniu Polski. Trzeba, byśmy dorośli do wielkości chwili. Dziś Polska już jest, ale trzeba nam być Polakami i tylko Polakami, a nie dzielić się na burżujów i proletarjat. Choćby tylko dla przykładu tym, którzy tam na kresach nadśluchują, wyglądając hasła z Warszawy, z Radomia, z serca Polski.

Myśmy dziś podnieceni, pełni zapału, ale już są oznaki rozkładu. Strzeżmy się, by nas muzyka i melodia, idąca od wschodnich granic, od Rosji, nie odurzyła, by nas nie wykierowała na chochoła słomianego, tańczącego na głos zabójczej monotonji cudzej pieśni! — Polska powstaje, by żyć! Polska powstaje, by żyć, a nie by być chochołem na pośmiewisko narodów. — Politykę zostawmy powołanym i odpowiedzialnym, a sami jednoczmy się i słuchajmy! To dziś nasz pierwszy obowiązek narodowy.

Pod koniec przemówienia wezwałem wszystkich do uroczystego ślubowania wobec Boga i Matki Boskiej, że wytrwamy w pracy dla Ojczyzny, w jedności i zgodzie.

Podniósł się cały las rąk — wszyscy w kościele zebrani ślubowali: „Tak nam dopomóż Bóg! Tak nam dopomóż Bóg!“

Nie jestem w stanie powtórzyć improwizowanych słów dzisiejszych przy tem przejmującym ślubowaniu. Wszędzie, gdzie spojrzałem, widziałem łzy w oczach, słyszałem szloch tysięcy. Skończyłem zaintonowaniem: „Boże coś Polskę“. — Śpiewał cały kościół.

Potem ruszyliśmy na plac 3 Maja, gdzie miała odbyć się przysięga. Tłumy ludu otoczyły plac. Przemówił ks. Marjan Glibowski, prefekt, poczem nastąpiło odczytanie rot przysięgi, najprzód dla oficerów i żołnierzy, a potem dla urzędników. Po przysiędze każdy ucałował krzyż i Ewangelię.

Następnie przemówił komisarz rządu p. Słomiński, a pod koniec wszedłem na podwyższenie i powiedziałem: „Teraz już dzięki Bogu niema Polaka w służbie austriackiej, ani pruskiej, ani rosyjskiej. Teraz już niema dzielnic, rozbiorów — jest tylko żołnierz polski, obywatel polski, jest tylko jedna wielka zjednoczona Polska, niech żyje Polska!“ Wszyscy powtórzyli jak grzmot potężne — niech żyje! — Po odśpiewaniu „Roty“ Konopnickiej uroczystość się skończyła.

Po południu otrzymałem od p. Szczepankowej, nauczycielki Seminarjum nauczycielskiego, list z takim powiedzeniem: „Chłonełam całą duszą słowa te płomienne o mej Ojczyźnie, odczułam grozę na widok naszego rozdwojenia, wreszcie do przysięgi wzniosłam nietylko dłoń, ale i całe serce moje — ja je całe na tej dłoni umieściłam i każdą kroplą krwi, każdym nerwem tę przysięgę składałam.

Wiem, że życie nie składa się z chwil takich, jak dzisiejsza, że przyjdzie szare, uciążliwe, przykre, ale ja od dziś inaczej na każdą czynność moją patrzeć będę — każda będzie dla mnie częścią tej „służby Bożej i służby dla Ojczyzny“, na którą przysięgałam i gdy słabnąć będę, daj mi tylko Boże pamięć na tę przysięgę!“

R a d o m, 4 listopada 1918.

Cieszyn i polski Śląsk cieszyński przeszedł pod rządy polskie z dniem 1 listopada. Obecnie przynoszą gazety dokładniejsze wiadomości o tem, jak się to stało.

Oficerowie Polacy odbywali naradę w czwartek, dnia 31 października w domu „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra“. O godz. 7 wieczorem nadszedł telegraficzny rozkaz z komendy wojsk polskich w Krakowie od brygadiera Roji do obsadzenia wszystkich zakładów wojskowych, poczty, magistratu i dworców kolejowych.

Po złożeniu przysięgi wierności Radzie Narodowej ruszyli zebrani w domu „Dziedzictwa“ oficerowie ku koszarom; koszary, wszystkie magazyny wojskowe i składy amunicji zajęto i wszędzie pozaciągano strażę wojskowe. Dotychczasowy komendant, pułkownik Gerndt, który stawiał opór, ustąpił, oświadczając, że ugina się wobec przemocy. Następnie kompanja wojska polskiego obsadziła pocztę. Przed ratuszem i przed odwachem policji, która się poddała, ustawiono warty. Tymczasem wojsko ruszyło na dworzec kolejowy na Saskiej Kępie, obejmując w posiadanie władz polskich dworzec osobowy, ciężarowy i komendę dworca.

Osobnym pociągiem wysłano oddział wojska do Skoczowa, gdzie obsadzono miasto i ogłoszono rządy Rady Narodowej. Cała kolej koszycko-bogumińska aż do granicy węgierskiej, następnie linja kolejowa Bogumin-Dziedzice, kolej Frydek-Bielsko i inne koleje na Śląsku polskim pozostają pod komendą wojsk polskich.

W piątek 1 b. m. udali się posłowie ks. Londzin i dr. Michejda do starosty p. Żurawskiego, który oświadczył, że poddaje się wraz ze swoimi urzędnikami rozkazom Rady Narodowej. Następnie udali się wszyscy trzej posłowie ks. Londzin, dr. Michejda i Reger do prokuratora Prausy i naczelnika sądu obwodowego Harbicha, donosząc, że Rada Narodowa objęła na polskim Śląsku władzę. Przez cały piątek (uroczystość Wszystkich Świętych) liczne tłumy, snujące się po ulicach miasta, w podniosłym nastroju omawiały wielkie zdarzenia ubiegłej nocy.

Nigdzie nie było wykroczeń ani zaburzeń, wszędzie panował porządek.

Magistrat miasta Cieszyna zgłosił imieniem miasta przynależność do państwa niemiecko-austriackiego. Wobec posłów, przedstawiciele Rady Narodowej, zgodził się na uległość względem postulatów Rady Narodowej. —

Dziś po południu po godz. 2 był Radom świadkiem tak długo oczekiwanego tu powszechnie wyjścia „dziadów“.

Już przed południem wywożono wojskowemi samochodami ciężarowemi bagaż, plecaki, kufry. Koło godz. 2 i pół pomaszerowali ul. Lubelską żołnierze 93 pułku, podzieleni już na narodowości. Najprzód szli Czesi ze sztandarami czeskiemi, wszyscy dobrze obładowani i z bronią. Przed komendą powiatową zatrzymali się i zaśpiewali chórem: „Kde domov muj“. Śpiewało chyba z 600 chłopów. Z okrzykami: „Na zdar!“ ruszyli dalej w stronę kolei. Po nich szli Niemcy ze sztandarami pułkowemi. Szli bez entuzjazmu i bez śpiewu.

Na ulicach oczywiście tłumy, przyglądające się wyjściu „dziadów“ jakby z pewnym żalem, czy też współczuciem.

Bataljon 498 wartowniczy rozproszył się i rozjechał niewiadomo nawet kiedy. Nie pozostało po nim śladu. Tak samo personel szpitala epidemicznego. Wszystko rozleciało się, bo każdy już ma tej wojny dosyć.

R a d o m, 5 listopada 1918.

Sytuacja w Radomiu zaostrza się i daje dużo do myślenia. Przejawia się wyraźna dążność żywiołów lewicowych do zagarnięcia rządów, choćby nawet gwałtem. Przykre nad wyraz wrażenie zrobił dziś w południe pochód robotników, uzbrojonych w karabiny. Byłoby jeszcze dobrze, gdyby to byli tylko robotnicy. Ale szło między nimi dużo ludzi mocno podejrzanych, takich, którzy nie sieją, ani orzą, a jednak zbierają. Żle, jeżeli robotnik najniepotrzebniej w świecie, zamiast stanąć do uczciwej pracy przy warsztacie, bierze się do nieswoich rzeczy — do karabinu. Na ramieniu mieli wszyscy opaski czerwone. Dziwnie to pachnie Rosją. To chyba wielki błąd taktyczny uzbrajać ludzi niepewnych, elementy niezadowolone nigdy z niczego i zamiast pracy dawać im karabin.

Tłumaczyłem to w komendzie. Powiedziano mi, że to wynik najświeższych narad, że tłumaczy się to obecną sytuacją polityczną w Warszawie, gdzie powstaje rząd, w którym, jak słychać, lewica ma przewagę. Wobec tego i tutaj musiano się zgodzić na wejście żywiołów lewicowych, so-

cjalistycznych do rządu powiatowego. Tłumaczono mi, że lepiej gdy wejdą w tej formie, niż gdyby mieli sami siłą i walką to stanowisko zdobywać.

Inaczej przedstawiałem sobie tworzenie i zmartwychwstanie Polski!

R a d o m, 6 listopada 1918.

Lwów obsadzony przez Ukraińców, ukraińska Rada narodowa zawiadomiła mieszkańców afiszami, że objęła władzę w Galicji wschodniej. Między wojskami ukraińskimi a polskimi doszło do starć.

Chodzą niesprawdzone wiadomości, że Galicja razem z byłą okupacją austriacką tworzy wspólny rząd, że dyktatorem będzie do czasu zwolnienia Piłsudskiego z więzienia generał Rozwadowski. Kierowanie krajem z Warszawy ogromnie utrudnione, bo Niemcy nie myślą dotąd o opuszczeniu okupacji. Naogół spokój. Na kolejach ruch szalony. W nocy słyszać ciągle strzały.

R a d o m, 7 listopada 1918.

Na zakończenie drugiego roku wykładów w College de France w Paryżu w r. 1842 odczytał Adam Mickiewicz swoim słuchaczom dziwną, a pełną nadziei w zmartwychwstanie Polski przepowiednię poety polskiego Brodzińskiego, zmarłego 1835 roku. Z okazji powstania listopadowego 1830 pisze Brodziński:

„Dni miesiąca listopada są pełne świętych tajemnic. W listopadzie rozpoczyna się uroczystość

przyjścia Chrystusa — adwent. Na listopad przypada święto św. Andrzeja, którego Pan pierwszego między uczniów powołał, a który według podania był pierwszym apostołem Słowian... w dzień przed uroczystością św. Andrzeja podniósł lud polski na nowo krzyż Chrystusów... czuwajcie matki, czuwajcie nauczyciele i kaznodzieje! Niech każda dusza polska zatęskni i czuwa, bo nie wie, gdzie i kiedy usłyszy wołanie!“

Tak pisze Brodziński.

I kiedy zajrzeć do historii, to rzeczywiście trzeba przyznać, że listopad jest dla Polski miesiącem wielkich wydarzeń i przełomów.

Od okropnej rzezi Pragi, dokonanej 3 i 4 listopada 1794, poprzez strącenie z tronu ostatniego króla polskiego 25 listopada 1795 roku, przez wąwozy Samosierry i klęskę Berezyny aż do powstania 1830. Potem przerwa do 1 listopada 1905, gdy plac Teatralny w Warszawie spływa krwią polską, kobiet i dzieci, masakrowanych przez kozaków. A w czasie wojny, pamiętny akt 5 listopada, akt zwodniczych obietnic wskrzeszenia państwa polskiego. W dwa lata później — listopad zmartwychwstania — listopad wolności, powstania państwa polskiego, listopad zjednoczenia trzech zaborów, niestety bez Lwowa.

Co nam przyniesiesz dalej tajemniczy, wielki, radosny ale i straszny polski listopadzie?

R a d o m, 7 listopada 1918.

„Monitor Polski“ z 5 listopada ogłasza odezwę Rady Regencyjnej do Narodu Polskiego:

„Rada Regencyjna wraz z całym narodem pod opieką Bożą idzie ku Odrodzonej, Zjednoczonej Polsce, której moc państwową chce oprzeć na niespożytych siłach ludu polskiego.

Stanowczy krok w tym kierunku uczyniliśmy, ogłaszając orędziem naszym z dnia 7 października b. r. Niepodległość i Zjednoczenie Polski. Pod temi hasłami jednoczy się cały naród. Ale dalsza droga do urzeczywistnienia Polski Zjednoczonej i Wolnej prowadzi jedynie i wyłącznie przez Sejm Konstytucyjny. Wierni naszemu orędziu i naszej przysiędze, nie dopuścimy żadnego od tej drogi zboczenia.

Za takie niebezpieczne i niedopuszczalne w interesie narodu zboczenie musimy uznać wszelką próbę wciśnięcia pomiędzy naród polski a polski ludowy Sejm ustawodawczy zawodnych i jednostronnych dążeń i formacji partyjnych. Nie możemy też dopuścić, aby narażano istotny interes i istotną suwerenność ludu polskiego, którego upragnionym rzecznikiem może być jedynie tylko Sejm na najszerszych, demokratycznych podstawach oparty, a w żadnym razie zmieniające się z dnia na dzień ugrupowania partyjne.

Z tych pobudek i ze względu na konieczny ład, porządek i powagę, godną wielkiego narodu w tak doniosłej dla niego chwili, stanowimy:

1. Zwołać w ciągu grudnia b. r. do stołecznego m. Warszawy Sejm Konstytucyjny, oparty na głosowaniu powszechnem.

2. Ogłosić niezwłocznie ordynację wyborczą, oraz zarządzenia dla zwołania Sejmu konieczne.

Wzywamy stronnictwa polityczne, aby, kierując się ofiarnością patriotyczną, w ciągu naj-

bliższych dni przedstawiły nam do zatwierdzenia Rząd narodowy, uosabiający powszechność narodową, w którego ręce moglibyśmy z ufnością złożyć losy Ojczyzny. Jeżeli się to nie stanie, powołamy niezwłocznie gabinet szczerze demokratyczny z ludzi, którzy sprawę Ojczyzny stawiać będą ponad wszelkie względy partyjne.

Do tej stanowczości wzywa nas chwila historyczna. Budowa państwowości wymaga szybkiej realizacji, granice państwa są zagrożone, wojsko musi niezwłocznie powstać.

Powołujemy cały naród, aby w imię dobra Ojczyzny się zjednoczył i do pierwszego Sejmu Konstytucyjnego śpiesznie się sposobił. W ręce tego Sejmu władzę naszą złożymy."

Podpisano: Aleksander Kakowski, Józef Ostrowski, Zdzisław Lubomirski."

By umożliwić stworzenie nowego rządu, w którym wzięliby udział przedstawiciele wszystkich ugrupowań partyjnych, ustąpił cały dotychczasowy gabinet Świeżyńskiego.

Warto pamiętać tekst i daty powyższej odezwy.

R a d o m, 8 listopada 1918.

Dziś pojawiły się na mieście ogłoszenia o polskiej republice ludowej i rządzie tymczasowym w Lublinie. Nie czekając na skonsolidowanie sił całego kraju, kilku ludzi ambitnych, adorning się wzajemnie, narzuca się Polsce, tworząc samozwańczy tymczasowy rząd lubelski, rozpoczynając bardzo niebezpieczną grę w obecnej chwili.

Na ulicach rozlepiono afisze następującej treści:

„Republika polska — Tymczasowy Rząd Ludowy. Obywatele! Reakcyjne i ugodowe rządy Rady Regencyjnej zostały przez Lud Polski obalone. Z polecenia stronnictw ludowych i socjalistycznych b. Królestwa i Galicji ogłaszamy się za Tymczasowy rząd ludowy republiki polskiej, ujmując w swoje ręce pełnię władzy do chwili zwołania Sejmu Ustawodawczego. — Komendantem naczelnym wszystkich wojsk polskich mianujemy zastępcę J. Piłsudskiego, pułkownika Edwarda Rydza-Śmigłego. Tymczasowy rząd ludowy republiki polskiej: Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medard Downarowicz, Gabryel Dubiel, Marjan Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Julian Poniatowski, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt, Wincenty Witos, Bronisław Ziemięcki.“

Trzynastcie nazwisk, trzynastu założycieli republiki polskiej — fatalna cyfra, może się ta zabawa fatalnie skończyć. Data: Lublin-Kraków, 7 listopada 1918.

Trzynastu tych megalomanów ogłasza równocześnie odezwę, której nie powstydzilyby się sowiety rosyjskie. Brzmi ona:

„Do ludu polskiego! Robotnicy, Włościanie, Żołnierze polscy! Nad skrwawioną i umęczoną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W gruzy walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne go ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy. I nie zaświta lepsza dola nad narodem polskim, jeżeli rdzeń i ol-

brzymia jego większość — lud pracujący nie umie w swoje ręce budowy podwalin naszego życia społecznego i państwowego.

Nie może losem narodu polskiego nadal kierować Rada Regencyjna przez obce i wrogie czynniki nam narzucona, która swoją ugodową i reakcyjną polityką, oddając jednocześnie niemal dyktatorską władzę w ręce austriackiego żołdaka Rozwadowskiego, pcha naród polski ku przepaści.

Ludu polski! Polski chłopie i robotniku!

Jeżeli chcesz zająć należne Ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach Niepodległej i Zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej.

W przekonaniu, iż sprostasz temu wielkiemu a świętemu zadaniu z polecenia ludowych i socjalistycznych stronnictw b. Królestwa i Galicji, ogłaszamy się za Tymczasowy Rząd Ludowy Polski i do chwili zwołania Sejmu Ustawodawczego władzę całkowicie i niepodzielnie obejmujemy, ślubując sprawować ją sprawiedliwie ku dobru i pożytkowi ludu i państwa polskiego, nie cofając się jednak przed surową i bezwzględną karą wobec tych, którzy nie zechcą uznać w Polsce władzy Demokracji Polskiej.

Jako Tymczasowy Rząd Ludowy Polski postanawiamy i ogłaszamy poniższe prawa, obowiązujące cały naród polski od chwili wydania niniejszego dekretu:

1. Państwo polskie, obejmujące sobą wszystkie ziemie, zamieszkałe przez lud polski z własnym wybrzeżem morskim, stanowić ma po

wszystkie czasy Polską Republikę Ludową, której pierwszego Prezydenta obierze Sejm Ustawodawczy.

2. Rada Regencyjna, działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym z woli ludu polskiego przestaje istnieć.

W razie gdyby Rada Regencyjna oraz rząd przez nią stworzony tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęte z pod prawa.

Ściganie, ujęcie i oddanie ich w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego.

3. Istniejącemu obecnie w Warszawie prowizorycznemu rządowi urzędniczemu rozkazujemy niniejszem natychmiast podporządkować się nam i sprawować swe funkcje aż do chwili otrzymania od nas bliższych instrukcyj. W przeciwnym razie będą postawieni w stan oskarżenia przed Trybunałem Ludowym, którego skład i kompetencje będą niebawem ogłoszone.

4. Sejm Ustawodawczy zwołany będzie przez nas jeszcze w roku bieżącym na podstawie powszechnego, bez różnicy płci, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego głosowania. Ordynacja wyborcza będzie ogłoszona w ciągu najbliższych dni. Czynne i bierne prawo wyborcze będzie przysługiwało każdemu obywatelowi, mającemu 21 lat skończonych.

5. Z dniem dzisiejszym ogłaszamy w Polsce całkowite, polityczne i obywatelskie równouprawnienie wszystkich obywateli bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości, wolność sumienia,

druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, związków zawodowych i strajków.

6. Wszystkie w Polsce donacje i majoraty ogłaszamy niniejszem za własność państwową. Dla przeciwdziałania spekulacji ziemią będą wydane osobne przepisy.

7. Wszystkie lasy zarówno prywatne jak i dawne rządowe ogłaszamy za własność państwową. Sprzedaż i wyrąbywanie lasów bez specjalnego pozwolenia od chwili ogłoszenia niniejszego dekretu jest wzbroniona.

8. W przemyśle, rzemiosłach i handlu wprowadzamy niniejszem 8-godzinny dzień roboczy.

9. Po ukonstytuowaniu się ostatecznem przystąpimy natychmiast do reorganizacji na zasadach szczerze demokratycznych Rad Gminnych, Sejmików Powiatowych i Samorządów Miejskich, jak również do zorganizowania po miastach i wsiach milicij ludowych, któreby zapewniły ludności ład i bezpieczeństwo, a posłuch i wykonanie zarządzeń naszych organów wykonawczych.

Należyte postawienie sprawy aprowizacji ludności, zapewnienie jej niezbędnych po taniej cenie artykułów spożywczych uważamy za jeden z pierwszych naszych obowiązków. W tępieniu zbrodniczej spekulacji i ukrywania zapasów i w ułatwieniu dostarczania żywności oprzemy się na organizacjach samorządowych i społecznych.

Na Sejm Ustawodawczy wniesiemy projekty następujących reform społecznych:

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolą państwową;

b) upaństwowienie kopalń, salin, przemysłu naftowego i dróg komunikacyjnych, oraz innych działów przemysłu, gdzie się to da odrazu uczynić;

c) udział robotników w administracji tych zakładów przemysłowych, które nie zostaną odrazu upaństwowione;

d) prawa o ochronie pracy, ubezpieczeniu od bezrobocia, chorób i na starość;

e) konfiskaty kapitałów powstałych w czasie wojny ze zbrodniczej spekulacji artykułami pierwszej potrzeby i dostaw do wojska;

f) wprowadzenia powszechnego, obowiązkowego i bezpłatnego świeckiego nauczania szkolnego.

Polaków, zamieszkałych na ziemiach byłego Księstwa Litewskiego, wzywamy, aby w braterskiej zgodzie z narodami litewskim i białoruskim dążyli do odbudowania państwa litewskiego w dawnych jego historycznych granicach. Polaków zaś ze wschodniej Galicji i na Ukrainie do pokojowego załatwienia kwestyj spornych z narodem ukraińskim, aż do ostatecznego ich uregulowania przez miarodajne czynniki obu narodów.

Ludu polski! Te reformy polityczne i społeczne, które pragniemy w życie wcielić, są najniezbędniejsze.

Bez urzeczywistnienia ich Polska nigdy nie dźwignie się z dzisiejszej nędzy, bezwładu i upokorzenia. Urzeczywistnieniu tych reform na obszarze całej Polski stoi na przeszkodzie to, iż część jej jeszcze znajduje się w posiadaniu rabujących ją i niszczących wojsk niemieckich. Dlatego też nie mamy w swym składzie przedstawicieli ludu z Poznańskiego, dlatego też chwilowo nie

urządujemy w Warszawie — stolicy Polski. Wierzymy, iż lud niemiecki, który z takim trudem dochodzi u siebie w domu do władzy, rozkaże swym wojskom bezzwłocznie opuścić wszystkie ziemie polskie, odda nam naszych najlepszych obywateli z Piłsudskim na czele, jak również jeńców wojennych i robotników, więzionych dotychczas w Niemczech.

Ale gdyby wojska niemieckie nie ustąpiły dobrowolnie z całej ziemi polskiej, to wezwiemy Cię, Ludu Polski, abyś z bronią w ręku szedł ją uwolnić od niemieckiego najazdu, jednoczyć w całość państwową. Dlatego też organizowanie regularnej armji ludowej uważamy za jedno z najważniejszych i najpilniejszych naszych zadań. Wierzymy, że młodzież wiejska i robotnicza z radością stanie w szeregach rewolucyjnej armji polskiej, z ludu wyszłej, politycznych i społecznych praw ludu pracującego broniącej, Rządowi Ludowemu wiernie i całkowicie oddanej, jedynie jego rozkazom podległej. Tworzenie tej armji wobec nieobecności Józefa Piłsudskiego powierzamy jego zastępcy pułkownikowi I. Brygady b. Legionów Polskich, Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu.

Ludu Polski! wybiła godzina Twego czynu. Weź wielkie dzieło wyzwolenia Twej ziemi, prześiąkniętej potem i krwią Twych ojców, praojców w swe spracowane, mocne dłonie i przekaz następnym pokoleniom Wielką i Wolną, Zjednoczoną Ojczyznę.

Stań jak jeden mąż do czynu: nie poskąp wielkiemu dziełu wyzwolenia Polski i pracującego w niej człowieka ani mienia, ani ofiar, ani życia.

Was bratnie narody litewski, białoruski, ukraiński, czeski i słowacki wzywamy do zgodnego z nami współżycia i wzajemnego wspierania się w wielkiem dziele tworzenia związku wolnych i równych narodów.

Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej: Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medard Downarowicz, Gabrjel Dubiel, Marjan Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nacznicki, Juljusz Poniatowski, Edward Rydz-Śmigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt, Wincenty Witos, Bronisław Ziemięcki.

Lublin-Kraków, dnia 7 listopada 1918.

Kilku tych członków rządu lubelskiego znam jeszcze z N. K. N. z Jabłonkowa i z Krakowa. To ludzie nie do rządów. To nie ci, co jak chce Krasiński, „umieliby wylać ducha na miljony, ciałom wszystkim rozdać chleba, duszom wszystkim — myśli z nieba.“ Zresztą z równem prawem może dziś czy jutro inna grupka ludzi proklamować republikę gdzieś w Pacanowie i ogłaszać jeszcze dłuższy program, nie mający z „wołą ludu“ i z duchem Polski nic wspólnego.

Program rządu lubelskiego zbywa milczeniem Pana Boga, widocznie chce urządzać Polskę bez Boga. Nie mając jeszcze żadnej władzy w rękę, wyjmuje już niewygodnych sobie ludzi z pod prawa i grozi im Trybunałem Ludowym. Wiadomo dobrze, co to jest. Pierwszym więc aktem — akt nienawiści, drugim zapowiedziana konfiskata, czyli najzwyczajsza grabież własności prywatnej na rzecz państwa, a właściwie partji rządzącej,

trzecim zapowiedź wyrzucenia religii ze szkół przez obietnicę świeckiego nauczania szkolnego, więc walka z religią.

Jacy ludzie, taki program.

Skrajne żywioły, frakcje rewolucyjne zawsze bardzo krzykliwe i pewne siebie chcą steroryzować resztę społeczeństwa groźbą rozruchów, bolszewizmu i sięgają po władzę. Stara, wypróbowana metoda.

Pomyśleć, że Polska — katolicka Polska ma mieć rząd socjalistyczny, rząd z takim programem! Nie jestże to paradoks? Przecież tu socjalizm jest rozwinięty tylko po miastach i w ośrodkach przemysłowych, a tych niewiele. Reszta ludu jest stanowczo lepsza od tych, co narzucili mu się na przedstawicieli — to lud religijny, wierzący, nie mający z socjalizmem nic wspólnego, niestety nieorganizowany, bo ludzie uczciwi są zawsze źle zorganizowani, albo wogóle nie organizują się, a bez organizacji najlepszy człowiek traci dziś swoją wartość i znaczenie.

W każdym razie czasy idą wielkie. Niewola, zabory nagromadziły za dużo krzywd, za dużo złego, by Polska odrazu mogła stać się rajem. Trzeba wzajemnych ofiar, trzeba reform, ale nie doktrynerskich, oderwanych od życia, trzeba reform, uwzględniających etykę i moralność chrześcijańską oraz charakter Narodu polskiego.

W tej chwili otrzymałem list od p. drowej Szczepaniakowej.

W liście pisze: „...boli mnie wszystko, co się dzieje, boli, że to budowanie mojej Ojczyzny nie idzie drogą prostą wzwyż, lecz zaczyna się od burzenia, od negacji, od szarpania władzy każdy

w swoją stronę. Boli mnie więcej niż kogo innego, bo i ja niegdyś pracowałam w szeregach tych, co teraz głoszą hasła wywrotowe i moja może cegiełka jest w tym gmachu takim bez podstaw i fundamentów.“

Podziemna, tajna robota w Królestwie zwrócona przeciw caratowi, organizowana była głównie przez socjalistów. Działalność ta niebezpieczna, ciągle śledzona i tropiona, była otoczona nimbem, urokiem, pociągała jednostki najzdolniejsze, najwybitniejsze, czujące gorąco po polsku. Trafiając na liche tu naogół przygotowanie religijne i rzucającą się wprost w oczy ignorancję religijną, skierowywał socjalizm tych ludzi łatwo na drogę materializmu i negacji prawd objawionych oraz ateizmu. Socjalizm wyrobił tu sobie dużo jednostek z politycznym nerwem, wyszkolonych a przede wszystkim karnych. A aureola męczeństwa i romantycznej pracy podziemnej wśród najtrudniejszych warunków, ogólny brak mocnych i jasno skryształizowanych zasad religijnych we wszystkich warstwach społeczeństwa, zyskuje socjalizmowi i innym wywrotowym partjom sympatyków i poparcie, nawet w sferach uważanych za burżuazyjne.

W gazetach wiadomości, że Niemcy wysłali do generalissimusa wojsk koalicyjnych Focha delegację, która ma układać się o zawieszenie broni. W Galicji walki nad Sanem, we Lwowie walki uliczne z Ukraińcami. W Trzebini stoi masa pociągów z wojskiem, jeńcami, wracającymi do domu. Brak lokomotyw. Wszyscy jadą bez kontroli, bez biletów. Do przedziałów wchodzą ludzie

zwykle przez okna, bo wagony i przejścia zapchane do ostatniego miejsca.

R a d o m, 9 listopada 1918.

W tej chwili godzina 12.30 w południe, odbywa się na placu 3 Maja przysięga wojska polskiego na rząd lubelski.

Otrzymałem przed południem wezwanie do odebrania przysięgi od żołnierzy i do złożenia nowej przysięgi, bo tamta z niedzieli — nieważna.

Oświadczyłem, że o ważności przysięgi decyduje kto inny, nie komenda powiatowa i że ani sam nie złożę, ani nie odbiorę od żołnierzy przysięgi na rząd, który sam się zamianował i który ogłasza tego rodzaju hasła i zapowiada pośrednio walkę z Kościołem, nie licząc się wcale z przekonaniami i wierzeniami ludu polskiego. Wszędzie zresztą przysięgę składa rząd a nie obywatele.

Wobec groźby zaaresztowania mnie zgłosiłem swe wystąpienie z wojska polskiego, oświadczając, że gotów jestem przez jakiś czas pełnić zastępczo funkcje kapelana.

Przestałem być kapelanem wojskowym.

I przysięga odbywa się bez księdza, bez krzyża, bez Ewangelji św., bo zawiadomiłem księży parafjalnych i księży prefektów o fakcie i motywach i nie przypuszczam, by jaki ksiądz katolicki, zdający sobie sprawę z wypadków, mógł się zgodzić na udział w takiej przysiędze.

Tak skończyła się moja kapelańska służba wojskowa. —

Dziwna rzecz, że choć dałbym się za Polskę pociąć na kawałki, po kilku dniach służby w wojsku polskiem jestem zmuszony z tego wojska wystąpić.

W duszy gorycz, ale to nic. To, Panie, na wynagrodzenie za niewierności moje, opuszczenia, błędy i winy w czasie spełniania obowiązków kapelana wojskowego.

Rząd lubelski zamianował komisarzem powiatowym swojego człowieka Aleksego Rzewskiego*). Na budynku, w którym mieszczą się władze powiatowe, wywieszono czerwony sztandar.

R a d o m, 10 listopada 1918.

Rząd lubelski zyskał sobie posłuch tylko w Lublinie i w Radomiu. W Warszawie tworzy się dalej i pracuje po dawnemu. Rada Regencyjna ogłasza w dalszym ciągu chęć ustąpienia i oddania władzy, skoro tylko utworzy się gabinet koalicyjny. Sytuacja wciąż niewyjaśniona.

Dzienniki donoszą, że poseł Witos nie podpisał wcale programu rządu lubelskiego i od tej całej donkiszoterji się odżegnywa.

Dziś niedziela, miałem nabożeństwo w kościele Marjackim o godz. 9 w miejsce dotychczasowego wojskowego. Nie spodziewałem się, że przyjdą jacy żołnierze. A jednak z przyzwyczajenia przyszli. Było ich do dwustu. Poza tem licznie zebrana ludność radomska.

Wczoraj podczas składania przysięgi na placu 3 Maja napiętnowano publicznie, że duchow-

*) Obecnie rejent w Łodzi.

wieństwo nie przyszło do odebrania przysięgi, bo jest jakoby nieprzyjacielem ludu robotniczego i żołnierzy.

Wobec tego uważałem za konieczne wyjaśnić także publicznie w kościele stanowisko moje i duchowieństwa w tym wypadku. — Wszyscy, którym kazano przysięgać wczoraj, złożyli już przysięgę w niedzielę 3 b. m. Przysięga złożona raz wobec tego samego jedyne Boga, na tę samą jedną Polskę obowiązuje bez względu na to, jaki w Polsce będzie rząd. — Komu i przed kim złożył przysięgę rząd lubelski? Skąd uzurpuje sobie prawo zmuszania drugich do tego, czego sam nie robi?

Przysięgać na hasła, wysunięte przez ludzi, o których wiadomo dobrze, co za jedni, ludzie, którzy w swej zarozumiałości sięgają sami po władzę, do tego nie przyłoży ręki żaden ksiądz. Czego ci ludzie chcą, to jasno i wyraźnie wydrukowali i podpisali. To są hasła, godzące w wierzenia milionów, w to, czem lud polski w czasach największego upadku Polski stał i bronił się. Religja i wiara utrzymała lud przy polskości, wobec najkrwawszych prześladowań, wobec wysiłków germanizacyjnych i rusyfikacyjnych.

Rząd złożony z takich ludzi nie może od nas domagać się przysięgi, brania na świadka Boga, w którego sam w większości nie wierzy.

„Ale Świętości nie szargać, bo trza, żeby święte były, a Świętości nie szargać: to boli!“*)

*) Wyspiański: „Wesele“, 2, scena 6.

Jest źle w Polsce — to każdy widzi. Źle, bo przez dziesiątki lat zaborcy tylko psuli i naprawić niczego nie dali. Każdy widzi, że naprawić wiele rzeczy koniecznie trzeba, ale nie rabunkiem, nie grabieżą i nie w ciągu kilku dni. Jest źle, jest bieda i naprawa stosunków przyjść musi, ale trzeba jąć się pracy rozumnie, z miłością wzajemną, z Bogiem, budować z Chrystusem. „Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracują ci, którzy go budują!“*)

Bez religii nie można długo rządzić. Bóg odmawia błogosławieństwa tym, którzy odmawiają Mu uznania Jego boskiego Majestatu. „Z wiecznym Bogiem ten nie będzie, kto inaczej świat swój kreśli**).

My katolicy musimy zająć teraz wyraźne, zdecydowane stanowisko. Trzeba stanąć wszędzie mocno i nie dać się zakrzyczeć tym, co dziś wyszli nie wiadomo skąd, wiecznie grożąca i niezadowolona gromada, dziś uzbrojona w karabiny i wyciągająca rękę po rządy! Rządy ludu robotniczego!

Potem — ostatnie nabożeństwo w więzieniu. Pożegnałem się serdecznie z więźniami, mieli łzy w oczach, a mnie też było dość niewyraźnie.

Następnie wygłosiłem kazanie na sumie w kościele po-bernardyńskim. Kościół pełny. — Ewangelja św. o kłakolu, któremu Bóg pozwala rósć z pszenicą aż do żniwa. Nawiązując do myśli przewodniej, przeszedłem na stosunki obecne

*) Ps. 126, 1.

**) Krasiński: Psalmy przeszłości.

po wyjściu Austrjaków, kiedy Polska rządzi się już sama. Tyle naraz wśród nas i koło nas kłólu. Wszystko to powychodziło skądś, powypelzało i narzuca gwałtem swą opiekę i wolę. A to poważnie tacy, którym wiara niczem, co uważają, że dla nich Kościół, Sakramenty św. nie istnieją.

Ale my ich jeszcze respektu dla Kościoła nauczymy. Kościół katolicki nie jest jakimś stowarzyszeniem czy bractwem dla dekoracji zewnętrznej przy odbieraniu przysięgi lub przy po-grzebie.

Kościół ma w Polsce nieco poważniejsze zadania i posiada w Polsce, wyrosłej na kulturze katolickiej, wiekowe prawa, z których nie pozwoli się zepchnąć nikomu. Stróżami tych praw „wówczas będziem my!“ Walki się nie lękamy. Kościół żadnej walki dotąd nie przegrał, nie przegra jej i w Polsce — przedewszystkiem w Polsce.

Przyjaźń Kościoła z Polską przetrwała wieki, przetrwała i niewolę, obroniła kresy, hartowała ducha i dziś, kiedy Polska ledwo pierwsze kroki samodzielne stawia, mamyż tę przyjaźń rozrywać?

Przyjaźń, rozum i doświadczenie wiekowe Kościoła mogą się nam jeszcze w przyszłości nie-raz przydać! O kogo, o co mamy się oprzeć w państwowym rozwoju? O dzieło Chrystusowe, o Kościół — czy też o niewiarę, socjalizm, może nawet bolszewizm żydowski?

Rozwinąłem dalej myśli z przemówienia ran-nego w kościele Marjackim. Myśli, słowa szły same z dziwną jakąś siłą, która miała źródło jakby nie we mnie, ale poza mną.

Na końcu postawiłem pytanie: To my teraz w Polsce mamy wyrzec się Ciebie, Chryste,

utajony na naszych ołtarzach i Ciebie, Marjo, Królowo nasza? Ludzie! Czy Wy na to pozwolicie, by Wam wyrywano wiarę z duszy? Kogo chcecie mieć panem w Polsce, — Chrystusa czy szatana?

Powstał szloch i płacz ogólny. Wszystko koryzło się przed Utajonym w ołtarzu Bogiem z silnem postanowieniem skupienia się dla obrony najświętszych dóbr i ideałów. Deus Israel, custodi hanc voluntatem!*) Ty Jezu, bądź Królem i Panem naszym! Boś Ty chwałę i Królowanie Swoje dziwnie złączył ze szczęściem i zbawieniem naszym i Ojczyzny naszej!

„Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,
My zawieszeni pomiędzy otchłanią

Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły — z dusz wypłen kąkole,
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!*)

Plany co do powrotu na Śląsk przesunęły się na dalszą metę. Sytuacja wyjaśnia się w tym kierunku, że tymczasowy rząd lubelski bez ludowców nie utrzyma się i w Radomiu rządu czerwonej gwardji skończyć się muszą.

Wiadomości z gazet: Abdykacja cesarza Wilhelma II i następcy tronu, bunt marynarzy niemieckich w miastach hanzeatyckich, ogłoszenie republiki niemieckiej z kanclerzem Ebertem — kiedyś majstrem rymarskim — na czele.

Zmiany niebywałe i wprost nieprawdopodobne. Wali się zupełnie potęga straszna, tak długo

*) I. Paral. 29, 18.

*) Krasiński, Psalm przyszłości.

niezwyciężona, organizm państwowy, który wytrzymał przez przeszło cztery lata napór całego świata i który do niedawna wszędzie zwyciężał, gdzie tylko uderzył. Runęła już ta pruska pewność siebie, runęła moc, ujarzmiająca i trzymająca w kleszczach dziesiątki milionów, niepokojąca swemi aspiracjami i swą zaborczością cały świat.

Wojna dziś już skończona.

W tym tygodniu padną chyba ostatnie strzały w tej strasznej, ohydnej wojnie, bezrozumnej, okrutnej. Tyle cierpień, tyle bólu, tyle ran, tyle krwi, zniszczenia! Coby to można stworzyć tą energją, wyładowaną li tylko w kierunku zabijania i niszczenia! Coby to można dać ludzkości wzamian za wszystkie bezpowrotnie zniszczone wartości! — Owoce, plony wojny choćby najidealniejsze, nie zrównoważą nigdy ofiar, jakie ludzkość poniosła.

Narody uwolniły się od gwałtu. Są wolne, zdobyły prawa, podeptane i ciągle deptane względami i interesami dynastycznymi. Dziś wyzbyły się kajdan.

Ludzkość odetchnie.

Oczy nasze patrzą ze zdumieniem, jak się tworzą nowe państwa. Zupełnie automatycznie według postawionych tam za oceanem zasad Wilsona. — Coś niesłychanego! Ktoś stawia zasady, normy jakieś, a o setki, tysiące mil słucha wszystkim, ustawia się, układa na nowo.

Oto potęga sprawiedliwości, potęga słuszności i prawa! Wiekowe krzywdy i błędy polityki leczy poniewierana, wyszydzana — teologia moralna — Samarytanka dziejowa.

Europa zmieniła swój wygląd. Ułożenie sił zupełnie inne. Środkowa Europa będzie nie do poznania. Ustaną już chyba walki narodowościowe, bo nie będzie tarć ani punktów spornych, skoro wszystkie aspiracje powinny teraz być zaspokojone. Ucierpi na tem prawdopodobnie poczucie patriotyzmu i poczucie narodowe, skoro nie będzie już w tym kierunku żadnego nacisku ani ucisku. — Zaczną się zato walki socjalne, tarcia w kierunku najkorzystniejszego ułożenia sobie życia, walka o wyrównanie różnic majątkowych i klasowych.

Świat podzieli się w doborze środków na dwa wielkie obozy: jeden załatwiający wszystkie aspiracje i dążności w zgodzie z sumieniem, etyką, dekalogiem, Chrystusem — drugi materialistyczny, nie oglądający się na żadne zasady moralności religijnej.

Nastąpi podział duchów na dwa wielkie obozy: chrześcijański i materialistyczny. —

Od ośmiu dni toczą się krwawe walki na ulicach Lwowa o poszczególne dzielnice. Polacy osaczeni przez Rusinów, popieranych przez byłą armję austriacką Böhm-Ermolli. Wiadomości dochodzą przez lotników. Walczą starcy i chłopcy 14-letni, dziewczęta nawet. U nas ludzie bawią się w zamachy stanu, rządy lubelskie, rozdaje się broń dla teroryzowania spokojnej ludności, opowiada się o bohaterstwach ludu roboczego, o cudach przy rozbrajaniu okupantów, choć okupanci sami się rozbrajali i broń oddawali, tworzy się legendy o wywalczeniu wolnej Polski przez robotników, brednie, w które nikt nigdy nie uwierzy, kto własnymi oczyma na wyzwolenie się Polski

z niewoli patrzył — a tam garstka najdzielniejszych skazana na zagładę, a z nią i bohaterski, polski Lwów.

R a d o m, 14 listopada 1918.

Warszawa w rękach polskich! Dnia 11 b. m. oczyszczono Warszawę z Niemców. Budynki rządowe, koleje, posterunki obsadzone przez wojsko polskie.

W Niemczech rewolucja, żołnierze tworzą rady żołnierskie, Wilhelm II uciekł do Holandji, cesarz austriacki Karol abdykował.

Piłsudski wrócił z Magdeburga, wypuszczony stamtąd przez niemiecki rząd rewolucyjny i zabrał się do tworzenia rządu z przedstawicieli wszystkich stronnictw i dzielnic.

Dziś wszystko czeka, nad słuchując wieści z Warszawy, dokąd zjechali się przedstawiciele stronnictw, wezwani przez Radę Regencyjną depeszą następującej treści: „Okupacja niemiecka ustała, wzywamy wszystkich przedstawicieli stronnictw, by przybyli do Warszawy i utworzyli rząd narodowy.“

Wczoraj przyszła do mnie delegacja pań ze znaną z pracy narodowej i społecznej p. Wroncką na czele i zaproponowała, bym jeszcze jakiś czas w Radomiu pozostał celem organizowania na tu-tejszym terenie sił i ludzi, nie stojących na gruncie socjalistycznym i antykatolickim.

Wartałoby rzeczywiście rozruszać trochę Radom, zjednoczyć ludzi dobrej woli, obudzić czynny katolicyzm, wyrwać z panującego wszechwładnie indyferentyzmu i liberalizmu religijnego i narodowego.

R a d o m, 16 listopada 1918.

Poznańskie w rękach polskich! Pisma wielkopolskie ogłaszają odezwę Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej z 14 b. m., podpisaną przez ks. St. Adamskiego, Wojciecha Korfantego i Adama Poszwińskiego. Odezwa zapowiada utworzenie Naczelnej Rady Ludowej jako przedstawicielstwa wszystkich Polaków, zamieszkałych na ziemiach, objętych dotąd granicami państwa niemieckiego i kończy następującym apelem:

„Polacy! Z morza krwi unosi się Biały Orzeł odrodzonej Polski, spełnienie naszych tęsknot, pragnień i nadziei, które nas krzepiły w ciężkich przejściach narodowych.

Stańmy więc do szeregu, by utrwalać podwaliny nowej Polski!

Polacy! Chwila obecna żąda od nas spokoju, napięcia wszystkich sił, poświęceń materialnych, karności i zgody!“

Walka bohaterska o Lwów trwa dalej. Komenda wojsk polskich ogłasza 13 b. m. taki komunikat: „Odparto i zmuszono do ucieczki oddziały ukraińskie, następując na Wólkę i szkołę kadecką. Posterunki nasze odparły silne ataki w ul. Meiselsa, Tercjarskiej i Rappaporta. Nieprzyjaciel, otrzymawszy świeże posiłki, wysadzone na dworcu Podzamcze, uderzył większymi siłami na Janowskie. Oddziały rotm. Pomiana odrzuciły go poza linje wypadowe, odebrały koszary trenu piechoty chwilowo przez niego zajęte, wyrwały mu z rąk most kolejowy z ul. Źródlanej na ulicę

Graniczną po kilkakrotnej walce. — Oddział chor. Rydla, wsparty przez podchor. Góreckiego J., po dwugodzinnej walce zmusił do powrotu Ukraińców, usiłujących przedrzeć się ze Zboisk na Zamarstynów. Pojmano tam do niewoli 1 oficera i 3 żołnierzy. Zastępca oficera Presz Wł. wyparł nieprzyjaciela z ul. św. Marcina i Zborowskich. Ponowny atak nieprzyjacielski w tymże kierunku po godzinnej zaciętej walce załamał się dzięki sprawności dowództwa ppor. Pfeiffera i niezwyklej odwadze ogniomistrza karabinów maszynowych sierż. Piszka Piotra. Nieprzyjaciel atakował tu, idąc w poczwórnej linii tyraljerskiej w sile około 150 ludzi. W walce tej zdobyto 15 ręcznych granatów i 12 karabinów. — Oddział nasz, prowadzony przez plutonowego Barańskiego Edwarda, zmusił do cofnięcia się pociąg ukraiński, zdążający na dworzec Podzamcze. Kapitan Boruta uderzył od strony Sygniówki na wojska ukraińskie, stojące pod Kulparkowem. Rozbił je i wyrzucił za cmentarz kulparkowski.

Atak ukraiński, prowadzony wielkimi siłami z Hołoska Wielkiego na Kleparów i Górę Stracenia, odparto. Kleparów i Zamarstynów chwilowo przez nieprzyjaciela zajęte, odebrano. Rozgromione oddziały ukraińskie wyparto aż pod Podzamcze. Wzięto jeńców, dużo broni i amunicji.“

Naczelnym komendantem we Lwowie jest profesor, kapitan artylerji Czesław Mączyński, szefem sztabu por. Łapiński. W pierwszej chwili siły polskie liczyły 40 ludzi!

R a d o m, 17 listopada 1918.

Wczoraj wieczorem odbyło się zebranie organizacyjne stowarzyszenia kobiet „Zjednoczenie Polek“. Że potrzeba podobnego zrzeszenia wibrowała w powietrzu i w sercach tutejszych Polek, najlepszym dowodem, że stawily się tak liczne rzesze kobiet, że duża sala „Macierzy szkolnej“ przy ul. Skaryszewskiej okazała się na zebranie za małą. Organizatorkami są panie: Guerquin Zofja, Przyjałkowska Zofja, Słomińska Teresa, Zarębina Władysława i Wroncka Stanisława. Przy łobrych chęciach i pomocy Bożej „Zjednoczenie Polek“ wpłynie dodatnio na opinię i kierunek pracy w Radomiu, pchnie niezorganizowany jeszcze ogół do pomocy w budowaniu i urządzaniu Ojczyzny.

Na Śląsku nieporozumienia z Czechami, którzy wbrew umowie, zawartej z Radą Narodową dnia 5 b. m. co do granic obu państw, widząc teraz ciężkie położenie Polski, brak wewnętrznej konsolidacji narodu i trudności w obronie granic, wyciągają rękę po cały Śląsk po Dziedzice i Bielsko, twierdząc, że Śląsk im się należy, bo kiedyś należał do Czech i że ludność śląska, dawniej czeska, została w Austrii spolonizowana!

Ze wszystkich stron Polski widnokrąg zaciemnia się. Trudno inaczej, jeżeli w samej Polsce, w jej sercu, dotąd sytuacja bardzo niejasna.

Słychać, że pretensje czeskie co do Śląska pochodzą jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy Czesi spiskowali z Francją w sprawie rozbicia monarchji austriacko-węgierskiej i za tę robotę obiecano im po cichu cały Śląsk. Dziś zobowiąza-

nia koalicji, a głównie Francji wobec Czechów za ich robotę destrukcyjną względem Austrii w czasie wojny znacznie się zwiększyły.

R a d o m, 19 listopada 1918.

W niedzielę miałem po południu w sali „Macierzy szkolnej“ odczyt o chwili obecnej.

Oświeiliłem odpowiednio rządy radomskie i warszawskie oraz terror, narzucony Polsce ze strony jednej partji, pragnącej gwałtownie władzy.

Wyjaśniając między innemi słowo „burżuj“, powiedziałem, że komisarz ludowy radomski, tow. Aleksy Rzewski, były robotnik, uważający się za przedstawiciela proletariatu, wykrzykujący na wiecach ulicznych na burżujów, bierze za jeden miesiąc po dwutygodniowym urzędowaniu 3300 K, czyli dwa razy tyle, co brał generał austriacki.

W poniedziałek wezwano mnie przed oblicze komendanta wojskowego okręgu radomskiego, obecnie już kapitana Marjańskiego. — W kilka dni zdołał zaawansować z podporucznika na kapitana. Kapitan Marjański oświadczył mi „w imieniu prawa“, że mam w przeciągu 24 godzin opuścić Radom.

Zaprotestowałem przeciw temu stanowczo jako wolny obywatel w wolnej Polsce i oświadczyłem kategorycznie, że nie wyjadę. Na groźbę, że ma do dyspozycji siłę, powiedziałem, że zgadzam się na spróbowanie tej siły — ja mam za sobą prawo i siłę moralną.

Na zarzuty, że buntuję lud przeciw rządowi i armji, oświadczyłem, że rządu na razie żadnego niema — w Radomiu jest władza samozwańcza,

a przede wszystkim stronnictwa. Ogłoszona zaś przez tę władzę i głoszona wciąż szeroko wolność słowa i przekonañ, upoważnia i mnie do poczynañ w celu skupienia żywiołówn, nie godzących się na obecną tak niebezpieczną politykę partyjną i na stosowanie teroru w Polsce.

Wieczorem przysłał po mnie żandarma komisarz ludowy tow. Aleksy Rzewski. Zarzucił mi oszczerstwo i kłamstwo, które popełniłem na odczycie, twierdząc, że „Rzewski pobrał za dwa tygodnie 3300 K“. — Wyjaśniłem, że miałem do tego powiedzenia prawo, bo pobrał sam z kasy powiatowej, pozostawionej przez Austriaków, za jeden miesiąc 3300 K po dwutygodniowym urzędowaniu. Kwit widziałem na własne oczy, więc ma w kieszeni 3300 K, wyzyskując sytuację obecną jak najzwyczajniejszy burżuj, a nie „obrońca ludu“.

Dyskusja stała się, rzecz prosta, bardzo gorąca. Byłem pewny, że powędruję do więzienia. Postawiłem wtedy wszystko na kartę, nie cofając się przed niczem.

W trakcie dyskusji przyszedł ks. kanonik Rokoszny i sprawa przybrała inny obrót.

Oświadczyłem, że sprowadzanie mnie do komisarza przez żandarma, rozkaz opuszczenia Radomia, jest nadużyciem władzy, gdyż decydują tu osobiste względy. — Dalej zapowiedziałem, że z Radomia nie pójdę, zostanę tu jak długo sam zechcę i że nadal w tym samym duchu ludność tutejszą uświadamiać będę; przywileje w Polsce zniesione, jesteśmy wszyscy równi, więc do przemawiania na odczytach i zgromadzeniach mam równe prawo jak tow. Rzewski i tow. Daszyński.

Jako Polak mam prawo nazwania złem tego co złe, choćby to zło popełnił sam komisarz ludowy.

Na zarzut, że wprowadzam politykę do kościoła, odpowiedziałem, że religja jest na to, by regulowała i normowała wszystkie objawy życia, tak osobistego jak publicznego. Katolikom nie wolno dziś milczeć, gdy socjaliści, zwalczający katolicyzm, rozpierają się w Polsce. W powstaniu Polski katolicyzm, duchowieństwo ma swoje zasługi, więc może teraz zgłaszać pewne prawa. A socjalizm, to jeszcze nie Polska. To tylko wysypka czerwona na wycieńczonym organizmie Polski. W każdym razie temat kazań i nauk w kościele nie od komisarza ludowego zależy. Te rzeczy należą do innej władzy, od rządu lubelskiego i tow. Rzewskiego niezależnej.

W Polsce dużo ludzi, którzy chcieliby nas katolików wydusić, jeżeli nie wytruć, bośmy im niewygodni. Ale my się nie damy! Parjasami w Polsce nie będziemy! Polska jest i dla nas!

Fakt, że chciano mnie wydalić z Radomia, rozniósł się po mieście. Na zebraniu w tej sprawie uchwalono wysłać do komisarza delegację z protestem.

Upowiedział to wszystko ks. kanonik Rokoszny, który wogóle od pierwszej chwili mego pobytu w Radomiu odnosił się do mnie z wyjątkową przyjaźnią i serdecznością. Poszedł do komisarza Rzewskiego, trafiając właśnie na rozmowę naszą, prowadzoną z całą bezwzględnością, oświadczył Rzewskiemu, że nastawanie na wykonanie rozkazu opuszczenia Radomia wywoła w mieście wzburzenie i niemiłe skutki.

Po naradzie z kpt. Marjańskim cofnięto wydany rano rozkaz.

Poprosilem o to na piśmie. Oryginalny ten dokument*) brzmi dosłownie jak następuje:

„Na skutek wstawiennictwa ks. kanonika Rokosznego odwołuje się wydane poprzednio rozporządzenie i pozwala się przebywać ks. Ściskale w Radomiu pod warunkiem zaniechania podburzania ludności przeciw Rządowi Ludowemu w kościołach.

Radom 17. XI. 1918, pieczętka: Dowództwo okręgu wojskowego Radom.

Podpis: Stefan Tworkowski pp.“

Więc tylko w kościołach nie wolno — gdzie indziej wszędzie można! — Nie spodziewałem się nigdy, że zmartwychwstała Polska odrazu będzie dla mnie tak gościnna i łaskawa. — To nie Polska, to jej złe duchy, co ją obsiadły, by na niej zerować.

R a d o m, 19 listopada 1918.

Wczoraj pojawił się następujący dekret:

Zatwierdzam i mianuję według następującej listy członków Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki polskiej:

Prezydent Ministrów i minister komunikacji:
Jędrzej Moraczewski.

Minister Spraw Wojskowych i Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych: Józef Piłsudski.

Minister spraw wewn.: Stanisław Thugutt.

Minister spraw zewn.: Leon Wasilewski.

*) Złożony w Muzeum diecezjalnem w Sandomierz.

Minister oświaty: Ksawery Prauss.

Minister sprawiedliwości: Leon Supiński.

Kierownik ministerjum skarbu: Wład. Byrka (były szef sekcji w ministerjum skarbu w Wiedniu).

Minister rolnictwa: Franciszek Wojda.

Minister aprowizacji: Antoni Minkiewicz.

Minister pracy i opieki społecznej: Bronisław Ziemecki.

Minister ochrony kultury i sztuk pięknych: Medard Downarowicz.

Minister poczt i telegrafów: Tomasz Arciszewski.

Minister handlu i przemysłu: Jerzy Iwanowski.

Ministrowie: Wincenty Witos, Tomasz Noccki i Marjan Malinowski.

Trzy miejsca w rządzie mają być zastrzeżone dla przedstawicieli zaboru pruskiego.

Zastrzegam sobie mianowanie Ministra robót publicznych.

Warszawa, dnia 18 listopada 1918 r.

Daszyński mp.

Józef Piłsudski mp.

Czyli, że będą rządzić w Polsce socjaliści.

Program tego rządu jest prawie identyczny z tem, co ogłosił rząd lubelski przed dwoma tygodniami. Zobaczymy, czy to uszczęśliwi Polskę. Szereg stronnictw ogłasza silne protesty przeciw tej jednostronnej robocie.

R a d o m, 22 listopada 1918.

Pod opieką partyjnego rządu wydaje w Radomiu Polska Partja Socjalistyczna następujące odezwy:

Towarzysze, Włościanie!

Rządy panów i szlachty już się kończą, po długotrwałej krwawej wojnie, z krwi, nędzy i głodu robotników i chłopów powstaje nowe życie na całym świecie. Lud chłopski i robotniczy we wszystkich krajach bierze rządy w swoje krzepkie ręce.

Drżą panowie i magnaci przed gniewem ludu, wiedzą, że lud polski, chłop i robotnik obudził się i tworzy nowe życie, oparte na Prawie i Sprawiedliwości.

Ziemia dla chłopów, fabryki i cały przemysł dla Państwa Ludowego. Nadeszła godzina Sprawiedliwości i koniec panowania szlachty i panów.

Nie może być w Polsce rządów szlacheckich i pańskich, lud musi rządzić sobą sam. Rząd musi być włościańsko-robotniczy.

Towarzysze Włościanie! Nie dajcie się prowadzić na pasku szlachty i pomagającym im księżom, organizujcie się i twórzcie Rady Włościańskie w każdej gminie i wiosce wybrane z Was i przez Was. Te Rady Włościańskie będą broniły praw i interesów ludu wiejskiego.

Szlachta, księża i panowie chcą Was ogłupić, ażeby zachować swoje majątki, zdobyte Waszą krzywdą i potem.

Baczność! Bracia Włościanie, łączcie się z robotnikami, zgrupowanymi pod czerwonymi sztandarami Polskiej Partji Socjalistycznej. Razem ręka w rękę przeciw krzywdzie i wyzyskowi. Precz z rządami szlachty, księży i panów! Precz z wyzyskiem i niewolą ludu pracującego! Niech żyje

Ludowo-socjalistyczna Republika Polska! Niech żyją Rady Delegatów Robotniczo-Włościańskich!

Radomski Komitet Robotniczy Polskiej Partji Socjalistycznej.

Coś to zanadto pachnie bolszewją. Wiatr od wschodu. „Moskiewskie mamidła, obietnice, si-
dła“ — jak mówi Krasiński.

R a d o m, 25 listopada 1918.

Wczoraj był Radom świadkiem imponującej uroczystości, w której wzięło udział kilkanaście tysięcy uczestników z miasta i z całego powiatu, by zmanifestować swoje stanowisko wobec rządu i wobec tego, co się dziś w Polsce dzieje.

Po nabożeństwie w kościele Marjackim ruszył olbrzymi pochód ul. Skaryszewską, Lubelską, na plac 3 Maja, Długą i Kościelną, gdzie się rozwiązał. Po drodze wygłoszono szereg przemówień, przyjmowanych z ogromnym zapalem.

Z wszystkich mów biła żywa radość z odzyskania niepodległości, ale zarazem troska o przyszłość państwa, zepchniętego odrazu na niewłaściwe i niebezpieczne tory rozwoju.

Na życzenie komitetu przemówilem z balkonu mieszkania pp. Lamparskich koło kościoła Marjackiego. Wskazałem na znaczenie tego pierwszego święta w wolnej Polsce.

To podzięka Bogu i Marji za zakończenie wojny światowej, co przeszła przez Polskę jak huragan, to podzięka za zmartwychwstanie, za powołanie do życia, do wolności naszej Ojczyzny,

skutej przez dziesiątki lat w kajdany, strzeżonej przez trzech zaborców.

Od kilkunastu dni Polska wolna. Za to my dziś dziękujemy, Te Deum, Magnificat śpiewamy. Ale równocześnie prosimy, by Bóg, co w tak dziwny sposób powalił tyranję państw zaborczych, co z tej wojny dał wstać Polsce, by pomógł tę Polskę i urządzić i uporządkować w jedności zgodzie i miłości wzajemnej.

W Polsce na razie jeszcze ciężko, ale może być dobrze, jeżeli się dobrze rządzić będziemy. Trzeba, żeby było dobrze wszystkim, co w tej Polsce żyją, za Polskę cierpieli, po polsku czują. Wszystkim bez różnicy stanu. Polska przy zgodzie wystarczy dla wszystkich, bo wielka i szeroka. Wszyscyśmy za nią cierpieli, wszyscy mamy do niej prawo, w pierwszym rzędzie rdzeń narodu, lud polski. Ale lud, „którego panem Bóg jego“, jak mówi psalmista, lud z wiarą w duszy, bośmy wiarą stali w czasie nieszczęść, prześladowań i niewoli.

Orzeł Biały i Marja Jasnogórska, to nasz sztandar w nowej Polsce. Te, co dziś w Polsce powiewają, partyjne, czerwone — spadną same z dzisiejszej wysokości, jak spadły rosyjskie i austriackie przez dopust Boży.

Nas tu więcej, siła taka, że aż duszę coś rozpiera — a z nami Bóg!

Dzisiaj zamęt, bo niewolą „duch zatruty“, ale hasła Boże i polskie wezmą górę i Polska przy wspólnej pracy uczciwej i zgodzie stanie się świątynią, w której znajdzie swe miejsce chłop i robotnik, mieszczanin i pan.

W Polsce miejsca dość dla ludzi — trzeba zrobić jeszcze miejsce dla jedności, miłości i bojaźni Bożej! „Tak nam dobrze — tak nam miło, Święty Boże! zmartwychwstajem!“*)

Kiedy pochód znalazł się na placu 3 Maja, spotkał się z pochodem, urządzonym przez socjalistów, liczącym kilkaset ludzi. W czasie przemówienia ks. Popkiewicza pochód socjalistyczny, idący z przeciwnej strony, skręcił i wbił się w tłum, prac w kierunku hotelu Europejskiego. Część minęła już pochód, gdy oderwało się od środkowej grupy socjalistycznej kilkudziesięciu ludzi i rzuciło się ku najbliższemu sztandarowi, trzymanemu przez włościanina z Wsoli. Część napastników natarła na sztandar z Matką Boską Częstochowską, część zaś zaczęła bić kijami uczestników pochodu. Nagłość napadu wywołała zamieszanie, które nie pozwoliło obronić sztandaru i sztandar podarto na strzępy. To „zwycięstwo“ natchnęło odwagą atakujących, którzy rzucili się jeszcze na sztandar Zjednoczenia Polek, zerwali z niego obraz Matki Boskiej, podarli na kawałki i zdeptali w pyle ulicznym.

Do tego doprowadziło w Radomiu zastosowanie socjalistycznych hasel.

Do walki z Królową Polski!

Bolesny ten i wiele mówiący incydent otwarł oczy społeczeństwu, które dotychczas nie zdawało sobie sprawy z niebezpiecznej gry partyj lewicowych i będzie z pewnością głośnym apelem, by stanąć do pracy ku obronie Boga i Ojczyzny, zagrożonej przez źle wychowane jej dzieci.

*) Krasinśki, Dzień dzisiejszy.

Wczorajsza uroczystość i pochód wspaniały wykazał siły zdrowo myślącej części narodu i pomimo szalonej kontragitacji skupił nadspodziewanie dziesiątki tysięcy ze wszystkich stanów. Taki przegląd sił jest konieczny, dodaje bodźca do pracy, do organizowania, uświadamiania i skupiania ludzi dobrej woli. A w Radomiu to bardzo potrzebne, bo tu socjalizm teroryzował opinię publiczną jeszcze od 1905 roku i miasto to należało stale do najradykałniejszych i najbardziej niespokojnych.

Nie jest tak źle, jakby się zdawało. Większość narodu myśli zdrowo. Brak mu tylko odwagi przekonań, ale gdy w Polsce w miejsce frazesu zapanuje zdrowy rozsądek, a sumienie stanie się regulatorem wszelkich poczynań, to Polska odnajdzie swe właściwe oblicze. Trzeba więcej odwagi.

Niewola zrobiła swoje. To dopiero teraz widać. Na odkażenie duszy polskiej trzeba czasu, cierpliwej pracy, hartu a przede wszystkim granitowej wiary w dziejową misję katolickiej Polski, która tylko w oparciu o niewzruszoną i niezwykciężoną nigdy opokę Piotrową przetrwa wszystkie burze, idące ku nam z zachodu i wschodu.

R a d o m, 28 listopada 1918.

Odsiecz Lwowa, zorganizowana pod dowództwem gen. Rozwadowskiego, przyniosła dnia 22 listopada oswobodzenie bohaterskiego miasta.

W Radomiu w dalszym ciągu rządy czerwonej gwardji, znać jednak jakby pewne zakłopotanie i otrzeźwienie po wypadkach niedzielnych.

Zrozumiano widocznie, że wszędzie i we wszystkim trzeba przestrzegać granic.

Dla mnie rozpoczęły się ciężkie dni, bo jestem jakby wyjęty z pod prawa. Każdy pochód socjalistyczny, a jest ich teraz dużo, zatrzymuje się przed mojem mieszkaniem i wznosi różne okrzyki, rzecz naturalna, nie na moje długie życie i zdrowie, przychodzą samowolne delegacje, nazywające się reprezentantami ludu roboczego i wzywają mnie przed sąd partyjny, a że to dzieje się i w nocy, więc od kilku dni przebywam u siebie tylko za dnia, a nocuję gdzie indziej.

Jednak za nic w świecie nie ustąpiłbym teraz ze stanowiska. Kiedy dziś ludzie zawiedzeni i rozgoryczeni, trzeba stać na froncie i wskazywać im Tego, który nie zawodzi nigdy nikogo.

Zresztą Pan Bóg nie skąpi przy tem wszystkim pociech i radości, zalewa mnie wprost niemi.

Ile razy znajduję się w kościele, to proszą do konfesjonału, a tam szczególnie po ostatniej niedzieli tyle serc biednych, dotychczas karmionych tylko nienawiścią, wraca do Boga, odnajduje dawno utracony pokój, równowagę duchową i prawdziwą radość z życia zjednoczonego z Bogiem.

Okazuje się, że na dnie duszy polskiej jest zdrowy rdzeń — jest przedewszystkiem ogromne przywiązanie i cześć do Matki Boskiej. I gdyby tę cześć ożywić i pogłębić, to przez Marię zdołabymy Polskę.

W ciszy konfesjonału, wobec tych niezgłębionych tajemnic działania dobroci i łaski Bożej, wśród zamętu ogólnego i obecnych przeżyć nauczyłem się dziękować Bogu, że jestem księdzem katolickim, co musi mieć w życiu dużo gorczy,

bo „nie może być większym od Mistrza swego“, ale zato ma więcej niż kto inny radości, płynącej z Ołtarza i z misternej Bożej pracy nad duszami.

Pomimo przeróżnych przykrości, pogroźek, a nawet zamachów na moje życie cieszę się, że zostałem obecnie kapelanem na innym froncie — na froncie uporczywej walki o ducha Narodu, walki o zdobycie Polski dla Chrystusa — walki, która potrwa pewno tak długo, jak długo trwała niewola — walki, która nie może obejść się bez ofiar i cierpień i chwilowych klęsk.

Ale jeżeli tyle było trzeba cierpień, pracy i modlitw i ofiar, tyle krwi przelanej, by Polska powstała, by „ziścił się cud“ — to oto masz nas Panie gotowych na nową pracę, na nowe ofiary, a nawet męczeństwo, by przygotować Twoje i Twej Matki w Polsce królowanie!

„Z pod znaku Marji rycerski my huf
Błogosław nam Chryste na bój!“

Pobyt w Radomiu przedłużył się na życzenie Ks. Biskupa Ordynariusza Ryxa z Sandomierza i Ks. Biskupa Sufragana Kubickiego. Ułatwiła zaś ten pobyt życzliwość wielu dobrych serc i dusz, rosnąca w miarę ataków ze strony przeciwej.

Przyszły wybory do pierwszego Sejmu Ustawodawczego, ożywiona praca przedwyborcza na terenie diecezji sandomierskiej i kieleckiej, a potem spokojniejsza znacznie w kościele w charakterze rektora po-bernardyńskiego kościoła do pierwszych dni października 1919, do wyjazdu do Cieszyna, dokąd zostałem powołany przez Radę Narodową, by w imieniu „Związku śląskich katolików“*) stanąć na czele akcji plebiscytowej na Śląsku Cieszyńskim przeciw uroszczeniom czeskim.

*

*

*

A obecnie dziwnem zrządzeniem Bożem jestem znowu w Radomiu.

Na froncie walki o zdobycie Polski dla Chrystusa nastąpiło tymczasem poważne przegrupowanie.

Socjaliści zajęli stanowisko wyczekujące. Ich rolę przejęli inni — tacy, co narazie stosują metody mniej brutalne, nie mniej jednak wrogie i szkodliwe.

Wzmocnił się jednak i front katolicki. Skonsolidowała się armja tych, co gotowi po-

*) stronnictwo, odpowiadające Chrześc. Demokracji, założone w roku 1883 przez ks. Świeżego w Cieszynie z hasłem: „Przez lud dla Boga i ludu“.

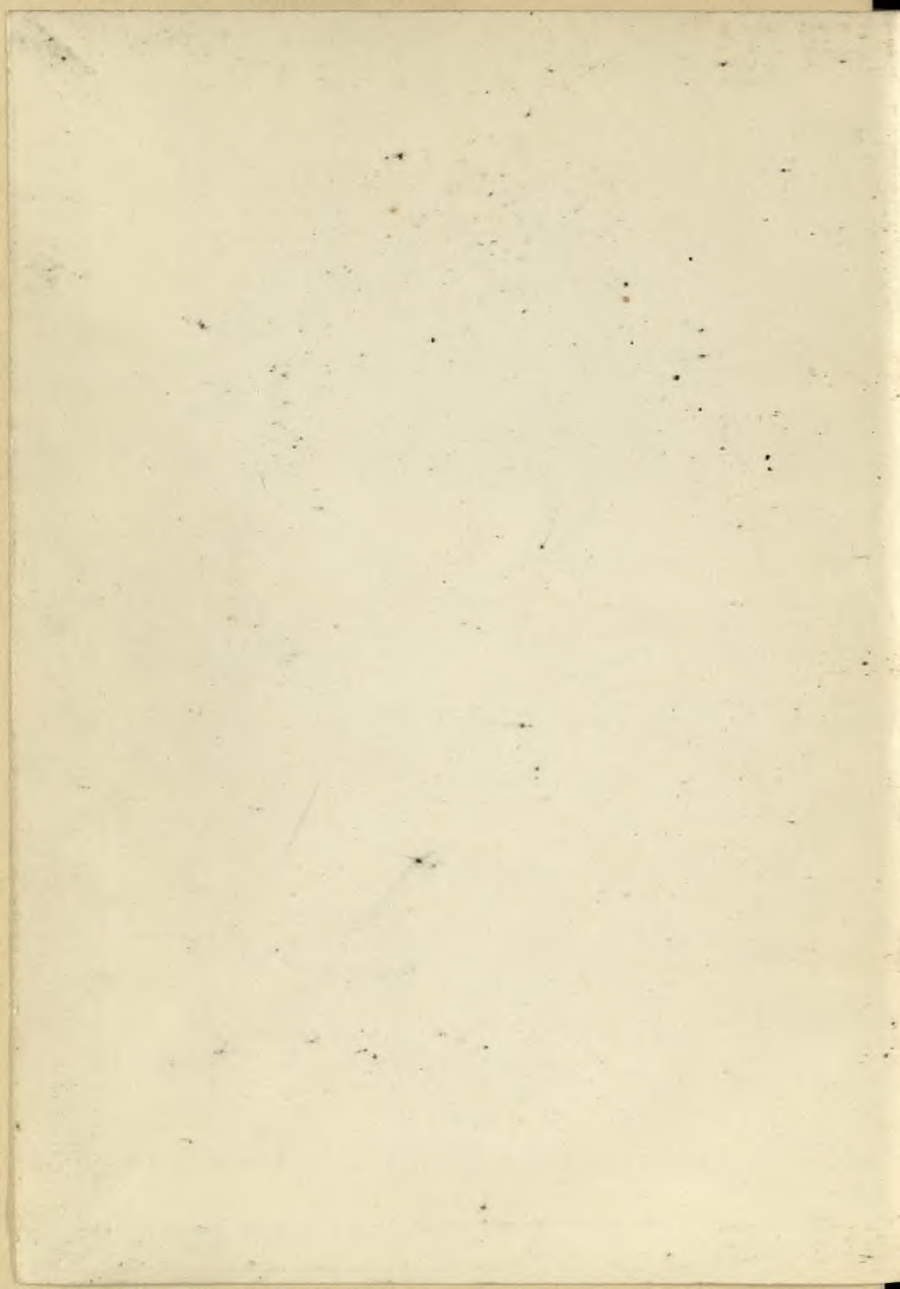
święcić wszystko nietylko dla Polski, ale i dla sprawy Bożej i dla sprawy Kościoła.

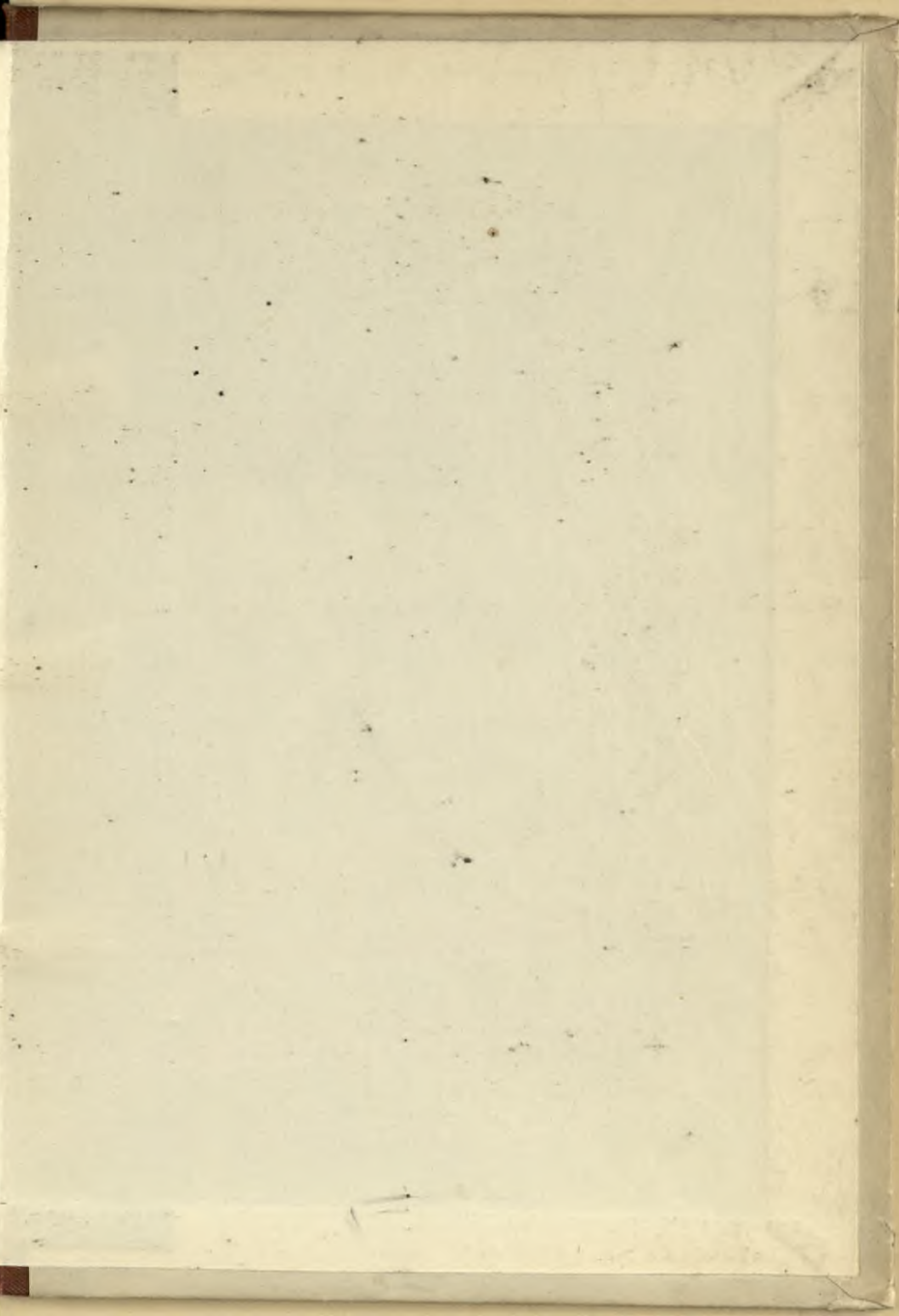
Zwiększyły się uświadomione szeregi tych, co tworzą w Radomiu katolicki blok najściślej-
szej współpracy z Bogiem.

„Chwała Bogu — nietylko w Radomiu!“



1. Wzrost człowieka zależy od ilości
żywienia, jaką dostaje. Im więcej
je, tym więcej rośnie. Wzrost człowieka
zależy od ilości żywności, jaką dostaje.
Im więcej je, tym więcej rośnie.





Biblioteka Śląska *Kong.*

C034100

I

M 8M
1026

Kzg 1 2857/67 100 000